

WYBORY DO EUROPARLAMENTU

Pokażmy Tuskowi czerwoną kartkę
– apeluje Patryk Jaki



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 23/581 3-9 CZERWCA 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Polacy do obrony ojczyzny
garną się mniej chętnie
niż Ukraińcy

JANUSZ KORWIN-MIKKE
W ŻYWE OCZY
KPI Z „PRAWA
MIĘDZYNARODOWEGO”



Semka o nowym sposobie
atakowania hierarchów
Kościoła w Polsce

WOLNOŚĆ, WŁASNOŚĆ, SUWERENNOŚĆ Co nam odbiera UE



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829

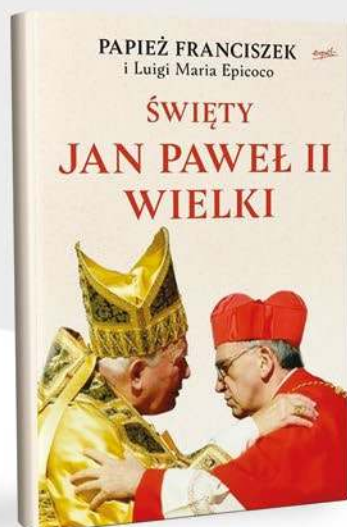


Nakład: 51 500 egzemplarzy

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



W PREZENCIE **KSIĄŻKA**

PAPIEŻ FRANCISZEK I KS. LUIGI MARIA EPICOCO:
„ŚWIĘTY JAN PAWEŁ II WIELKI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



489zł

234,00zł
OSZCZĘDNOŚĆ 255 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 75a7dfe41f



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Gra eskalacyjna z Putinem

Z każdym dniem przekonuję się, że trudno znaleźć polityka równie chętnego, pewnego siebie i pozbawionego rozumu, a są to cechy, które powinny go eliminować z zajmowania się dyplomacją, jak Radosław Sikorski. Jednak nawet na tle innych jego szarż i wyskoków ostatni wywiad, którego udzielił brytyjskiemu „The Guardian”, bije rekordy. Być może wynika to z tego, że polskiemu ministrowi tak bardzo imponuje to, iż rozmawia z nim lewicowy brytyjski dziennik.

Znaczącą część wywiadu minister poświęca udowodnieniu tezy, że należy się zbroić. Samo w sobie nie jest to nic odkrywczego ani nagannego. To, że należy się dozbroić, jest oczywistością. Minister cytuje głosy przedstawicieli koncernów zbrojeniowych: „Czytamy w gazetach, że jest cały ten popyt na uzbrojenie, ale nie dostajemy długoterminowych kontraktów. Jesteśmy odpowiedzialni przed naszymi akcjonariuszami, a jeśli nie mamy 10-letniego kontraktu, to nie możemy dokonywać inwestycji”. A potem odpowiada: „Chodzi więc o zagwarantowanie im, że nie chodzi tylko o jutro, ale o długoterminowe dozbrojenie i zmianę bezpieczeństwa”. A więc co najmniej 10 lat gospodarki wojennej przed nami?

Takie posunięcie – zagwarantowanie wieloletnich kontraktów, praktycznie nieograniczone sumy wydawane na zbrojenia – prowadzi zwykle do zwiększenia znaczenia kompleksu wojskowo-militarnego, dla którego największym zagrożeniem jest pokój. Europa ma się zbroić na potęgę, ma reorientować przemysł na cele wojskowe i produkować miliony pocisków. Po co? Odpowiedź ministra: „Europa musi nauczyć się lepiej grać w grę eskalacyjną, utrzymując Władimira Putina w niepewności co do swo-

ich zamiarów”. Lepiej grać w grę eskalacyjną? Takie gry eskalacyjne, kiedy obie strony podbijają stawkę i podnoszą ryzyko, z natury rzeczy prowadzą do wojny. W końcu komuś puszczaają nerwy. Nieprawdaż? Zbrojenia mają sens, ale wtedy, gdy towarzyszy im równoległa akcja dyplomatyczna, której celem jest pokój. To zaś oznacza podjęcie rozmów z Moskwą, o czym nie słychać.

Gdy dwie siły zbroją się na potęgę i eskalują ryzyko, to prędzej czy później dochodzi między nimi do starcia. Jednak w stosunku do przeszłości jest różnica: tak Rosja, jak państwa Zachodu dysponują bronią nuklearną. Wyprodukowanie milionów konwencjonalnych pocisków nie zmienia tego podstawowego faktu. Przecież to właśnie wzajemne szachowanie się atomem i odstraszenie pozwoliło uniknąć bezpośredniego starcia Zachodu i Wschodu po 1945 r. Otóż fakt ten minister Sikorski lekceważy.

Najpierw sugeruje, że Ukraina mogłaby atakować śmieiej cele na terenie Rosji. A następnie przechodzi do tego, co stanowi swego rodzaju clou, a mianowicie do analizy zagrożenia wybuchu konfliktu atomowego. Otóż nie jest to nic strasznego. „Amerykanie powiedzieli Rosjanom, że jeśli odpalicie atomówkę, to nawet jeśli ona nikogo nie zabije, uderzymy we wszystkie wasze pozycje na Ukrainie bronią konwencjonalną, zniszczymy je wszystkie. Myślę, że to wiarygodna groźba” – ogłosił minister Sikorski. Uff, teraz można odetchnąć. Niech no Rosjanie uderzą atomówką, to dopiero dostaną za swoje. W tej wypowiedzi uderza kilka rzeczy.

Po pierwsze, dlaczego to po rosyjskim potencjalnym uderzeniu atomówką USA odpowiedzą... bronią konwencjonalną? Czyżby Sikorski zdradził się z tym, że

USA nie przewidują użycia broni atomowej nawet w przypadku jej zastosowania przez Moskwę?

Po drugie, nie potrafię zrozumieć niefrasobliwości ministra. Czy on naprawdę nie jest w stanie pojąć, że taka sekwencja zdarzeń – atak atomowy na Ukrainę, masowa odpowiedź amerykańskiej broni konwencjonalnej – musi spowodować rozszerzenie konfliktu i włączenie do niego Polski? Że w takim scenariuszu Polska stałaby się następnym potencjalnym celem uderzeń atomowych, bo taka jest logika wojny?

Po trzecie, mogę jedynie podziwiać niezwykle wręcz zaufanie, którym minister Sikorski obdarza siły amerykańskie, chociaż nie wiem, na czym opiera on swoje przekonanie, że Amerykanie mogliby „zniszczyć wszystkie pozycje rosyjskie na Ukrainie”? Gdyby to było takie łatwe, przecież mogliby to zrobić już dawno, nie dopuszczając do śmierci i cierpień setek tysięcy swoich sojuszników.

Równie szokuje inna deklaracja ministra, zgodnie z którą Polska domaga się zniesienia prawa weta, co się dotyczy polityki sankcji na Rosję. „Powinniśmy porzucić zasadę jednomyślności w kwestii sankcji. Niektóre z nich były opóźniane przez blokowanie ich przez jedno z państw członkowskich. Ponadto naruszenie sankcji UE powinno być przestępstwem UE, a zatem powinno być ścigane przez prokuraturę europejską”. W słowach tych łatwo odczytać groźbę skierowaną przeciw Węgrom, które blokowały politykę sankcji. Okazuje się, że Sikorski nie tylko jest gotów wyrzec się kluczowego elementu suwerenności państwowej, godząc się na forsowaną przez Niemcy zasadę jednomyślności, ale przy okazji straszy oporne Węgry... prokuraturą europejską.

Mając takiego szefa dyplomacji, możemy spać spokojnie. ©©



TEMAT TYGODNIA

14 TOMASZ CUKIERNIK
CO NAM ODBIERA UNIA EUROPEJSKA
Suwerenność, wolność, własność

18 ŁUKASZ WARZECHA
PARLAMENT EUROPEJSKI JAKO HAMULCOWY

KRAJ

20 ROZMOWA Z PATRYKIEM JAKIM
STAWKĄ JEST NIEPODLEGŁOŚĆ
Idźcie na wybory do europarlamentu

23 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POWTÓRKA Z DĘCIA

26 PIOTR SEMKA
TERAZ WIKTYMOKRACJA?

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
MÓJ KRAJ, NIE MOJA SPRAWA?

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
NA DRODZE ZEMSTY
Piąty film z serii „Mad Max”

NIE PRZEGAP

34 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

40 JANUSZ KORWIN-MIKKE
LEWO MIĘDZYNARODOWE
W świecie bezprawia

43 JERZY KARWELIS
KTO CHCE ZAPOMNIEĆ O COVID

46 JAN PARYS
WŁADZA DLA LUDZI

48 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KATOLICKI TRADYCJONALIZM PO NIEMIECKU

HISTORIA

50 GRZEGORZ MAJCHRZAK
KULISY WYBORÓW CZERWCOWYCH
Jak przegrała PZPR

53 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
PRZEGRANA PRZEZ WYCZERPANIE

56 PIOTR SEMKA
„DVOJKRIŽ” – ŚWIĘTY ZNAK SŁOWAKÓW

ŚWIAT

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
NADPREZYDENT UKRAINY
Kto naprawdę rządzi w Kijowie



63 WITOLD REPETOWICZ
GROŹBA ODRODZENIA ISIS

66 JAN BOGATKO
GENDERREPUBLIC DEUTSCHLAND

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
CZERWONA „MINISTRA”
Globalna myślicielka od czarnych marszów

SPORT

74 ŁUKASZ MAJCHRZYK
SZEJKOWIE PATRZĄ NA SĘDZIÓW
Saudyjczycy na zakupach





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Sprawiedliwy z Lublina

Całkiem niedawno, 22 maja 2024 r., odszedł jeden z najbardziej zasłużonych działaczy lubelskiej Solidarności Janusz Andrzej Mazurek. Przez lata był pracownikiem Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej. W 1980 r. wstąpił do Solidarności i szybko stał się jedną z czołowych postaci Regionu Środkowowschodniego. W stanie wojennym został internowany i był więziony aż do 15 października 1982 r. Osobiście mam wobec pana Janusza dług wdzięczności. W 1987 r. zarządzał specjalnym solidarnościowym funduszem podziemnej „S”, która ratowała osoby skazywane na wysokie grzywny. Tak było i ze mną. Po zatrzymaniu na demonstracji 11 listopada 1987 r. na lubelskim placu Litewskim wprost z aresztu po nocy na „dołku” zawieziono mnie na kolegium. Tam po fałszywym zeznaniu funkcjonariusza SB zostałem skazany na bardzo wysoką grzywnę. Pan Janusz zgłosił się do mnie bardzo szybko i z funduszy Solidarności wręczył mi pieniądze do zapłacenia. Było to jak zbawienie.

Nic dziwnego, że ucieszyłem się, gdy w 1991 r. ten bardzo zasłużony dla Solidarności działacz został wybrany na senatora z województwa lubelskiego. Ale właśnie z tamtą posługą senatorską wiąże się mało znany epizod z dnia i nocy teczek 4/5 czerwca 1992 r. Janusz Mazurek znalazł się w wykazie osób, które współpracowały z SB. Był to jedyny przypadek pomyłki na liście. Jak po latach wyjaśnił ówczesny szef UOP Piotr Naimski, doszło do niezwyklej zbieżności – osoba o tym samym imieniu i tym samym nazwisku, urodzona w tym samym dniu i roku, była prawdziwym donosicielem. Antoni Macierewicz i Piotr Naimski szybko zorientowali się w pomyłce i jeszcze tego samego dnia przeprosili senatora Mazurka.

Tego dnia w Sejmie wielu autentycznych agentów występowało w roli skrzywdzonych niewinnych. Tak było np. z Michałem Bonim, którego wówczas koledzy z Kongresu Liberalno-Demokratycznego, na czele z Donaldem Tuskiem, przedstawiali jako ofiarę politycznego linczu i lustracyjnej nienawiści. Dopiero wiele lat później Boni przy-

znał się do tego, że był agentem SB. Dziennikarze „Gazety Wyborczej”, Radia Zet, RMF krążyli po Sejmie, szukając kandydatów na skrzywdzone ofiary. Gdy tylko dowiedzieli się o omyłkowym umieszczeniu na liście senatora Mazurka, otoczył go tłum reporterów z góry cieszących się na awanturę w obozie premiera Jana Olszewskiego. Tymczasem senator Mazurek zaskoczył wszystkich. Ogłosił, że przyjmuje przeprosiny Macierewicza i Naimskiego, i wyraźnie zaznaczył, że nie zmienia to w żadnym stopniu jego poparcia dla akcji lustracyjnej. Do dziś pamiętam zawiedzione miny reporterów, którzy mieli nadzieję na wykreowanie nowej ofiary w wojnie na teczki. Janusz Mazurek nie robił z całej sprawy nigdy żadnego problemu. Dlaczego tak mocno zapamiętałem postawę skromnego senatora z Lubelszczyzny? Być może dlatego, że tak kontrastowała ona wówczas z histerią wielu innych polityków solidarnościowych. Na ich tle senator Mazurek gotów był dla dobra ogólnego wznieść się ponad bolesną dla niego pomyłkę. Niech spoczywa w pokoju. ©©

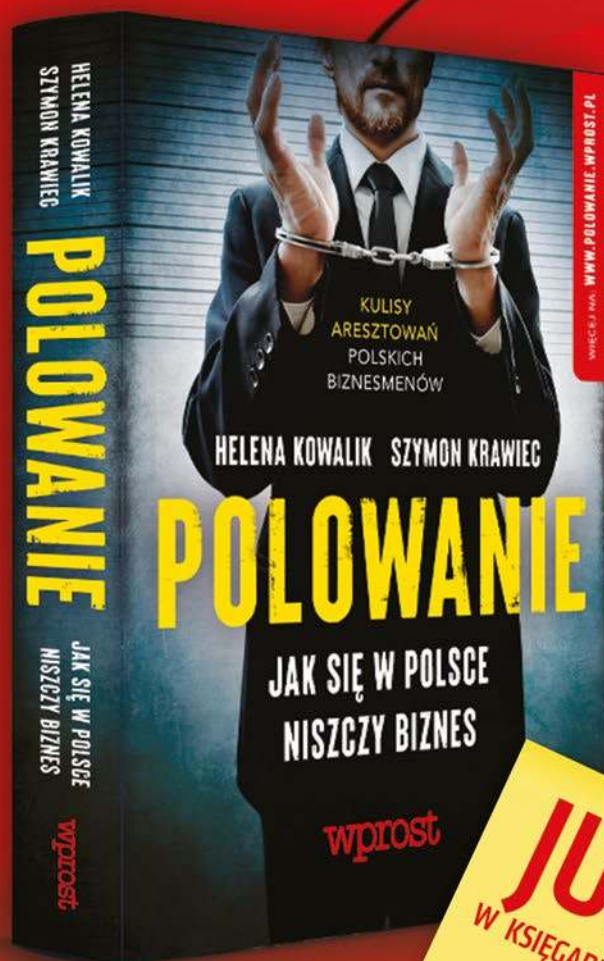


FOT. MAREK BODAWSKI/KPRP

USTAWA O JĘZYKU ŚLĄSKIM. JEST WETO PREZYDENTA

Prezydent Andrzej Duda zawetował nowelizację ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych, która uznaje gwara śląską, tzw. godkę, za język regionalny (przyjętą przez Sejm w kwietniu głosami 236 posłów, przy sprzeciwie 186 i pięciu głosach wstrzymujących się). Jak czytamy, prezydent posiłkował się m.in. opiniami językoznawców, „wśród których przeważa stanowisko, że gwary śląskie są gwarami języka polskiego.” ©©

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH



KULISY
GŁOŚNYCH
SPRAW
I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE
RELACJE

ROZMOWY
Z EKSPERTAMI
I LUDŹMI
Z WYMIARU
SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD
500
NAZWISK
I FIRM

AUTORAMI SĄ
DOŚWIADCZENI
DZIENNIKARZE
ŚLED CZY

JUŻ
W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.



Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631, +48 508 040 664



PARTNERZY:



Polska
Rada
Biznesu



ZPP
Związek Przemysłowców
i Pracywłóciarek



WEI
Wieloletni Ekspert
Instytutu



Fundacja
Court Watch Polska



FUNDACJA
POMYŚL
O PRZYSZŁOŚCI

Comparic.pl



MY
COMPANY



Stowarzysztwa
Biznesowe

BRIEF



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kasa wraca

Potośmy przez osiem lat prowadzili wojnę – mogą sobie powiedzieć pracownicy „Wyborczej” i innych mediów Agory po triumfalnym oświadczeniu jej prezesa, Bartosza Hojki, że „skończyła się zмова spółek Skarbu Państwa przeciwko niezależnym mediom”. W tłumaczeniu z orwellowskiego na polski oznacza to, że skończyło się kupowanie przez państwowe firmy reklam w mediach niestrzymujących linii propagandowej PO. Nie jest wcale tak, jak twierdzi prezes Hojka, że za rządów PiS zlecenia z SSP w ogóle nie trafiały do mediów lewicowo-liberalnych; jedną z przyczyn utraty przez tę partię władzy była naiwna wiara, że jest w stanie „oswoić pieniędzmi” różne antypisowskie

środowiska i grupy interesu. One zresztą te pieniądze brały, uważając, że im się należą jak chłopu ziemia, po czym, nie poczuwając się do żadnej wdzięczności, i tak na PiS pluły dalej – jak, nie przymierzając, pani Janda czy środowisko filmowców.

Ale dla ludzi pokroju prezesa Agory horrendum stanowi sam fakt, że pieniądze państwowe trafiały także do mediów politycznie niepoprawnych. Teraz się to wreszcie skończy. Przy czym Agora ma istotne powody oczekiwać, że będzie głównym beneficjentem zmiany – jako medium nie tyle prorządowe, ile wprost partyjne. Pamiętamy wszyscy, jak „niezależne medium” wiernie trzymało się linii partii, dokonując natychmiastowych korekt, gdy Tusk przekładał

wajchę: jeszcze we wtorek Hołownia był zdrajcą, agentem PiS i dywersantem, sabotującym jedynie słuszny projekt „jednej listy”, a już w środę był super i gazeta wzywała, by na niego głosować.

Koniec snutych przez ostatnie dwie kadencje opowieści o tym, jak to źle jest, kiedy państwowe pieniądze zamiast na leczenie chorych dzieci idą na partyjną propagandę. Dwa miliardy dotacji dla „TVPiS” były skandalem i powodem nieustannego wycia i tupania; 3,5 mld na TVP0 – to wspieranie mediów „niezależnych”. A przecież to dopiero początek. Zyski SSP już po paru miesiącach rządów Tuska spadły na łeb na szyję – i gdzieś przecież te pieniądze, które z nich tak szybko znikają, muszą się podziać. ©©



MAREK JUREK

OD POČĄTKU

A Misza siedzi dalej

Gruzja to klucz do Kaukazu. Jeśli będzie niezależna od Rosji, to otworzy Armenii drogę do niezależności. Jeśli te dwa kraje będą bezpieczne, to również oś Ankara – Baku nie będzie dominować nad całym regionem. Warto więc dbać o Gruzję i po niedawnej kaukaskiej rundzie Jensa Stoltenberga wydawało się, że Zachód tak właśnie to widzi.

Tymczasem Antony Blinken, sekretarz stanu USA, zapowiedział tydzień temu, że Stany Zjednoczone „dokonają całościowej rewizji” swej gruzińskiej polityki, bo... parlament gruziński chce, by organizacje utrzymywane ze środków zagranicznych ujawniały to opinii publicznej, tak jak na Węgrzech.

Oczywiście zwolennicy *reductio ad Putinum* wolą tu inne porównanie, tylko że Gruzini to jedno z najbardziej prozachodnich społeczeństw na Wschodzie. Jeśli część z nich popiera nowe ustawodawstwo, to dlatego, że chcą, by opinia publiczna była opinią społeczeństwa, a nie projekcją jakiegokolwiek promownego z zagranicy aktywizmu.

Amerykanie – tak jak każde inne państwo – mogą wybierać sobie przyjaciół. Dzisiejsze władze Gruzji nawet powinni potępiać za zdręczenie najbardziej prozachodniego polityka na Kaukazie, Micheila Saakaszwilego. Powinni, ale – jak widać – nie wolność i bezpieczeństwo przyjaciół są dla nich priorytetem.

Sam zaś patron gruzińskiej władzy, Bidzina Iwaniszwili, szwarczakiem światowej demokracji został dopiero niedawno. Gdy odbierał Saakaszwilemu władzę, Adam Michnik pisał, że oglądamy „gruziński cud”, „miasto w stanie łaski”. Nie o Iwaniszwilego więc tu chodzi, ale o to, że oprócz Gruzinów demonstrujących przeciw nowemu prawu są i ci, którzy je popierają, protestując na Święcie Czystości Rodziny przeciw eksportowi rewolucji społecznej do swego kraju.

Czy to wszystko dotyczy Polski? Owszem, przez lata apelowałem do rządzącej radykalnej centroprawicy, by hasłem naszej polityki wschodniej było „ani Putin, ani Soros”. Bez żadnego odzewu oczywiście. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Ł x y s z t o m a & e m d t c i u b t i x e n



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O hipokryzji i Jacopo

Włoski obóz postępu po klęsce wyborczej nie może dojść do siebie. Najpierw alarmował, że faszyzm wraca do Italii. Teraz krzyczy, że publiczna telewizja stała się tubą propagandową Giorgii Meloni. Tuż lewicowego intelektu nazywają teraz telewizję RAI „TeleMeloni”, bo rzekomo w dziennikach telewizyjnych RAI pokazują do znudzenia panią premier, lekceważąc opozycję.

Wyliczenia pokazały jednak, że najczęściej pokazywanym w RAI politykiem jest szefowa lewicowej Partii Demokratycznej Elly Schlein. Wyliczono też miesięczną średnią obecności ostatnich premierów w dziennikach RAI. Statystyka jest dla postępowców bezlitosna: Meloni 15 minut, Draghi 20, lewicowy Paolo

Gentiloni 27, lewicowy Matteo Renzi 37, a najgłośniejszy wrzeszczący o okupacji telewizji Rai przez Meloni populistą Giuseppe Conte – 42 minuty.

Giorgia Meloni dobiła adwersarzy śmiechem. Wrzuciła do mediów społecznościowych filmik z serii „Zapiski Giorgii”. Powiedziała, że pora zmienić nazwę. Wystąpiła na tle napisu „TeleMeloni”, wytykając opozycji kłamstwa, a przede wszystkim piramidalną hipokryzję. Oczywiście występ Meloni cytowały wszystkie włoskie telewizje, radia i cała prasa. Włosi parsknęli śmiechem, a politycy opozycji zaczęli bełkotać, że sprawującemu rządu takie kpiny nie przystoją.

Najbardziej zdumiewające jest to, że zarzuty o wzięcie pod but mediów publicznych padły

z ust lewicy, która od lat 90. XX w. okupuje przytłaczającą większość mediów, a od zakończenia drugiej wojny światowej dominuje w środowisku kultury i nauki.

Miałem nieco starszego kolegę nikczemnej postaci. Był bardzo podobny do Jacopo, komicznego sługi hrabiego Monte Christo z bardzo wówczas popularnego wśród młodzieży serialu telewizyjnego. Więc mimo protestów zainteresowanego przezwaliśmy go Jacopo. Wracam któregoś dnia do domu i widzę, że z naprzeciwka idzie z dziewczyną za rękę Jacopo. Chłopak, by uniknąć kompromitacji w oczach dziewczyny, zrobił rzecz genialną. Zanim zdążyłem go powitać przezwiskiem, krzyknął do mnie: „Cześć, Jacopo!”. Zdębiałem. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

CO ZA ULGA

Coś ci nasi rozpolitykowani celebryci w ostatnim czasie zamilkli. Jakby w kraju nic się nie działo, władza podejmowała same roztropne decyzje, a Polakom żyło się cudownie. Krzysztof Zalewski, znany z wykrzykiwania ze sceny haseł o „je...iu” PIS i Konfederacji, rzucił na tę kwestię trochę światła. – Kiedy PIS przegrał wybory, troszkę przestałem interesować się polityką – już nie muszę, nie mam frustracji i poczucia bezsilności, które miałem wcześniej, mam za to zaufanie i nadzieję, że obecni rządzący będą

publicznych, prawa człowieka będą respektowane, a afery i korupcja zostaną zminimalizowane – bo nie jestem aż tak naiwny, żeby wyobrażać sobie, że teraz przyszli inni, bez skazy, i wszystko nagle będzie przepięknie – zaznacza muzyk. Zastrzega, że rzecz jasna i wśród „uśmiechniętej koalicji” są ludzie „nie do końca szlachetni”, ale co tam. – Mam poczucie, że scena polityczna w Polsce zaczyna się normalizować, więc ja już nie muszę psuć sobie krwi – wskazuje Zalewski. Brawo, Donald Tusk!

KANAPOWE
WYZNANIA

Z okazji Dnia Matki aktorka Weronika Rosati odwiedziła studio „Dzień dobry TVN”, aby wykorzystać to sympatyczne święto i przypomnieć ludziom o swoim istnieniu. Opowiedziała zarówno o byciu mamą, jak i o własnej mamie. Czy matka aktorki zaczęła się zachowywać inaczej, gdy została babcią? – Mają nieprawdopodobną więź. To jest wspaniałe, bo czuję się bezpiecznie, gdy ona jest z nią – tak o więzi babci i wnuczki mówi Weronika Rosati. Prowadzący spytali, czy aktorka cieszyłaby się, gdyby jej córka poszła w jej ślady i grała w filmach. Rosati szybko zaprzeczyła. – Kocham ten zawód, ale gdybym mogła cofnąć czas, to ukończyłabym inne studia – podkreśliła gwiazda. Wyznała, że nigdy nie życzyłaby swojej córce tego, by została aktorką. – To jest bardzo brutalny zawód dla kobiety i w ogóle jest to zawód bardzo niepewny – podkreśla Rosati. Celebryckie kozetki w śniadaniówkach powinny zostać zdelegalizowane.

ALE AKCJA...

Jesteśmy świadkami kolejnego kryzysu wizerunkowego Filipa Chajzera, tym razem naprawdę poważnego. Założona przez prezentera fundacja Taka Akcja ma poważne problemy z powodu zbiórki na ciężko chorego Oskara, którą Chajzer założył w 2022 r. Zebrano ponad 1,2 mln zł, które miały zostać przekazane na leczenie chłopca w USA. Portal

Goniec.pl opisał, że pieniądze przestały wpływać na konto matki dziecka, a fundacja ma zalegać z wypłatą 350 tys. zł. Monika Koziół twierdzi, że fundacja celebryty nie chce wypłacić jej pieniędzy, co grozi przerwaniem kosztownej terapii prowadzonej w USA. Po kilku godzinach od publikacji tekstu Chajzer opublikował emocjonalne oświadczenie. „Wszyscy mądrzy doradcy w moim otoczeniu mówią – Filip nie komentuj. Odsuś. Zostaw. Sprawą zajmuje się prokuratura, zrobisz wszystko, co mogłeś. Zgłosiłeś. Zapłaciłeś Pani Monice nie tylko kasę za leczenie w Chicago, o którą poprosiła, i mieszkanie na miesiąc niedaleko kliniki, ale nawet za bilety samolotowe w klasie BIZNES na trasie Warszawa – Chicago i Chicago – Warszawa [...]. Mam milczeć, ale... szczerze – ja to pi...dołę, bo nie mogę milczeć, kiedy czytam, że oszukałem matkę umierającego dziecka” – przekonuje. „Pani Monika Koziół w 2022 r. stanęła przed windą biurowca, w którym znajduje się studio »Dzień dobry TVN«. Już wtedy jej syn umierał, a uratować go miały 3 mln zł. Pani Monika płakała i oskarżała polską służbę zdrowia o brak diagnozy chorego dziecka. Jaka to choroba? Nie powiem Wam, bo dokumentacja z polskich szpitali jest... niejednoznaczna, ale z pewnością nie wskazuje na ewentualność śmierci dziecka. Dzięki mojemu zaangażowaniu zebraliśmy grubo ponad 1 mln zł, jednak Pani Monika dalej potrzebowała 3 mln. Kiedy pytałem – Po co, skoro są pieniądze na koncie? – słyszałem, że »dziecko umiera«. Dziś słyszę to samo” – zauważa zgrzyliwie. Prezenter przekonuje, że jego fundacja, oddana do prowadzenia zaufanym ludziom, „stała się fundacją pomocy jednemu dziecku z wątpliwą bazą do prowadzenia kolejnych akcji pomocowych”. Chajzer żali się, że „zabito” jego marzenia, a fundacja została okradziona. „Sprawę zgłosiłem do prokuratury. Regularnie do dziś stawię się na przesłuchaniach na policji. Przekazuję również rachunki wysyłane przez Panią Monikę, a dodam, że moja Fundacja nie jest jedyną, która aktualnie nie wypłaca jej środków. Weryfikuje” – przekazał. ©



FOT. WPHOTO/EAST NEWS

w stanie się dogadać i realizować swoje postulaty – przyznał rozbrajająco szczerze w wywiadzie dla wprost.pl. – Mógłbym teraz siedzieć, śledzić wszystko, co się dzieje na naszej arenie politycznej, i denerwować się, że są pęknięcia w koalicji dotyczące np. praw kobiet, ale nie mam na to wpływu, więc mogę sobie z pozycji coraz bardziej sporadycznego widza tych wydarzeń trzymać kciuki, że im się jednak uda porozumieć, że odkręcą ten cały syf, który PIS narobił przez ostatnie osiem lat, że przywrócą praworządność i zaufanie do instytucji



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, zbliża się powoli sezon urlopowy i dobrze Wam radzimy: dla wszystkich bezkidów najlepszy termin na wakacje to czerwiec, kiedy osobodzieci wciąż jeszcze siedzą w przedszkolach i szkołach. Bo potem wiecie, co się będzie działo: inwazja dopasionych „800+” bombelków na plaże, jeziora, lasy, góry i rzeki, rodzinny armageddon, po którym traumy nie zaleczycie, nawet jeśli będziecie chodzić na terapię za terapią.

Zwłaszcza że – jak sami wiecie – Polacy nawet w wieku dorosłym nie potrafią się zachować na wakacjach i nie dość, że ośmielają się jeździć dalej niż do najbliższego miasta powiatowego, to jeszcze zabierają ze sobą dzieci, często dziadków, a żeby gdzieś dojechać, to używają niskoemisyjnych, starych samochodów napędzanych ropą.

Co gorsza, nie ma możliwości ucieczki nawet za granicę, iż jak tylko Polacy zaczęli zarabiać więcej, to nie zaczęli inwestować w mieszkania czy apartamenty, ale jeżdżą na jakieś ultra all-inclusive. A skoro dzięki staraniom rządu średnia płaca rośnie, to i takich zagranicznych wyjazdów będzie więcej – trochę to taki miecz obosieczny.

Skalę naszej porażki pedagogicznej niech zilustrują wyniki badania, według którego połowa Polaków

nie chce przyjąć waluty euro. No w taki sposób to my nigdy tej integracji europejskiej nie dokończymy. No a chyba zdecydowanie lepiej byłoby zarabiać w europejskiej walucie, a nie w złotówce, której nikt już nie szanuje, iż nawet sama jej nazwa jest myląca, bo ona wcale nie jest przecież złota xD.

Posłużmy się przykładem. Jeśli teraz jakiś przeciętny janusz zarabia 4 tys. zł,

dlatego nie ma też zaufania do wspólnej waluty. A matematyka nie pozostawia tu przecież wątpliwości, co wyżej okazaliśmy.

No i wiadomo, że to nie tylko o euro chodzi, lecz także o postęp, o pewne idee, które się skutecznie zaimplikowały na zachodzie Europy, a u nas ciągle nie. Bo Polak nie rozumie, że to dla niego dobre, dlatego nasza misja edukacyjna tak szybko się nie będzie mogła zakończyć.

*Pan Kleks przekazuje Wielkiemu Elektronikowi
50 godzin nagrania z Akademii...*



Widzieliśmy jakieś zestawienie, że Polska będzie jednym z krajów, które najbardziej zyskają na wdrożeniu sztucznej inteligencji. Szczegół? No zupełnie nas to nie dziwi. Przecież popatrzcie nawet na te wyniki badania o euro – widać, jak inteligentni są Polacy.

Nic więc dziwnego, że gospodarka w tym kraju pozytywnie to odczuje, może nawet wtedy uda się w końcu przyjąć to euro. My się natomiast of kors nie obawiamy o swoje miejsca pracy, iż wysoko wykwalifikowani specjaliści w obszarach customer

service będą zawsze potrzebni. Martwić się raczej powinny te kuce z polibudy, które poszły programować, a potem się z nas śmiały, iż po socjologii pracy nie ma. Zobaczymy, kto tu się będzie śmiał ostatni. ©©

to po przyjęciu euro zarabiałby przecież 4 tys. euro. Euro jest warte jakieś 4 zł, więc janusz zarabiałby wtedy tak ze cztery razy więcej. Ale i tak mu źle, i tak nie chce, i tak nie zaufa.

Wiecie, z czego to naszym zdaniem wynika? Właśnie przede wszystkim z tej nieufności. Polak po prostu nie rozumie, że ktoś może chcieć dla niego dobrze,

service będą zawsze potrzebni.

Martwić się raczej powinny te kuce z polibudy, które poszły programować, a potem się z nas śmiały, iż po socjologii pracy nie ma. Zobaczymy, kto tu się będzie śmiał ostatni. ©©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Planeta płonie!

Róża, musisz coś unijnego skrytykować, bo polegniemy w tych wyborach. Spróbuj z tą dyrektywą budynkową.

Nie ma mowy, Szymon. To mi nie przejdzie przez gardło.

A ETS2? Może chociaż powiesz, że za szybko wprowadzane?
Ale my musimy to zrobić! Im szybciej, tym lepiej! Planeta płonie!

Ech... To może chociaż te zakrętki od butelek?
Ewentualnie...

No to powtórz za mną: „Przyczepianie zakrętek do butelek jest problematyczne”.

Przyczepianie zakrętek do butelek jest... pro... prob... prrrr... No nie dam rady.

Problematyczne. Dawaj!
Prombel... Wspaniale jest! ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Dla mojego pokolenia to jest dziwne”.

KUBA WOJEWÓDZKI, showman, w rozmowie w programie TVN z 23-letnią influencerką, która powiedziała, że chce mieć dzieci i męża

No i finisz kampanii. Ostatnie estymacje mówią, że będzie ciekawie, a z punktu widzenia PeŁo – nieciekawie. Co ciekawe, te nieciekawe wieści płyną nie skądinąd, jak ze sztabu PeŁo. Z tamtejszych badań i analiz wynika bowiem, że albo wygra PiS, albo będzie remis. Najciekawsza jest jednak odpowiedź na pytanie: Dlaczego tak może się stać? Odpowiedź poniżej.

Otóż rozmaite znaki na ziemi i niebie wskazują, że jeśli radykalnie nie poprawi się gotowość frekwencyjna elektoratu przystawek „oboju demokratycznego”, to skończy się to dla Lewicy pod progiem wyborczym. Na progu balansuje zaś Trzecia Droga. Żeby było ciekawiej, cieszą się z tego i w PiS, i w PeŁo. Znaczy w PeŁo nie wszyscy – głównie Donald, który chciałby wreszcie maluchom z koalicji pokazać miejsce w szeregu i przypomnieć, że nie ma zbawienia poza Platformą.

W związku z powyższym u zielonego malucha w koalicji – znaczy w Peezelu – rodzi się bunt. Choć może w tym akurat przypadku akuratniejsze byłoby słowo „rabacja”. Oni także mają tzw. wewnętrzne sondaże. I w związku z tym świadomość, że mimo iż wspólnie z Szymonem 2050, to i tak mogą wykręcić najwyższy wynik jednocyfrowy. I nie będzie to cyfra duża. Bardzo to niepokoi włościan i tak uważających, że w rządowym rozdaniu dostali zbyt mało.

Na tym nie koniec. Są bowiem także sondaże, w których chłopię wyglądają nawet dużo gorzej niż konfederaci. Jeśli dowiozą ten wynik do wyborów, to można być prawie pewnym, że Kosiniak-Tygrys-Kamasz cytata „mego dziada piłą rżnęli” będzie wspominał nieledwie jako pieszczoły. Przeciwno Tygrysowi zresztą coraz głośniejszemu dobry, stary, sprawdzony Waldek Pawlak. I znajduje posłuch w coraz większym gronie partyjnych dołów.

U zielonego malucha w koalicji – znaczy w Peezelu – rodzi się bunt. Akuratniejsze słowo to „rabacja”

Skoro już padło hasło „Konfederacja”. Tam, dla odmiany, trwa ruchawka między dawniejszymi korwinistami a narodowcami. Prawie pewne jest, że konfederaci wypadną na tyle dobrze w wyborach, że wzmocnią prawicę w europarlamencie. Tylko nie bardzo wiadomo którą. I tego dotyczy spór.

Już wyjaśniamy. Żeby odróżnić się od PiS, konfederaci powinni wejść do frakcji ID, czyli Identity and Democracy, czyli po naszemu Tożsamość i Demokracja. Tyle że nie wiadomo,

czy ta grupa w ogóle jeszcze będzie po wyborach istniała. Główną siłą w ID jest bowiem Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen. A ta proponuje sojusz włoskiej premier Giorgii Meloni. Jeśli to wypali, to w europarlamencie będzie tylko jedna licząca się frakcja konserwatywna – i to ta, w której znajdzie się też PiS. A to oznacza, że będzie tylko jedna licząca się frakcja konserwatywna. I będzie to frakcja z PiS, od którego konfederaci za wszelką ceną chcą się odciąć. Nazywamy to kwadraturą koła.

Cale to zamieszanie jest ciekawsze, niż się wydaje. Wyjaśniamy. PiS od dawna chciał współpracy z Le Pen, ale się wstrzymywał, bo Marine była w jednej frakcji z AfD, znaczy Alternative für Deutschland, uważanej powszechnie za ruską onucę. Dzielna Francuzka obiecała Polakom, że Niemców odpali. I tak uczyniła, otwierając drzwi do



FOT. ROBERT GARDINSKI

nowego sojuszu. Teraz wszystko zależy od Meloni. A wiewiórki ćwierkają, że dumna Włoszka może skrewić.

PiS tymczasem marzy o wyniku maksimum – i mogłoby to być 25 mandatów. Przy założeniu, że próg oprócz PiS i PeŁo przekroczy tylko Konfa. Prywatnie prezes naczelnik szeregowy nadpremier Jarosław Kaczyński mówi, że bardzo chce wygrać. Zresztą w tym celu nieustannie peregrynuje po kraju. Oficjalnie zaś tonuje nastroje.

Apropos peregrynacji po kraju. Na początku tygodnia helikopterowe podróże planuje prezydent Andrzej Sebastian. Osoba głowy państwa pojawiła się tu i ówdzie, np. w Wielkopolsce, gdzie kandydat Andrzeja Sebastiana, popularny Wojciech Kolargol Kolarski, pozostaje w cieniu kandydatów wspieranych przez szeregowego nadprezesa tudzież byłą premier Bełatę. My się wzmożeniu prezydenta nie dziwimy, też byśmy wszystko zrobili, żeby nie być w Warszawie 4 czerwca, na Wiecu Miliardów organizowanym przez Złego Donalda z Sopotu.

Wramach kampanii do europarlamentu doszło do publicznej scysji między Bełatą Szydło a niejakim Mastą Mastalerkiem od prezydenta Andrzeja Sebastiana. Niby o kandydaturę Kurskiego, a tak naprawdę o wspomniane wcześniej sekowanie przez Bełatę kandydatury Wojciecha Kolargola w Wielkopolsce. Jesteśmy zdziwieni tym spięciem. Pamiętamy bowiem, jak to Bełata swego czasu – wraz z Elżbietą Witek – bohatersko broniła Masty przed wyrzuceniem z PiS. Czasy się jednak zmieniły. A Masta jest w starym PiS na cenzurowanym nie z powodu Kolargola, lecz skłaniania się ku Mateuszowi Morawieckiemu.

Na finiszu kampanii niektórzy pytają nas, co z niej zapamiętamy. Odpowiadamy, że niewiele, gdyż wchodzimy w wiek sędziwy i z naszą pamięcią jest tak sobie. Bez wątpienia jednak zapamiętamy, że Donald Tusk dzielnie bronił polskiej granicy z Białorusią przed hybrydowym atakiem Putina i migrantów oraz występował w obronie

Zapowiadany przez nas projekt telewizji prawicowej PiS jest już w Polsce. Może niektórzy pamiętają, jak pisaliśmy o inwestorze węgierskim z elementami portugalskimi. No i Węgrzy złożyli wniosek o koncesję na ósmym multipleksie telewizji cyfrowej

honoru polskiego żołnierza. Zdziwionym odpowiadamy: gdyby kampania potrwała jeszcze ze dwa tygodnie, okazałoby się, że Tusk osobiście wstrzymał ruskie czołgi w Gruzji w 2008 r. i sprowadził do Tbilisi przywódców wolnego świata.

Skoro już o mądrości etapu, która sprawia, że Tusk zapewnia o swej antyrosyjskości. W Prokuraturze Krajowej zachodzą w głowę, jak te piękne deklaracje pogodzić z rzeczywistością. A rzeczywistość jest taka, że właśnie faktycznie rozgoniono pion wojskowy, którego głównym zadaniem – poza zwalczaniem korupcji w armii – było właśnie ściganie ruskich szpionów. Podpowiadamy – to pierwsze łączy się z tym drugim.

Wracamy na chwilę do Szymona Płacziwego 2050. Chcielibyśmy odnotować jego wypowiedź, której pełne znaczenie nie do wszystkich dotarło. Otóż niedawno w koalicji rządzącej wybuchła chryja na temat tego, czy w połowie kadencji Sejmu zmienić marszałka i zgodnie z obietnicą dać stanowisko Czarzastemu czy też nie. Na co Szymon oznajmił, że „umowa koalicyjna to nie jest Pismo Święte” i może być renegocjowana. Wyciągamy z tego wniosek, że Pismo Święte renegocjowane być nie może. W związku z tym zdecydowanym stanowiskiem Szymona wzywamy Trzecią Drogę do dostosowania swych decyzji podczas głosowań do zaleceń Pisma Świętego. Znaczących pozostałych też wzywamy, ale ci pozostali raczej nie znają, bo nie czytali.

Wiadomość dla nieuważnych: zapowiadany przez nas projekt telewizji prawicowej PiS jest już w Polsce. Może niektórzy pamiętają, jak pisaliśmy o inwestorze węgierskim z elementami portugalskimi. No i Węgrzy złożyli wniosek o koncesję na ósmym multipleksie telewizji cyfrowej. Tym samym, na którym koncesji pragną TV

Republika Sakiewicza tudzież telewizja w Polsce należąca do Braci Mniejszych. Zgadnijcie, któremu wnioskowi kibicuje były nadpremier Jarosław Kaczyński.

Zadane powyżej pytanie jest podchwytliwe. Jarosław w imię pluralizmu kibicuje jednak wszystkim. Oficjalnie. Natomiast nie chciałby być zależny medialnie ani od Sakiego, ani od braci. W związku z tym gorąco kibicuje Węgrom, którzy mogą liczyć na silne merytoryczne wsparcie z Polski. To wsparcie nazywa się Mateusz Matyszko-wicz, Samuel Pereira i Michał Adamczyk.

Powyższa bohaterska walka przynosi się czasem spod dywanu nad dywan. Ot, ostatnio prezes prezesów mówił publicznie na jednym z wieców, że jedna Republika nie wystarczy. A Saki na jubileuszu jednego z klubów GazPola – że nikt im nie będzie mówił, co mają robić. Takie tam. Oczekujemy więc od szefa KRRiT przyznania koncesji wszystkim chętnym. Niech rozkwita tysiąc kwiatów. Albo chociaż trzy.

Proces koncesyjny to niejedyny proces, który nas interesuje. Z uwagą obserwujemy także przygotowania do procesu stulecia. Zwłaszcza że były minister, przyszły eurodep Marcin „Pogłos” Kierwiński, mówi, że wysłał już pozwy do tych, którzy uważają, że, cytując Jacka Protasiewicza, „był napruty jak messerschmitt” podczas Dnia Stróżaka. No i właśnie jeden pozew poszedł do Protasiewicza, który w odpowiedzi poinformował, że nie może się doczekać procesu, i zapowiedział udział biegłych ekspertów od nagłośnienia oraz od uzależnień. Ponieważ lubimy precyzję, chcielibyśmy dopytać, czy eksperci od uzależnień mają dysponować wiedzą teoretyczną czy praktyczną. Bo jakby co, to mamy paru kolegów z doświadczeniem. A i sami nieco wiemy. ©©



Co nam odbiera Unia Europejska



Tomasz Cukiernik

Nikt nie ma odwagi powiedzieć Polakom, że państwo polskie nie istnieje. To Unia Europejska jest państwem

Unia Europejska ma wszystkie atrybuty państwa: terytorium, granice, ludność z obywatelstwem europejskim, władzę, osobowość prawną, stolicę, bank centralny i własną walutę oraz symbole – flagę, hymn – a ponadto prowadzi politykę zagraniczną, handlową, celną, rolną. A żadna część państwa nie może być innym państwem. Jesteśmy zatem unijnym województwem, prowincją czy landem (można nazwać dowolnie), a polski premier jest co najwyżej kimś na kształt wojewody. Do naszego systemu prawnego musimy wdrażać wszystkie unijne dyrektywy i rozporządzenia, a jednocześnie nasze ustawy nie mogą być sprzeczne z prawem unijnym.

W przeciwnym razie najpierw grożą nam polityczne naciski ze strony Komisji Europejskiej, także połączone z szantażem odebrania unijnych funduszy, a następnie kary finansowe nakładane przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Na przykład całkiem niedawno za niewdrożenie na czas dyrektywy o sygnalistach Polska przez luksemburski trybunał została ukarana jednorazową kwotą 7 mln euro oraz 40 tys. euro dziennie do momentu implementacji prawa unijnego w tym zakresie.

KOLEJNE DZIEDZINY ODBIERANE

A tymczasem z propozycji zmian traktatowych ujawnionych pod koniec 2023 r. wynika, że kolejne dziedziny życia państwowego będą przechodziły z kompetencji krajowych do unijnych: ochrona środowiska i bioróżnorodność, polityka zagraniczna i bezpieczeństwa, ochrona granic, obrona cywilna, przemysł, zdrowie publiczne, edukacja i leśnictwo.

Ponadto w takich istotnych obszarach, jak polityki: zagraniczna, bezpieczeństwa oraz obrony, głosowanie na zasadzie jednomyślności ma zostać zamienione

na głosowanie większością głosów, co oznacza, że kraj członkowski może zostać przegłosowany i wbrew własnemu interesowi będzie musiał wdrażać szkodzące mu decyzje. Pojawił się też postulat utworzenia unijnej armii, a wraz z realizacją Europejskiego Zielonego Ładu stracimy i suwerenność energetyczną (energetyka oparta na surowcach, których nie mamy), i żywnościową (import żywności). Utracimy fundamenty niezależności.

Obowiązuje pierwszeństwo prawa unijnego nad porządkami prawnymi krajów członkowskich. W art. 8.1 polskiej konstytucji czytamy co prawda, że „Konstytucja jest najwyższym prawem Rzeczypospolitej Polskiej”, ale art. 9 mówi wyraźnie, że „Rzeczpospolita Polska przestrzega wiążącego ją prawa międzynarodowego”. Traktaty unijne są właśnie takim prawem, a prawo wtórne Unii Europejskiej z nich wypływa. W 2021 r., w czasie politycznego sporu z rządem PiS, przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen stwierdziła jednoznacznie, że „prawo unijne ma prymat w stosunku do prawa krajowego, w tym także do przepisów

Koźmińskiego Jerzy Kranz, były dyrektor departamentu prawnego i były podsekretarz stanu w MSZ, „nadrzędność konstytucji jest zasadą prawa krajowego – i tylko tego prawa (np. w odniesieniu do ustaw lub rozporządzeń). W relacjach międzynarodowych i w prawie międzynarodowym taka zasada nie istnieje i nie obowiązuje – nie są tego w stanie zmienić krajowe parlamenty lub sądy konstytucyjne. Państwa ani ich konstytucje nie mają władzy nadrzędnej nad innymi państwami lub organizacjami międzynarodowymi”.

Okazuje się, że większą niezależność niż kraje członkowskie Unii Europejskiej mają amerykańskie stany, które przecież nie są suwerenne, a mają jedynie autonomię w ramach USA. Na przykład nie ma federalnego obowiązku i władze każdego stanu amerykańskiego mogą zdecydować, czy wprowadzić system handlu emisjami dwutlenku węgla. Tylko 11 stanów USA (rządzonych przez demokratów) przystąpiło do amerykańskiego odpowiednika ETS – Regionalnej Inicjatywy na rzecz Gazów Ciepłarnianych (RGGI). W Unii Europejskiej żaden kraj członkowski

W takich obszarach, jak polityki: zagraniczna, bezpieczeństwa oraz obrony, głosowanie na zasadzie jednomyślności ma zostać zamienione na głosowanie większością głosów, co oznacza, że kraj członkowski będzie musiał wdrażać szkodzące mu decyzje

konstytucyjnych”. Dodała, że „wszystkie państwa członkowskie to zaakceptowały. Użyjemy wszystkich mocy traktatowych, aby to zapewnić”. Zresztą w 2023 r. Sąd Najwyższy poinformował jasno, że w razie „stwierdzenia sprzeczności między przepisem prawa krajowego a przepisem prawa UE rolę sądu krajowego jest w pierwszej kolejności podjęcie próby prounijnej wykładni przepisu prawa krajowego [...]”. Jeśli natomiast sąd krajowy nie może zinterpretować przepisu prawa krajowego w sposób zgodny z prawem UE [...], należy rozważyć kwestię odmowy zastosowania przepisu prawa krajowego”.

Jak w „Monitorze Konstytucyjnym” podsumowuje profesor Akademii Leona

nie ma możliwości nienależenia do szkodliwego systemu handlu emisjami. Podobnie w 18 amerykańskich stanach zakazano wprowadzania ESG, ponieważ jest to szkodliwe dla firm. W Unii Europejskiej muszą ten absurdalny i kosztowny obowiązek realizować wszystkie kraje. Widać wyraźnie, że amerykańskie stany mają większą autonomię niż prowincje Unii Europejskiej.

Oczywiście można argumentować, że sami się na to zgodziliśmy i sami dobrowolnie przekazaliśmy Brukseli nasze kompetencje i że jesteśmy państwem suwerennym dopóty, dopóki możemy sprawić, że te wszystkie kompetencje do nas wrócą. Z punktu widzenia uregulowań

traktatu lizbońskiego, który wprowadził przepis umożliwiający opuszczenie bloku, oraz z brytyjskiej praktyki wydaje się, że polexit jest jak najbardziej możliwy. Czy na pewno? Dla Niemiec opuszczenie Unii przez Wielką Brytanię było korzystne, bo wzmacniało pozycję Berlina. Całkowicie inaczej wygląda sytuacja z Polską. Dla Berlina jesteśmy istotnym krajem, w którym prowadzą swoją imperialną politykę kolonizacyjną. Jesteśmy Niemcom potrzebni jako tani podwykonawcy biorący niskie marże, jako spory rynek zbytu niemieckich produktów i jako tania siła robocza. Niemcy łatwo nie wypuszczą takiego kęsa z rąk. Polexit będzie tym bardziej niemożliwy, kiedy powstanie unijna armia, w której z pewnością najważniejsze decyzje będą podejmowali Niemcy jako najsilniejszy kraj bloku. Zresztą Bruksela nigdy nie brała pod uwagę racji stanu krajów mniej znaczących.

CORAZ MNIEJ WOLNOŚCI

Unia Europejska coraz bardziej ogranicza również nasze prawo do wolności i wolnego wyboru. Zakazano tradycyjnych żarówek, termometrów rtęciowych, foliówek i plastikowych słomek. To była jedynie przygrzywka. Wykorzystując wygodny pretekst ochrony klimatu, Bruksela zakazuje samochodów spalinowych, a wcześniej wjazdu nimi do miast, nakazuje, czym mamy ogrzewać swoje domy, co możemy palić (zakaz jednorazowych papierosów elektronicznych), jakie niepotrzebne systemy mają być montowane w każdym samochodzie czy traktorze, jakie biokomponenty ma zawierać paliwo, jak myśleć (Europejski Obszar Edukacyjny, rezolucja w sprawie europejskiej świadomości historycznej) i jakiego używać słownictwa (ograniczanie wolności słowa, kryminalizacja mowy nienawiści). Komisja Europejska ustaliła nawet standardy spłukiwania wody w toalecie i pisuarach.

Z kolei pod pretekstem antyterrorystycznym ograniczane jest prawo do płacenia gotówką powyżej 10 tys. euro (w obrocie profesjonalnym), a na dodatek w przypadku wydatków powyżej 3 tys. euro klient ma być obowiązkowo weryfikowany. Do tego dochodzi coraz większa ingerencja Brukseli nie tylko

w przemyśle i handlu, lecz także w rolnictwie. Jeden z nowszych unijnych przepisów zakazuje sypkiego brokatu. Wszystkie te regulacje to niewiarygodne ograniczanie naszej wolności, które jeszcze w latach 90. byłoby nie do pomyślenia.

Jednak najbardziej niebezpieczny w kwestii naszej wolności jest realizowany po cichu w ramach Krajowego Planu Odbudowy tzw. portfel tożsamości cyfrowej. Publicysta „Do Rzeczy” Jakub Wozniński obawia się, że może on „niepostrzeżenie dostarczyć eurokratom narzędzia do wprowadzenia totalitarnej kontroli na wzór chiński”. Jak pisze w magazynie „Polonia Christiana”, narzędzie to może wyposażać eurokratów „w niezwykle potężne źródło informacji o obywatelach oraz natępiać ich równie wielką pokusą, by z tej wiedzy skorzystać w nieodpowiedni sposób, a nawet permanentnie nadużywać jej w celu stworzenia systemu politycznego niedopuszczającego żadnego realnego sprzeciwu na wzór wschodnich reżimów”. W dodatku będą mogły być cenzurowane poglądy inne niż aprobowane przez unijne władze.

CORAZ MNIEJ WŁASNOŚCI

Bez własności prywatnej nie można mówić o wolności, a tymczasem Unia Europejska coraz bardziej nastaje również na naszą własność. Widać to szczególnie wraz z realizacją kolejnych pomysłów Europejskiego Zielonego Ładu.

Tak zwana dyrektywa budynkowa wymusza na właścicielach niepotrzebne i kosztowne remonty budynków (wymiana okien, ocieplenie ścian, wymiana źródeł ciepła, instalowanie fotowoltaiki), a nowe budynki z powodu regulacji klimatycznych będą znacznie droższe. Niektórzy w tym celu będą zmuszeni do zaciągania kredytów. Nie wszyscy Polacy będą jednak mieli zdolność kredytową. Taki niewyremontowany dom prawdopodobnie nie będzie mógł zostać ani wynajęty, ani sprzedany. Jednocześnie

właściciele dostaną kary finansowe za brak remontu. Czy w takiej sytuacji Polakom będą odbierane domy na poczet niespłaconego kredytu albo niezapłaconej kary?

Słusznie więc dyrektywa budynkowa została przez polityków Konfederacji ochrzczona dyrektywą wywłaszczeniową. – Będą to wywłaszczenia polegające na tym, że zostaną nałożone obowiązki przeprowadzenia remontów według określonych wytycznych, że koszty tych remontów spadną na właścicieli mieszkań, właścicieli domów – mówi skarbnik Konfederacji Michał Wawer. – Dyrektywa jasno mówi o tym, że żadne dodatkowe pieniądze na ten cel nie będą alokowane i jeżeli kogoś nie będzie stać, jeżeli ktoś nie będzie miał zdolności kredytowej, żeby na ten cel się zadłużyć, to będzie zmuszony, żeby swoje mieszkanie, swój dom po prostu sprzedać, żeby wynieść z tego całego zamieszania jakiegokolwiek pieniądze – podkreśla Wawer. I dodaje: – W przeciwnym wypadku czekają go kary administracyjne, być może nawet postępowanie karne.

Tym bardziej że dojdzie do ogromnego wzrostu kosztów zarówno budowy nowych mieszkań, jak i eksploatacji istniejących budynków. – Ta dyrektywa może mieć skutek w ograniczeniu prawa własności, że w zamierzeniu może prowadzić nawet do wywłaszczeń ze względu na to, że ludzie nie będą w stanie udźwignąć ciężaru zobowiązań nakładanych przez eurokratów na Polaków, polskie instytucje i samorządy – stwierdza poseł Konfederacji Krzysztof Bosak, wicemarszałek Sejmu.

Bruksela ogranicza także możliwości decydowania właścicieli o własnych firmach. Według eurokratów celem prowadzenia działalności gospodarczej nie jest już wypracowywanie zysku, tylko jakieś wydumane cele pozafinansowe. Dyrektywa CSRD zmusza firmy do raportowania na temat kwestii klimatycznych, społecznych

Bez własności prywatnej nie można mówić o wolności, a tymczasem Unia Europejska coraz bardziej nastaje na naszą własność. Widać to szczególnie wraz z realizacją kolejnych pomysłów Europejskiego Zielonego Ładu

i korporacyjnych. No, ale żeby mieć co raportować, najpierw trzeba coś konkretnego robić w tym kierunku, czyli marnować czas i pieniądze. Ekspersi są zgodni: w efekcie firmy będą mniej konkurencyjne. Zdaniem Tomasza Wróblewskiego, prezesa Warsaw Enterprise Institute, to powrót do marksizmu, jedynie w nowocześniejszej i nie tak brutalnej na tym etapie formie. W rozmowie z redaktorem naczelnym portalu Raportcsr.pl Wróblewski dodaje, że ESG będzie skuteczne w zubażaniu społeczeństwa, a inwestorzy będą wycofywali swoje pieniądze. Kosztem niemal całej gospodarki zarobią na tym głównie firmy audytorskie.

W III Rzeszy, choć przedsiębiorstwa nadal były prywatne, władza głęboko w nie ingerowała. Przemysłowcy musieli realizować wytyczne hitlerowców. Niemieckie koncerny miały działać nie tyle dla własnego zysku, ile bardziej na korzyść państwa. Dokładnie w tym samym kierunku zdąża Unia Europejska. Poprzez ESG Bruksela chce wszystko wiedzieć o firmach, osłabić je i jednocześnie wpływać na ich politykę. W obu przypadkach to urzędnik, a nie właściciel ma ostatnie zdanie. To urzędnik swoją decyzją może firmę zniszczyć. Własność staje się iluzoryczna.

Jakby tego było mało, Rada UE właśnie przyjęła dyrektywę CSDD, czyli dyrektywę w sprawie należytej staranności w zakresie zrównoważonego rozwoju przedsiębiorstw. Zakłada ona realizację przez duże przedsiębiorstwa obowiązku należytej staranności w celu przeciwdziałania negatywnym skutkom prowadzenia działalności gospodarczej w zakresie praw człowieka i środowiska. Niestety, chociaż małe i średnie firmy nie będą bezpośrednio objęte przepisami dyrektywy, to wejście jej w życie będzie miało również oddziaływanie na ten sektor. Rozmawiałem niedawno z urzędnikiem ministerialnym, który zajmuje się tą dyrektywą. Stwierdził, że dla firm będzie to jeszcze większa katastrofa niż ESG. Jednym słowem: eurokraci zdecydowali, że firmy mają działać wbrew własnemu interesowi i interesowi ich właścicieli. A pamiętajmy, że zrównoważony rozwój to eufemizm oznaczający nieoptymalny, wolniejszy wzrost firm i całej gospodarki. Rozwój

kierowany nie przez siły rynkowe, a przez państwowych planistów i innych biurokratów, uderzający w przyszłość naszą, naszych dzieci i wnuków. Zrównoważony rozwój to nic innego jak realizacja idei kapitalizmu interesariuszy Klausa Schwaba, której ostatecznym celem jest wzmocnienie globalnych korporacji kosztem firm lokalnych.

Kolejnym unijnym atakiem na własność jest kwestia wymuszania inwestycji w odnawialne źródła energii.

przyjedzie na urlop do elektrowni? Nie na tym polega dbanie o przyrodę, a także o fundament naszej cywilizacji, jakim jest prawo własności prywatnej.

PLAN ZNIEWOLENIA

O co w tym wszystkim chodzi? Unia Europejska realizuje konkretny plan zniewolenia narodów europejskich zgodny z ideologią włoskiego komunisty Altiera Spinellego. To droga wyznaczona przez Manifest z Ventotene, czyli idąca

Unia realizuje plan zniewolenia narodów europejskich zgodny z ideologią komunisty Altiera Spinellego. To droga idąca w kierunku likwidacji państw narodowych na rzecz budowy totalitarnego superpaństwa z gospodarką centralnie planowaną

Polacy z całego kraju zaczynają się skarżyć na nowe farmy fotowoltaiczne i wiatrowe, które mają istotny wpływ na położone obok nieruchomości, a także na walory przyrodnicze czy zdrowie. Wiatraki stawiane są w pobliżu gospodarstw domowych, a panele fotowoltaiczne na polach, w tym nawet na terenach chronionych przyrodniczo. Rozmawiałem o tym problemie z właścicielami nieruchomości w Sudetach Środkowych, na Warmii, na Pomorzu czy w województwie świętokrzyskim. – Wiatraki oznaczają dewastację terenu w obrębie wielu kilometrów, zabijają ptaki, a ludziom nie dają normalnie żyć – mówi Tomasz Berliński, mieszkaniec pięknych przyrodniczo terenów gminy Górowo Iławeckie, gdzie ma powstać elektrownia wiatrowa. W Suchoj Koszalińskiej wiatraki mają być postawione 400 m od domostw. Z kolei mieszkańcy Pierzchnicy pod Kielcami sprzeciwiają się budowie gigantycznej farmy fotowoltaicznej o mocy 182 MW, ale na razie są bezsilni. Lokalne społeczności nie chcą mieszkać w elektrowni: w lesie wiatraków czy pomiędzy panelami ciągnącymi się po horyzont. Efektem jest spadek wartości nieruchomości. Na dodatek ludzie prowadzący agroturystykę na atrakcyjnych turystycznie terenach tracą możliwość zarabiania. Kto

w kierunku likwidacji państw narodowych na rzecz budowy totalitarnego superpaństwa z gospodarką centralnie planowaną. Aby łatwiej zapanować nad przyszłymi buntami świadomej części społeczeństwa przeciwko temu nowemu łaadowi, konieczna jest znacznie większa inwigilacja niż za czasów komunistycznych (i po to jest cyfryzacja, w tym również portfel tożsamości cyfrowej), a sprawę ułatwi postępujące ubóstwo (ludzie biegający za jedzeniem nie będą mieli czasu na rewoltę) oraz wymieszanie kulturowe (imigranci z obcych kulturowo części świata). – To, co Spinelli nazywał „likwidacją państw narodowych”, oni określają jako „pogłębianie integracji”, „więcej Europy w Europie” etc. – krytykował w 2017 r. działalność europarlamentarnej Grupy Spinellego prof. Mirosław Piotrowski. – Wiele wskazuje na to, że UE w obecnym kształcie jest organizacją neokomunistyczną.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Autor artykułu jest także autorem wydanej niedawno książki „Dwadzieścia lat w Unii” podsumowującej bilans polskiego członkostwa w europejskich strukturach.



Łukasz Warzecha

Z sondaży robionych w ciągu ostatnich tygodni przed wyborami do Parlamentu Europejskiego wynika, że ziścić się może czarny sen zwolenników unijnego głównego nurtu: połączone siły suwerennościowe mogą przeważać nad liczebnością dotąd największej grupy w Parlamencie Europejskim – Europejskiej Partii Ludowej (EPP). Nic jednak nie jest pewne ani oczywiste

Spójrzmy na procenty w przeliczeniu na mandaty – bo to się liczy przede wszystkim. W sumie w PE w tej kadencji (to zmienna liczba – obecna wynika z brexitu) będzie 720 miejsc. W różnych sondażach EPP uzyskuje od 163 do 182 mandatów. Konkurencją dla głównego nurtu są przede wszystkim grupa Tożsamość i Demokracja (I&D – w tej grupie zasiadają m.in. europosłowie francuskiego Zjednoczenia Narodowego) oraz Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy (ECR – do tej grupy politycznej należy PiS). Obecnie I&D ma dokładnie tylu samo europosłów co ECR (osłabiona brexitem), czyli po 64, EPP to z kolei aż 176 miejsc, zatem wyraźnie więcej.

Sondaże pokazują, że skrajniejsza I&D może wyprowadzić liczebnością ECR. Ta pierwsza mogłaby zgromadzić od 79 do nawet 94 posłów. Ta druga mogłaby również liczyć na wzrost i miałyby od 70 do 87 członków. W wariantach najkorzystniejszych dla sił suwerennościowych liczebność obu grup w sumie sięgałaby zatem ok. 170–180 europosłów.

JESZCZE WIĘCEJ PODZIAŁÓW?

Wobec takiej zmiany, będącej jasnym skutkiem wzrostu eurosceptycyzmu (w umownym znaczeniu tego pojęcia) wśród unijnych wyborców, pojawiły się jakiś czas temu spekulacje, że ECR mogłaby połączyć się z I&D i stworzyć nową grupę polityczną, co dawałoby duże korzyści

Parlament Europejski jako hamulcowy



FOT. PHILIPPE STRIMWES/EP/UEU

z punktu widzenia formalnych reguł rządzących procedowaniem w PE (więcej czasu na wystąpienia, ważniejsze projekty regulacji do prowadzenia itd.). Taki ruch, jakkolwiek logiczny, nie jest oczywisty.

Jeśli mówi się dzisiaj o zmianie nastawienia Parlamentu Europejskiego, to ma się na myśli wynik takich ugrupowań jak hiszpański VOX, francuskie Zjednoczenie Narodowe (RN), polskie PiS i Konfederacja, a także niemiecka Alternative für Deutschland (AfD). Dzisiaj RN należy do grupy I&D, PiS zaś stanowi trzon ECR.

Osobna kwestia to AfD. W niemieckich sondażach ta partia (której twarzą jest Alice Weidel – elokwentna, bojowa, postawna blondynka, zarazem lesbijka, wychowująca dziecko wspólnie ze swoją partnerką) mimo pewnego spadku wciąż utrzymuje się na drugim miejscu przed socjaldemokratami, a za CDU/CSU. Ten ostatni sojusz zbiera regularnie ok. 30 proc. wskazań, AfD zaś od 15 do 20 proc. SPD uzyskuje od 14 do 17 proc.

Natomiast w PE Alternatywa dla Niemiec jest od niedawna traktowana jak

parias – co jest przedłużeniem stosowanej wobec niej w Niemczech polityki kordonu sanitarnego – i jej europosłowie są niezrzeszeni. To skutek spięcia z francuskim – do niedawna partnerem Niemców – Zjednoczeniem Narodowym Marine Le Pen. Le Pen, podobnie zresztą jak Giorgia Meloni we Włoszech, coraz wyraźniej przesuwają się ku głównemu nurtowi. Częścią tej strategii jest chęć odcięcia się od AfD postrzeganej jako skrajna. Europosłowie tej partii do niedawna zasiadali wspólnie z kolegami z RN w grupie I&D, ale zostali z niej dopiero co wykluczeni właśnie z inicjatywy Francuzów. Pretekstem stała się wypowiedź Maximiliana Krahha, kandydata AfD w nadchodzących wyborach, który w wywiadzie dla włoskiej gazety powiedział, że nie wszyscy członkowie Waffen-SS (tej formacji nie należy mylić z „czystym” SS) byli z definicji zbrodniarzami. Skoro taki krok zrobiono tuż przed wyborami, to trudno sobie wyobrazić, żeby po nich RN ponownie połączyło się z AfD, a zatem scenariusz jednej dużej grupy suwerennościowej wydaje się

mało prawdopodobny. Ba, może się nawet okazać, że zamiast takich dwóch pojawią się trzy. Co oczywiście nie wyklucza wspólnego, zgodnego głosowania w wielu kwestiach, ale z powodów proceduralnych utrudnia wpływanie na działania PE.

Przed wyborami do PE zarysowała się klarowna linia narracyjna. Główny nurt polityczny skupił się na tym, żeby z jednej strony uspokajać narastające w całej Europie obawy związane ze skutkami Zielonego Ładu, z drugiej – przekonywać, że wsparcie dla partii krytykujących dotychczasowy kurs UE oznacza faktycznie działanie na rzecz Władimira Putina. Ta ostatnia taktyka jest wyraźnie widoczna w Polsce. Takie przesłanie zawarł w swoim exposé Radosław Sikorski, pojawia się ono w bardzo wielu wypowiedziach pana premiera Tuska oraz w większości wystąpień polityków Koalicji Obywatelskiej i Lewicy (od tej retoryki wydają się stronić przedstawiciele Trzeciej Drogi).

Z kolei przedstawiciele ugrupowań suwerennościowych starają się pokazywać jako jedyna alternatywa dla lawinowo narastających w związku z polityką klimatyczną kosztów życia czy w kwestiach takich jak luźna polityka imigracyjna. Podobnie jak w polityce wewnętrznej sprzyjają im na poziomie UE sytuacje, które pozwalają im się prezentować jako antysystemowcom.

KOLEJNA UKŁADANKA

Szczególnie ciekawy jest pod tym względem wątek wyborów przyszłego przewodniczącego Komisji Europejskiej. KE ma ogromne znaczenie jako jeden z dwóch organów Unii uprawnionych do inicjowania regulacji (obok Rady). Inaczej niż w przypadku narodowych systemów politycznych takich uprawnień nie posiada PE – może jedynie uchylać rezolucje wzywające Radę UE lub KE do podjęcia działań ustawodawczych oraz uczestniczyć oczywiście w procesie tworzenia prawa.

Wobec narastających oskarżeń o brak demokratycznej legitymacji przewodniczącego KE – który jest wybierany na zasadzie uzgodnień pomiędzy krajami członkowskimi, ale musi być zatwierdzony przez PE – w 2014 r. po raz pierwszy postanowiono uruchomić procedurę Spitzenkandidaten, w której ramach pretendenci do stanowiska szefa Komisji mieli prowadzić coś na kształt kampanii

wyborczej. Ta procedura działa również teraz, ale jest w dużej mierze teatrem i fikcją. Nie zmienił się bowiem sposób wyłaniania przewodniczącego Komisji Europejskiej, opisany w traktacie lizbońskim w art. 17.7: wciąż kwalifikowaną większością wyboru dokonuje Rada Europejska, a następnie tak wyłonioną osobę zatwierdza Parlament. Pseudokampania wynikająca z nieformalnej procedury Spitzenkandidaten nie ma żadnego wpływu na targi pomiędzy krajami członkowskimi. Może mieć jakiś – znikomy – wpływ na decyzję niektórych europosłów, a przede wszystkim ma tworzyć złudzenie dla opinii publicznej, że kandydaci podlegają jakiejś publicznej weryfikacji.

Podczas rozmów kilka tygodni temu w Brukseli usłyszałem od urzędnika gabinetu jednego z komisarzy, że podstawowym atutem Ursuli von der Leyen w tym wyścigu jest to, iż nie jest kimś nowym. W takim bowiem wypadku trzeba by od nowa tworzyć całą układankę polityczno-narodowościowych zależności. Ta wątpliwa zaleta może przeważać nad wadami Niemki, takimi jak jej nieumiejętność pracy z ludźmi, oschłość, zaskakiwanie komisarzy samodzielnie podejmowanymi decyzjami czy wreszcie to, że najważniejsza jest dla niej zielona agenda – a to właśnie zraża dużą liczbę wyborców.

Siły suwerennościowe – reprezentowane przez dwie wspomniane grupy polityczne: ECR i I&D – nie uznają procedury wiodących kandydatów i nie wystawiają w niej w związku z tym swoich pretendentów. W ostatnim czasie otrzymały duże wsparcie w dowodzeniu wyborcom, że są w kontrze do europejskiego establishmentu: przedstawiciele tych frakcji nie zostali zaproszeni do wzięcia udziału w debacie przedwyborczej zorganizowanej przez European Broadcasting Union (organizatora Eurowizji), choć znalazło się w niej miejsce dla wszystkich pozostałych grup politycznych z PE. EBU tłumaczy, że przyczyną formalną było to, iż te dwie grupy nie uczestniczą w procedurze Spitzenkandidaten. Trudno jednak interpretować to inaczej niż jako słaby wybieg.

ZMIANA CZY BRAK ZMIANY

Nie ma wątpliwości, że są to pierwsze wybory do Parlamentu Europejskiego, w których wyborców w całej Unii napę-

dżają autentyczne emocje, a dominujący układ polityczny jest pod ostrzałem, momentami nawet w defensywie. Pytanie brzmi: Czy w razie dobrego wyniku ugrupowań suwerennościowych zmiana kierunku polityki unijnej jest możliwa?

Nie ma teraz oczywiście jednoznacznej odpowiedzi. Można jednak założyć, że tak – choć nie byłaby to zapewne zmiana o 180 stopni, może nawet nie o 90, ale jednak zmiana zauważalna. Nie wiemy, jak będą wyglądały w nowym PE grupy polityczne. Mało prawdopodobne jest, żeby posłowie europejskiej prawicy przeważyli nad duopolem EPP i socjaldemokratów (S&D – w tej chwili ma 144 miejsca, a według sondaży może liczyć na 130–145 miejsc). Do tego są mniejsze grupy, na ogół wspierające duopol: Zieloni (dziś 71 miejsc, w sondażach 45–55) czy liberalne Renew (obecnie 102 miejsca, sondażowo 85–90). Jak jednak widać, badania pokazują przewidywany spadek zwłaszcza lewej strony, a wzrost strony prawej.

Jeśli przewodniczącą KE zostanie ponownie pani von der Leyen, można się spodziewać, że nie zбочy z zielonego klimatycznego szlaku – najwyżej lekko zwolni tempo, również pod naciskiem krajów członkowskich, w tym niemieckiego przemysłu. Parlament Europejski ze wzmocnioną frakcją suwerennościową mógłby dodatkowo odegrać rolę hamulcowego. To jednak będzie zależało od umiejętności samych europosłów, a także od szerszego układu, w którego skład wchodzi podział stanowisk komisarzy.

Można jednak zadać pytanie, czy jeśli PE zaczęłaby wyhamowywać europejską legislację oraz rewidować ją tam, gdzie to możliwe – tak jak jest z rozporządzeniem o zakazie rejestracji nowych aut spalinywych, które ma podlegać rewizji w 2026 r. – to czy paradoksalnie nie będzie to niekorzystne w punktu widzenia odwrócenia zgubnego kursu UE. Być może rację mają ci, którzy wskazują, że lepiej, aby regulacje wynikające z Zielonego Ładu odcisnęły się na poziomie życia Europejczyków naprawdę solidnie, bo tylko wówczas będą oni zdolni do mobilizacji na rzecz całkowitej zmiany modelu funkcjonowania wspólnoty. Opóźnianie zaś dat wejścia w życie kosztownych zakazów czy ich względne rozważanie, ale bez rezygnacji z nich, w gruncie rzeczy niczego nie zmienia.

RYSZARD GROMADZKI: Co jest stawką czekających nas 9 czerwca wyborów do Parlamentu Europejskiego? O co idzie gra z polskiego punktu widzenia?

PATRYK JAKI: Stawka tych wyborów rozgrywa się na kilku poziomach. Pierwszy, najważniejszy, dotyczy tego, czy Polska będzie nadal państwem suwerennym czy nie. Mam oczywiście na myśli nowy traktat o Unii Europejskiej, którego pierwsze czytanie miało miejsce jeszcze w obecnej kadencji Parlamentu Europejskiego. Traktat przeszedł dzięki większości zaledwie dziewięciu głosów, do której niestety przyczyniły się głosy kilku eurodeputowanych z Polski. Jednak procedowany dalej będzie już w nowej kadencji, mimo że jego inicjatorzy z pewnością chcieli, żeby cały proces został zamknięty jeszcze przez obecny europarlament.

Przypomnę, że traktat odbiera Polsce kompetencje w 65 dziedzinach i przekazuje je Unii Europejskiej. Mówimy tu o kluczowych obszarach, takich jak polityka zagraniczna, zarządzanie granicami, polityka fiskalna, podatki czy automatyczne przyjęcie waluty euro, czego konsekwencją będzie podcięcie konkurencyjności naszej gospodarki. Traktat przewiduje także oddanie spod władztwa państw członkowskich części polityki społecznej, zdrowotnej czy sfery edukacji.

Jeżeli te wszystkie kompetencje zostaną wytransferowane do Unii Europejskiej, a traktat zostanie przyjęty, to będzie to oznaczać, że zostawimy naszym dzieciom i wnukom państwo, w którym oni nie będą już gospodarzami, więc staną się niewolnikami. Nie znam państwa na świecie, które się rozwija, ma znaczenie, a nie jest suwerenne, bo oddało większość swoich kompetencji. Dlatego to jest najważniejsza stawka tych wyborów.

Nowy traktat odbierze nam suwerenność, a unijny Zielony Ład uczyni nas pariasami?

Zatrzymanie nowego komunizmu, którym jest tzw. Zielony Ład, a w istocie „czerwony ład”, to druga kluczowa stawka najbliższych eurowyborów. Mówię tak dlatego, że to, co się nam proponuje, jest kolejną kopią komunizmu, tylko inaczej opakowaną. To projekt gospodarki centralnie sterowanej, gdzie zamiast rywalizacji jakoś i cenę produktu przedsięwzięcia mają się rozliczać z tego, ile

Z Patrykiem Jakim, ubiegającym się o reelekcję ze Śląska deputowanym do Parlamentu Europejskiego rozmawia Ryszard Gromadzki



Stawką jest niepodległość



emitują dwutlenku węgla. To zabija naszą gospodarkę i szanse rozwojowe. Wiadomo, że rozwiązania zapisane w Zielonym Ładzie najbardziej uderzą w Polskę jako kraj, którego gospodarka i energetyka jest najbardziej w Europie oparta na węglu. Upraszczając, stawia się nas przed dylematem: „Polacy, albo wyskakujecie ze wszystkich swoich oszczędności i kupujecie przymusowo auta elektryczne, pompy ciepła, robicie termomodernizację swoich domów, płaciecie więcej za energię, jedzenie i ubrania, albo planeta spłonie”. Trzeba powiedzieć „stop” temu szaleństwu.

Nie ma pan wrażenia, że dużej części Polaków wcale nie przeszkadza to, że w imię świetlanej europejskiej przyszłości kawałek po kawałku odbieramy się wolność?

To trzecia newralgiczna stawka wyborów 9 czerwca. Jeżeli Tusk nie dostanie czerwonej kartki w tych wyborach, to widać, że zamierza on realizować doktrynę Klausa Bachmanna, który napisał, że po wygranych wyborach Tusk powinien metodami siłowymi rozprawić się z opozycją. Widać, że Tusk ma zielone światło od Unii Europejskiej na stworzenie laboratorium, w którym testowane będą metody rozprawy z ruchami suwerennościowymi. Tusk specjalnie nie kryje się z tym, że chce stosować metody siłowe, policyjne i agenturalne, prawo i konstytucję zastępując „uchwałami”, ignorując decyzję Trybunału Konstytucyjnego. Sprawdza, czy laboratorium tłumienia ruchów niepokornych wobec establishmentu UE zadziała w Polsce. Jeszcze raz podkreślam – wolność jest trzecią stawką tych wyborów. Polska nie będzie wolnym krajem, jeśli opozycję pozbawi się możliwości działania.

Odnosząc się wprost do pańskiego pytania, ubolewam nad tym, że pomimo całego dramatyzmu wyzwań, przed którymi stoi nasze państwo, tak wielu Polaków jest obojętnych. Choć widzę też plusy. Niewątpliwie takim plusem jest to, że debata wokół nowego traktatu europejskiego jest w Polsce największa w całej Unii Europejskiej. To paradoks, że narzekamy na obojętność ludzi, mimo że debata o przyszłości Unii jest w Polsce większa niż gdziekolwiek indziej. Jarosław Marek Rymkiewicz pisał na początku lat 90. XX w., po upadku ko-

munizmu, kiedy powszechnie zżymano się u nas, że reprezentacja prawdziwie niepodległościowych sił politycznych w Polsce jest niewielka, iż i tak jest ona zdecydowanie większa niż w jakimkolwiek innym kraju Europy. Te 30 proc. społeczeństwa sprawia, że tkanka społeczna, dzięki której polskość może trwać, jest wciąż silna. Biorąc pod uwagę, że większość wyborców jest pragmatyczna, jeżeli ta tkanka będzie twarda, to będzie mogła wygrywać. W najlepszych czasach I Rzeczypospolitej tkanka obywatelska stanowiła ok. 10 proc. społeczeństwa, a mimo to udało się zbudować wyjątkową w skali Europy cywilizację polityczną i kulturową. To, że mamy w Polsce taką formację polityczną jak Zjednoczona Prawica, która zawsze może liczyć na poparcie ponad 30 proc. wyborców i która zachowywała polityczny potencjał, pozwalający jej odebrać władzę obozowi Tuska. Powinniśmy to doceniać i pielegnować, bo to siła, która jest depozytariuszem tego, co w Polsce najcenniejsze.

Mówi pan o czerwonej kartce dla Donalda Tuska w wyborach europejskich. Co by to oznaczało?

To znaczy, że przegra on 10. wybory z rzędu. W Polsce przyjęło się, że każda władza po wyborach miała swoje miesiące czy wręcz lata miodowe. Tusk przegrał wybory samorządowe i może przegrać kolejne wybory, co może skutkować dekompozycją obozu władzy. Szczególnie gdy Trzecia Droga uzyskałaby słaby wynik. Wtedy mogą zacząć się zastanawiać, czy opłaca się im dalej iść z Tuskiem i legitymizować wszystko to, co on robi. Pokazanie Tuskiowi w tych wyborach czerwonej kartki przez społeczeństwo ma fundamentalne znaczenie, inaczej będzie on posuwał się coraz dalej w siłowej rozprawie z przeciwnikami politycznymi.

Bezpośrednio przed wyborami europejskimi głównym celem ataku obozu rządzącego jest pana środowisko polityczne. Słychać nawet głosy o delegalizacji Suwerennej Polski czy PiS. Pana ugrupowaniu zarzuca się, że Fundusz Sprawiedliwości, który był w gestii resortu sprawiedliwości w okresie rządów Zjednoczonej Prawicy, został zamieniony w prywatny folwark Suwerennej Polski. Konkursy na środki z Funduszu były ustawione, w efekcie pieniądze trafiły do swoich...

Są dwie metody podziału środków z funduszy: albo jak ekipa Tuska na

programy typu rozpowszechnianie wiedzy na temat branży usług seksualnych, szkolenie anarchistycznych bojówek ulicznych, fundację właścicieli sex shopów dla sadomasochistycznych gejów fetyszystów, projekt „Szkoła strefa wolna od homofobii i transfobii” oraz pogadanki o zmianie płci w szkołach i inne, na które samorządy wydały tylko w 2022 r. 1 149 637 864,59 zł, albo jak Fundusz Sprawiedliwości, który wydał 350 mln na straże pożarne i szpitale. Próba opowiadania, że środki przekazywano „do swoich”, bo trafiały do OSP w okęgach posłów, to absurd, większego absurdu świat nie widział.

Wbrew narracji „koalicji 13 grudnia” Fundusz skutecznie niósł pomoc potrzebującym: 509 mln zł trafiło wprost do pokrzywdzonych. Za PO tylko 40 mln. Za 40 mln z FS zbudowano klinikę Budzik prowadzoną przez Fundację „Akogo?” pani Ewy Błaszczuk dla najciężej poszkodowanych w wypadkach drogowych.

Co do konkursów, to pamiętajmy, że to coś innego niż przetarg. W konkursie minister określa cel i ostatecznie rozstrzyga. To, że minister określał jakiś cel, co miałyby wynikać z publikowanych ostatnio nagrań, jest po prostu sprawowaniem władzy publicznej. A sprawowanie władzy publicznej to przecież podejmowanie decyzji. Czy decyzja o przeznaczeniu pieniędzy dla ochotniczej straży pożarnej czy dla jakiegoś szpitala jest przestępstwem kryminalnym? Mamy do czynienia z kompletnym pomyleniem pojęć.

Najważniejsze jest jednak coś innego. Z tą sprawą jest jak z CPK. Są „audyty”, a projekt wygaszony. Bodnarowcy od sześciu miesięcy robią audyty FS, a OSP i szpitale są bez środków, które wcześniej cały czas miały. Więc co jest lepsze dla ludzi: nawet, założymy nieidealne, przepisy, ale jednak nowe wozy strażackie i lepsze szpitale czy wieczne audyty i brak pomocy dla ludzi?

W takim razie Tomasz Mraz kłamie?

W wielu miejscach kłamie, w wielu miejscach manipuluje, a w niektórych przypadkach mówi prawdę. Mraz powtórza tezę NIK Banasia, że przeznaczenie środków na ochotnicze straże pożarne nie było wydatkiem celowym, bo nie było związane z celami Funduszu. Guzik prawda. Celem Funduszu była pomoc ofiarom

przestępstw, wypadków itp. Przecież strażacy z OSP w większości przypadków są pierwsi na miejscu wypadków i pomagają ich ofiarom. Opowieść, którą oni forsują, że OSP nie pomaga ofiarom wypadków, jest śmieszna. Tak samo jak opowieść o tym, że jeden z największych projektów sfinansowanych z środków Funduszu Sprawiedliwości, czyli budowa kliniki Budzik, która działa, wybudzając ciężko poszkodowanych w wypadkach drogowych, też nie był według NIK wydatkiem celowym.

Jednak z Funduszu Sprawiedliwości finansowano też projekty dość wydumane, jak Centrum Archipelag fundacji Profeto na warszawskim Wilanowie. To przedsięwzięcie w oazie bogactwa nie kojarzy się wprost z pomocą ofiarom wypadków.

Nie zgadzam się z pana tezą. Projekt Archipelag pod względem skali i rozmachu był podobny do budowy kliniki Budzik. Osoby, dla których był on przeznaczony, które doświadczyły przemocy, miały dzięki niemu uzyskać szansę na znalezienie przestrzeni wolności i normalnego życia. Archipelag miał oferować im całodobową pomoc psychologiczną i lekarską. Bezpieczeństwo dzieciom, bitym w rodzinach, i matkom z dziećmi, które nie miały się gdzie podziać. W moim przekonaniu ten projekt w pełni wpisywał się w cele Funduszu Sprawiedliwości. Ksiądz Olszewski, który budował Archipelag przy wkładzie własnym fundacji, nie brał tych pieniędzy dla siebie. To jest naprawdę wyjątkowy projekt, który jest prawie na ukończeniu. Każdy może to zobaczyć. Państwo nic na tym nie straciło. Zarzuty wobec przedsięwzięcia fundacji Profeto oparte są na zasadzie: „No patrzcie, kolejny ksiądz brał miliony od państwa”. Trzeba bić księdza, bo będziemy przejmowali głosy radykalnej lewicy.

W czasie, kiedy premierem był Mateusz Morawiecki, Suwerenna Polska nieraz była z nim i jego zaplecem w ostrym konflikcie, krytykując politykę ustępstw wobec Unii Europejskiej. Skutkiem tej polityki była rezygnacja z kolejnych obszarów suwerenności przez Polskę. Do tych wyborów znów idziecie razem. To się da pogodzić?

Rzeczywiście uważamy, że to był błąd, jednak teraz większym zagrożeniem jest Tusk, który zgodzi się na wszystko, czego będzie chciała Unia. Będzie dążył do pod-

porządkowania Polski Niemcom. Prawica nie jest dziś na tyle silna, żeby się kłócić o przeszłość. Najważniejsze, żeby iść do przodu i pokonać Tuska.

Co powie pan tym wszystkim, którzy 9 czerwca z premedytacją nie chcą pójść na wybory, bo uważają, że politycy, którzy w nich biorą udział, idą do Brukseli po kasę i dla prywaty? W jaki sposób spróbowałby pan przekonać tych ludzi do głosowania?

Na pewno jest grupa polityków, którzy uczestniczą w tych wyborach z powodów, które pan wymienił, którzy niewiele robili przez te ostatnie pięć lat w Parlamencie Europejskim czy w parlamencie krajowym, skąd dzisiaj próbują wejść do europarlamentu. Nie wszyscy jednak tacy są. Myślę, że najlepszą gwarancją jest po prostu sprawdzenie, co każdy z posłów zrobił w ciągu ostatniej kadencji w Parlamencie Europejskim. Jeśli ktoś wykonał konkretną pracę dla Polski, to myślę, że jest duża szansa, że będzie to robił nadal. To po pierwsze. Po drugie, dlaczego warto iść do tych wyborów? Ano warto chociażby z powodów, które wskazałem na początku naszej rozmowy. Stawką tych wyborów jest to, czy Polska będzie dalej suwerenna. Akurat w tej sprawie, w sprawie nowego traktatu europejskiego, który przeszedł zaledwie dziewięcioma głosami, każdy mandat w jedną lub drugą stronę ma znaczenie. Dosłownie każdy głos ma znaczenie. W rękach każdego Polaka jest to, czy Polska w przyszłości będzie nadal suwerenna, czy Polska dalej będzie Polską. Uważam, że Polska zasługuje na suwerenność. Polska różni się od wielu państw tym, że reprezentuje ponad tysiąc lat najwspanialszej europejskiej tradycji, wolności politycznej i religijnej, tradycji pięknej debaty politycznej, tradycji konstytucjonalizmu, wybitnej sztuki wojennej, wyjątkowej, odrębnej kultury, wciąż jeszcze najbardziej żywego w Europie katolicyzmu. To są sprawy, o które naprawdę warto się bić. Jeśli przejdzie nowy traktat, to przecież w jego założeniu jest to, żeby wszystko, co najpiękniejsze w Polsce, zniknęło, żeby nasze wspaniałe dziedzictwo zastąpiło genderowe państwo europejskie. Na to nie możemy pozwolić. Dlatego trzeba iść głosować dla Polski!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

Jak w komedii Fredry: „Znacie? Znamy. To posłuchajcie...”. Medialna operacja pt. „Afera Funduszu Sprawiedliwości” opiera się na tych samych założeniach i tym samym know-how, według którego lewicowo-liberalne media zmontowały już wiele podobnych „największych afer od czasów Rywina”, o których nikt dziś nie pamięta. Jedyną różnicą jest pośpiech, z którym odpalane są kolejne elementy „aferalnej” narracji. W przypadku „kilometrówek Dudy”, „willi Czarnka”, „hotelu Solidarność”, „afery SKOK” czy „afery Dwoch Wież” zachowywano w propagandzie przemyślany timing, dozując napięcie i przedłużając wzmożenie. Tym razem kolejne elementy narracji pojawiają się w odstępach kilkudniowych, omalże zaguszając się wzajemnie.

Może ten pośpiech wynikać z pewnego znudzenia odtwarzanym po raz kolejny wzorcem, ale raczej należy tłumaczyć go bliskością wyborów do Parlamentu Europejskiego. Najwyraźniej sondaże nie wróżą obozowi władzy dobrze, skoro uznano tam, że nie ma czasu na czekanie, aż „areszty wydobywcze” i mozolne przekopywanie przejętej wraz z ministertwami dokumentacji przyniosą coś naprawdę „porażającego”, i rzucono na stół od razu wszystkie posiadane karty.

JAK SIĘ PRODUKUJE AFERY Z NICZEGO

Mówiąc ściślej, karta okazała się być tylko jedna – niejaki Tomasz Mraz, były pracownik Funduszu Sprawiedliwości. Zaprezentowanie go na posiedzeniu sejmowego zespołu „do rozliczania PiS” Romana Giertycha złamało rutynę regularnego ogłaszania „afer”, ponieważ jest, najdelikatniej mówiąc, w sprzeczności z prowadzonym w sprawie funduszowi postępowaniem prokuratorskim, którego ofiarą padł przetrzymywany w areszcie śledczym ks. Michał Olszewski. Prokuratura odmawiała dotąd ujawnienia obrońcom księdza tożsamości świadka, na którego zeznaniach oparła swe oskarżenia – tymczasem Giertych je ujawnił.

Jeśli twierdzenia, które wygłosił Mraz na konferencji zespołu (Giertych unie-możliwił zadawanie mu pytań), znajdując się w zeznaniach złożonych w śledztwie, to Mraz złamał prawo i ryzykuje odpowiedzialność karną, a co najmniej stracił

Powtórka z dęcia



Rafał A. Ziemkiewicz

Tusk, uruchamiając Giertycha i Mraza do szybszego odpalenia „afery” Funduszu Sprawiedliwości nawet za cenę osłabienia czy wręcz zniweczenia prokuratorskiego śledztwa, liczył tylko na mobilizację zwolenników przed wyborami

prawo do statusu „małego świadka koronnego”. Poza tym orzeczenie sądu, jakoby areszt dla księdza był zasadny z obawy o „mataczenie”, traci sens. Jakie niby mataczenie tam, gdzie wszystko ujawniono?

Jako objęty zarzutami prokuratorskimi Mraz ma prawo kłamać; zresztą w Sejmie wystąpił „w żadnym trybie”, zespół Giertycha nie ma uprawnień do odbierania zeznań zaprzysiężonych, więc „świadek” Giertycha może w przyszłości, bez żadnych konsekwencji, oświadczyć, już pod przysięgą, jak były sędzia Łączewski w sprawie „ostatniej rozmowy braci”: zmyślałem, wolno mi. Oczywiście wtedy będzie już po wyborach.

Jakie jest owo know-how medialnego produkowania afery z niczego? Na początek bierze się jakiś prosty fakt i nadaje mu przymiotnikami oraz emocjonalnymi przydechami rangę czegoś strasznego i horrendalnego. Obecny prezydent elekt, kiedy był posłem, korzystał z darmowych biletów i noclegów na koszt Sejmu! W hotelu należącym do

NSZZ „Solidarność” członkowie Komisji Krajowej korzystają z wysokich rabatów! Ministerstwo przyznaje granty fundacjom i organizacjom niepropagującym lewicowej agendy! Fundacja związana z PiS chciałaby na należące do niej działce postawić biurowiec i czerpać z niego zyski, a prezes Kaczyński człowiekowi, który wystąpił wobec niego z roszczeniami finansowymi, poradził, by, jeśli jest pewny swego, podał go do sądu.

Jak tego rodzaju rewelacjom nadać pozór afery? Na przykład o przywileju przysługującym posłom od prawie stu lat mówić jako o „kilometrówkach”. Co prawda, bilety i noclegi na koszt Sejmu nie mają nic wspólnego z „kilometrówkami”, zwrotem kosztów za paliwo, jeśli poseł wykorzystał do podróży prywatny samochód, ale ponieważ po nadużyciach kilku posłów słowo to kojarzyło się paskudnie, zagrano tym skojarzeniem.

Inny przykład – kwotę zaangażowania Bankowego Funduszu Gwarancyjnego w ratowanie kilku spółdzielczych kas, które utraciły płynność, przedstawić

■ jako „koszt” poniesiony przez podatników (BFG nie pochodzi z budżetu państwa, a pieniądze zaangażowane w ratowanie płynności banku zwykle są odzyskiwane, bo jednocześnie BFG przejmuje aktywa ratowanego banku i zarządza nimi) i sugerować, że SKOK je sobie wziął do kieszeni. W ogólnym informacyjnym zgiełku odpowiednio nagłośnione okrzyki o „skandalicznych nadużyciach”, „nieskończonej podłości”, „przerażającym rabunku” etc. zastąpią fakty i zagłuszą logikę.

W wypadku Funduszu Sprawiedliwości „myk” polega na nazwaniu go „pieniędzmi przeznaczonymi dla ofiar przestępstw”, co otworzyło drogę do propagandowego nazywania udzielanych z Funduszu dotacji i zamawianych przez niego publikacji w mediach „obrabowaniem ofiar przestępstw”.

Silne podkreślenie moralnego aspektu sprawy jest też zabiegiem typowym dla dęcia afer: może i nie wskazujemy tu żadnego naruszenia prawa, ale jakież to naganne: sięgnięto po pieniądze dla ofiar, mówiąc mocniej: obrabowano ofiary, żeby te należne im pieniądze przeznaczyć dla partyjnych koleśków!

FUNDUSZ NIE TYLKO DLA POSZKODOWANYCH

Tylko że Fundusz Sprawiedliwości nie jest wyłącznie ani nawet przede wszystkim funduszem, z którego wypłaca się odszkodowania czy rekompensaty pokrzywdzonym wskutek przestępstw. Ustawa regulująca jego działanie stanowi: „Środki Funduszu są przeznaczane na [...] edukację z zakresu przeciwdziałania przemocy i przestępczości; podejmowanie przedsięwzięć o charakterze edukacyjnym i informacyjnym, w tym dotyczących przyczyn i uwarunkowań przestępczości oraz jej zapobiegania...”.

Na razie, mimo przeprowadzonych niezgodnie z prawem włamań (bo w tej sytuacji nie rewizji) u byłego ministra Ziobry i wiceministra Romanowskiego, oskarżający nie zdołali przedstawić żadnego konkretnego przypadku, gdy pieniądze z Funduszu poszły na działalność partii, nie mówiąc już o zasileniu czyjegoś prywatnego majątku.

Pierwotnie afera polegać miała na tym, że jakoby z Funduszu finansowane były media, z sugestią: po to, żeby dobrze



w nich pisano o Solidarnej Polsce. Tylko że gdy przyszło do konkretnych sum, głównym beneficjentem zamawianych przez Fundusz publikacji okazały się lewicowo-liberalne portale Onet i Wirtualna Polska i ani tam, ani w pismach kojarzonych z prawicą nie udało się wskazać żadnej publikacji, która by wyraźnie wchodziła w sprzeczność ze statutowymi celami funduszu. W istocie zarzut sprowadza się do tego, że Fundusz finansował także (nie wyłącznie) przedsięwzięcia sprzeczne z agendą lewicy: organizacje zapobiegające aborcji – czy się to „demaskatorom” podoba czy nie, będącej w Polsce przestępstwem – albo demaskujące patogenne środowiska LGBT i głoszoną przez nie ideologię. Czy wreszcie, jak w wypadku publikacji na naszym anglojęzycznym portalu sovereignty.pl, odkłamujące antypolskie oszczerstwa, np. to o „polskich obozach koncentracyjnych” i odpowiedzialności Polaków za Holocaust.

Nawet gdyby udało się udowodnić, że gdzieś tam któraś ze wspomaganych pieniędzmi publikacji słabo przystawała

do statutowych założeń, od tego rodzaju nieprawidłowości do „okradania” Funduszu jest cały kosmos. Pieniądze trafiające do mediów wydawane były na zamawianie tekstów, odpłacanie autorów, tłumaczy – a w wypadku reklam zasilają odpowiedni budżet, z którego wydawania rozlicza się firma przed swoimi właścicielami, akcjonariuszami i urzędem skarbowym. Nie może ich tak po prostu komuś dać do ręki.

Podobnie było z innego rodzaju przedsięwzięciami, których dotyczy okrzykane śledztwo. Nawet Bodnarska prokuratura nie ośmieliła się postawić nikomu zarzutu przywłaszczenia pieniędzy. Ksiądz Olszewski osadzony został w areszcie, mającym wszelkie znamiona „aresztu wydobywczego”, pod zarzutem, jakoby dom opieki budowany przez fundację Profeto miał inne od deklarowanego przeznaczenie. Trudno uznać to za zarzut uzasadniający aresztowanie i zatajenie źródła oskarżeń przed prawnikami oskarżonego. Poza wszystkim związane z opieką nad ofiarami



Wydaje się, że tak jak w wypadku poprzednich afer oburzenie buzuje jedynie w antypisowskiej „bańce”

nego, na wideo nagrane były opowieści tegoż świadka, a dokumentami okazały się te same opowieści, spisane z taśmy i wydrukowane.

W wypadku „afery” Dwóch Wież dowodem, jakoby „prezes deweloper” zażądał od Geralda Birgfellnera łapówki, miało być potwierdzenie, że tego dnia wypłacił on ze swojego konta znaczną sumę w gotówce. W wypadku Funduszu Sprawiedliwości mają być tym dowodem taśmy – 50 godzin rozmów nagranych przez wspomnianego już Mraza w czasie, gdy pracował w Funduszu.

Od samego początku nasuwają się wątpliwości – jeśli nagrywał, to można podejrzewać, że został do tej pracy skierowany jako „kret”, co mocno ogranicza jego wiarygodność. Wątpliwy jest także sposób prezentacji taśm, nie tylko wybiórczo, lecz także bez żadnej weryfikacji. Od czasów, gdy Michnik nagrywał Rywina, sporo się zmieniło – m.in. to, że prawie każdy słyszał o możliwości „klonowania głosu” narzędziami sztucznej inteligencji i o różnych oszustwach z jej użyciem. Nagrania zaprezentowane „w żadnym trybie”, bez nawet głosłownego zapewniania, że ich autentyczność została jakoś potwierdzona, nie byłyby mocnym dowodem, nawet gdyby naprawdę zawierały coś poruszającego.

A co zawierają? Greps. Wyprodukowanie grepsu wydaje się w dęciu afer najważniejsze – to oczywiście efekt traumy, którą do dziś przeżywa PO w związku ze słowem „ośmiorniczki”. Takim właśnie grepsem był cytowany przed chwilą prezes deweloper, a obecnie jest nim „kolano prezesa”. Czy to „zażre”? Nikt nie wie, dlaczego akurat ośmiorniczki (czy wcześniej firanki w samochodzie) tak rozpały kiedyś emocje Polaków, więc nie można mieć pewności. W każdym razie w nadziei, że tak, Giertych po raz kolejny przesterował narrację w sprawie Funduszu: teraz już aferą ma być „rabowanie ofiar przestępstw” nie na cele partyjne,

dla mediów albo fundacji zwalczających lewicę, ale na rzecz szpitala, w którym operowano kolano Kaczyńskiego.

Powszechnie wiadomo, że prezesa PiS operowano w Wojskowym Instytucie Medycznym, który z mocy prawa leczy najważniejsze osoby w państwie. Przekazanie państwowych pieniędzy państwowemu szpitalowi aferą? Gdy absurdalność tego zarzutu zaczęła docierać do opinii publicznej, uściślono, że nie chodzi o WIM, tylko o szpital ortopedyczny w Otwocku – też państwowy. Za pieniądze z Funduszu kupiono tam sprzęt, który służy pacjentom, więc znowu oskarżenia okazują się absurdalne, nawet gdyby istotnie dotacja miała jakikolwiek związek z leczeniem prezesa PiS, co skądinąd nie zostało wykazane.

Trudno powiedzieć, co ma znajdować się na kolejnych nagraniach, które zapewne zamierza Giertych upubliczniać aż do samych wyborów, ale zwykle najmocniejsze fragmenty ujawnia się na początku. Nie ma też jeszcze wiarygodnych badań – zasięgów internetowych, sondaży – które pozwoliłyby ustalić, na ile sensacje Mraza przebiły się do opinii publicznej. Wydaje się, że podobnie jak w wypadku poprzednich dętych afer oburzenie buzuje jedynie w lewicowo-liberalnej antypisowskiej „bańce”, która i tak jest wiecznie oburzona każdym wskazanym jako powód do oburzenia zachowaniem znienawidzonych „pisowców”. Ale możliwe, że Tusk, uruchamiając Giertycha i Mraza do szybszego odpalenia „afery” nawet za cenę osłabienia czy wręcz zniweczenia prokuratorskiego śledztwa, na więcej nie liczył. Dwa tygodnie przed wyborami jego największym problemem wydają się zniechęcenie i demobilizacja we własnym obozie, do których przezwyciężenia straszenie PiS jako „sukcesem Putina” i jego agenturą najwyraźniej nie wystarczyło.

Czy „afera Funduszu Sprawiedliwości” – może nie „odgrzewany kotlet”, ale niewątpliwie kotlet przyrządzony według tego samego przepisu, który służył już wielokrotnie i zdążył się przejeść – ma potencjał, by zaspokoić nawet tak ograniczone oczekiwanie? Tak czy owak, sięgnięcie po nią wydaje się raczej gestem rozpaczliwym niż realizacją jakiegoś przemyślanego planu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

przestępstw schronisko w ten czy inny sposób służyć będzie ludziom, nie jest to żadna prywatna willa ani inny luksus.

W CO LUDZIE UWIERZA

Wydaje się, że słabość prokuratorskich zarzutów i niemożność wykreowania z nich „porażającego” przekazu medialnego popchnęły Donalda Tuska (bo nie jest przecież możliwe, by Giertych działał bez jego zezwolenia) do wist z Mrazem. „Podkładając” oficjalne śledztwo, wykonał w ten sposób dwa kolejne ruchy, które obejmuje know-how produkowania afer: wykreowanie „dowodu” i stworzenie „grepsu”.

Dowodem może być wszystko, w co ludzie skłonni są uwierzyć, że jest dowodem. Archetypicznym przykładem pozostanie tu oświadczenie nieżyjącego już Andrzeja Leppera z czasów sławnej afery „talibów w Klewkach”, że na potwierdzenie oskarżeń ma „świadków, dokumenty i nagrania wideo”. Dopiero po czasie okazało się, że świadka miał jednego, w oczywisty sposób niezrównoważo-

Teraz wiktymokracja?



Piotr Semka

Na kolejnego wroga numer jeden w polskim Kościele dla zwolenników szybkich zmian wyrasta abp Tadeusz Wojda. Gdyby metropolita gdański uległ naciskom i dobrowolnie zawiesił się na stanowisku szefa KEP, Kościół polski byłby w dużej mierze sparaliżowany

Sygnatariusze listu otwartego domagają się zawieszenia abp. Wojdy w obowiązkach przewodniczącego KEP

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Portal Więź.pl opublikował list otwarty 46 osób skrzywdzonych wykorzystaniem seksualnym w Kościele, wystosowany do członków Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski. Twórcy listu zareagowali na artykuł Zbigniewa Nosowskiego, który oskarża metropolitę gdańskiego abp. Tadeusza Wojdę, przewodniczącego KEP, o zaniechania w realizowaniu procedur dotyczących wyjaśniania skarg osób zgłaszających przypadki molestowania ze strony duchownych.

badającej przypadki wykorzystywania seksualnego w Kościele polskim od 1945 r. oraz kilku zmian dotyczących zasad i praktyk stosowanych w Kościele w odniesieniu do zgłoszonych przypadków wykorzystywania seksualnego.

PROTEST CZY ANONIMOWY ATAK?

Cała sprawa budzi parę pytań. Po pierwsze, wśród sygnatariuszy listu 18 osób pozostaje anonimowych, a część używa pseudonimów. Tak jest zresztą w wypadku jednej z trzech

nie opowiedziała swoim bliskim, w tym rodzicom, o tym, że była wykorzystywana seksualnie przez księdza. Swoją historię opisała w książce »Nie umarłam. Od krzywdy do wolności«.

Tośka Szewczyk sama przedstawia się jako „katopartyzantka”. To ona była inicjatorką stworzenia tzw. talerza skrzywdzonych w kształcie misy z białymi kolcami. „Talerz jest czarny, z białymi kolcami skierowanymi w stronę jedzącego. Nie da się z niego jeść” – wyjaśnia Tośka Szewczyk w liście do biskupów. Ten symboliczny artefakt z jej inicjatywy wysłano biskupom z Konferencji Episkopatu Polski.

To, że część osób, które zaznały skrzywdzenia, może mieć opory z używaniem własnego nazwiska, jest zrozumiałe w wypadku udzielania wypowiedzi mediom czy publikowania swoich relacji o tym, co przeżyły. Ale jeśli osoby te występują już na forum publicznym i zgłaszają konkretne postulaty dotyczące kwestii personalnych, to kwestia ich anonimowości zaczyna być problemem. Tym bardziej że część z nich zaczyna

„Więź” proponuje coś w rodzaju wiktymokracji, czyli rządów skrzywdzonych

Sygnatariusze listu domagają się zawieszenia abp. Wojdy w obowiązkach przewodniczącego KEP, doprowadzenia do spotkania Konferencji Episkopatu Polski z delegacją osób skrzywdzonych, określenia dokładnego terminu rozpoczęcia działań niezależnej komisji

głównych inicjatek listu Tośki Szewczyk, której prawdziwego nazwiska nie znamy.

„Tygodnik Powszechny”, przedstawiając ją, pisze: „Tośka Szewczyk to pseudonim. Swojego prawdziwego imienia i nazwiska nigdy nie ujawniła, nigdy też

REKLAMA



POZNAJ KULISY NAJWIĘKSZYCH EGZORCYZMÓW

Do posługi wezwała go Matka Boża. Od wielu lat staje na pierwszej linii frontu walki ze złem. Doświadczył spotkania twarzą w twarz z największym demonem. Jaka jest historia ks. Stephena Rossettiego?

Z KODEM: DR10 DODATKOWE 10% RABATU*

Zamów na www.esprit.com.pl lub pod numerem telefonu 12 267 05 69.

*rabat ważny do 14 czerwca

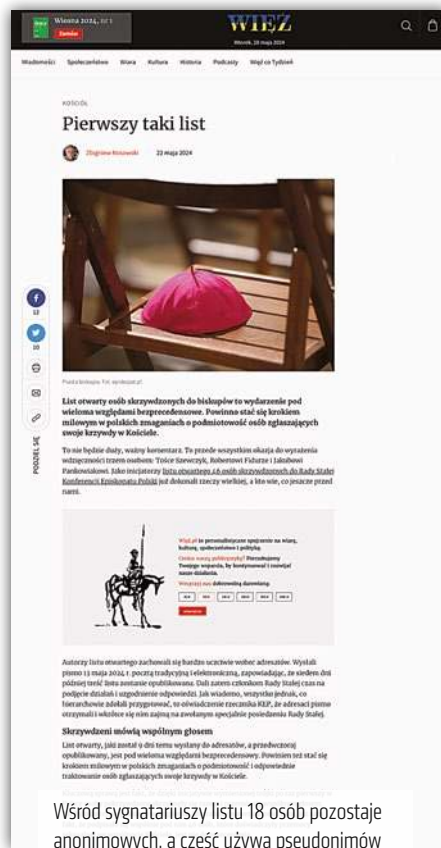
Wchodzić w konwencje happeningu czy prowokacji.

Osoby pokrzywdzone przez duchownych otrzymały i nadal otrzymują naturalny kapitał zaufania i sympatii ze strony osób współczujących ich tragediom. Teraz jednak korzystają z tego kapitału do stawiania postulatów, które kreują ich na kogoś w rodzaju rady „jedynych sprawiedliwych” w Kościele. Równolegle czy nawet ponad ustaloną hierarchią kościelną, ponad trybem procedowania, który występuje w każdym związku wyznaniowym.

TARAN DO ZMIENIANIA KOŚCIOŁA?

Niejasna jest rola Zbigniewa Nosowskiego i redakcji „Więzi” w koordynowaniu działań skrzywdzonych. Środowisko „Więzi” jest bardzo aktywnym protagonistą w dyskusji w Kościele na temat jego zmian i skali jego dostosowywania się do dzisiejszego świata. Na łamach portalu Więzi i na forach innych zwolenników głębokiej reformy polskiego Kościoła przyjęto wybór abp. Wojdy bardzo krytycznie. Powstaje wrażenie, że polski Kościół otwarty po prostu nie chce zaakceptować tego wyboru i chce przynajmniej zawiesić posługę obecnego przewodniczącego KEP. Zresztą jeden z aktywnych zwolenników zmian, Tomasz Terlikowski, nie krył, że wybór przez biskupów abp. Wojdy, a nie komplementowanego przez niego prymasa Polski Wojciecha Polaka, to według niego fatalna decyzja. Teraz – popierając list otwarty – tworzy wręcz ze stosunku do postulatów pokrzywdzonych linię podziału do oceniania biskupów. Wywierany jest moralny szantaż: albo biskupi poprą list i zawieszą abp. Wojdę, albo potwierdzą, że są obojętni na los skrzywdzonych.

Od oceny zachowania abp. Wojdy i stawianych mu zarzutów jest Stolica Apostolska, której „oczami i uszami” jest na gruncie polskim nuncjusz papieski. Tymczasem „Więź” proponuje coś w rodzaju wiktymokracji, czyli rządów skrzywdzonych. Jak dotąd polska opinia katolicka podchodziła do pojedynczych przypadków ludzi, którzy wyznawali, że byli skrzywdzeni przez osoby duchowne, z bardzo daleko idącą delikatnością i współczuciem. Jeśli jednak grupa ta



zamierza aspirować do roli czegoś w rodzaju niemieckiej Wir sind Kirche, to wywoła to negatywne reakcje. A na dłuższą metę zaszkodzi bardzo delikatnemu procesowi wyjaśniania przypadków molestowania i wynagradzania krzywd. I wtedy konsensus wokół swobodnego parasola delikatności i starania się zrozumienia osób deklarujących swoją krzywdę może zacząć się pruć. Tak jest zawsze, kiedy instrumentalnie wykorzystuje się swoją krzywdę do budowania specjalnej pozycji w Kościele.

Skąd podpisanych 49 osób wie z pewnością, że zarzuty Nosowskiego wobec abp. Wojdy są obiektywne i trafne? Powstaje wrażenie, że inicjatorzy listu liczą głównie na efekt medialny ze strony liberalnych mediów. Tych samych mediów, które dwa miesiące temu nie kryły, że wybór abp. Wojdy jest dla nich skandalem. I to właśnie w mediach rozgrywać się będzie duża część show wokół postulatów 49 skrzywdzonych.

GRA W ZBIJAKA

24 maja abp. Wojda odniósł się do listu 49 skrzywdzonych w formie wideoprzesłania.

„Uznaję potrzebę pomocy dla osób skrzywdzonych, modłę się za nie każdego dnia i podejmuję działania, które przyczyniają się do ujawnienia prawdy we wszystkich tego typu przypadkach” – powiedział metropolita gdański. Przewodniczący KEP zapewnił, że „postępowanie, pomimo różnych sugestii medialnych, prowadzone jest w sposób prawidłowy z zachowaniem troski o wszystkie osoby biorące w nim udział”. „Jeśli we wspomnianym procesie zabrakło oczekiwanej i należytej empatii, to bardzo za to przepraszam” – dodał.

Przeprosiny abp. Wojdy za ewentualny brak „oczekiwanej i należytej empatii” w zamierzeniach hierarchy miały – jak się zdaje – rozładować stężoną atmosferę wokół listu 49 skrzywdzonych w mediach i wyciszyć konflikt. Co jednak charakterystyczne dla temperatury sporu – zostały one wykorzystane przez zwolenników zmian w Kościele do kolejnego ataku na metropolitę gdańskiego.

Tomasz Terlikowski napisał na Facebooku: „Arcybiskup Wojda przekazuje, że ani on sam, ani jego kuria nie mają sobie nic do zarzucenia. Sprawy są prowadzone tak, jak powinny. Zaraz potem jednak przeprasza. Jeśli wszystko jest OK, nie ma za co przepraszać, a jeśli się przeprasza, to jednak jest za co. Innej możliwości nie ma. Albo zatem przeprosiny są funta kłaków warte, bo są po prostu rzuconym ochłapem, albo jeśli są szczerze, to sprawę trzeba załatwić. Jak? [...] Jeśli arcybiskup Wojda rzeczywiście poważnie traktował swój urząd i osoby skrzywdzone, to jednocześnie oddałby się do dyspozycji papieżowi, tak by ten mógł go zawiesić do momentu wyjaśnienia sprawy. To by był dowód na to, że poważnie traktuje on osoby skrzywdzone, swój urząd i oskarżenia. A tak były tylko słowa, które niewiele znaczą”.

Przepraszam za ten przydługi cytat, ale dobrze oddaje on logikę moralnego szantażu wobec metropolity gdańskiego. Albo podda się żądaniom sygnatariuszy listu skrzywdzonych, albo jest podejrzanym i winnym.

Podchodząc do kwestii problemu osób skrzywdzonych przez duchownych w Kościele, poruszamy się po bardzo delikatnym gruncie. Jestem w stanie uwierzyć, że ileś osób wciąż ma problemy z przedstawianiem swoich krzywd

wobec odpowiednich organów diecezjalnych i zderza się z niechęcią traktowania ich jako samodzielnej strony w postępowaniach tego typu.

Ponadto nie sposób nie zauważyć, że kwestia skrzywdzonych bywa wykorzystywana bardzo instrumentalnie. Trudno nie pamiętać o incydencie, w którym aktywistka Lewicy Joanna Scheuring-Wielgus uczestniczyła w przedstawieniu papieżowi Franciszkowi osoby przedstawiającej się jako ofiara molestowania, którą to pontifex przeprosił w formie pocałowania w rękę. Dopiero po pewnym czasie okazało się, że osoba ta wprowadziła wszystkich w błąd. Ta sama Joanna Scheuring-Wielgus ogłosiła w sierpniu 2022 r., że zgłasza do organów ścigania 15 zawiadomień w sprawie tuszowania pedofilii przez biskupów. Jeśli do tego dojdzie teraz zjawisko ofiar, które z jednej strony unikają podania swoich nazwisk, a z drugiej strony zaczynają być swoistymi celebrytami medialnymi, to jeszcze bardziej skomplikuje to atmosferę wokół tego typu spraw.

Wspomniana już Tośka Szewczyk opublikowała niedawno na łamach

portalu Więzi swoje impresje ze spotkań z ośmioma biskupami, którzy zgodzili się ją przyjąć. W owej relacji dzieli ona biskupów na tych, którzy wykazują bierne zrozumienie i współczucie, ale czują się w Episkopacie wyizolowani i bezsilni, a z drugiej strony przedstawia hierarchów, którzy „są zmęczeni”. Współautorka listu 49 skrzywdzonych mówi: „Zmęczenie to, jak się spodziewam, wynikało zarówno z ciągłego zaangażowania w działania we własnych diecezjach, jak i z podejmowanych wielokrotnie prób boksowania się o sprawy ważne w Episkopacie (oraz otrzymywania z tego powodu sporej liczby ciosów). Widziałam półki pełne leków i twarze, na których odmalował się fizyczny ból”.

Rzuca się w oczy pewna bardzo stronnicza taktyka dzielenia hierarchów na tych, którzy są pełni dobrych chęci, ale nic nie mogą, i przeciwstawiania ich większości Episkopatu, który kreowany jest na bezduszną konformistyczną większość nieczułą na los ofiar. Autorce nie przychodzi do głowy, że część biskupów

chce po prostu spokojnego wyjaśnienia tego typu spraw. Bez happeningów, bez kreowania medialnego napięcia i bez prób wysadzania z siodła wybranego przewodniczącego Episkopatu na zasadzie żądania wąskiej grupy autorów listu. W ciągu ostatnich dwóch lat byliśmy świadkami rozpisanej na miesiące kampanii medialnej dyskredytowania abp. Stanisława Gądeckiego i metropolity krakowskiego abp. Marka Jędraszewskiego. Obaj niedługo już opuszczą swoje fotele arcybiskupie. Siłą rzeczy na kolejnego wroga numer jeden w polskim Kościele dla zwolenników szybkich zmian wyraasta abp Tadeusz Wojda.

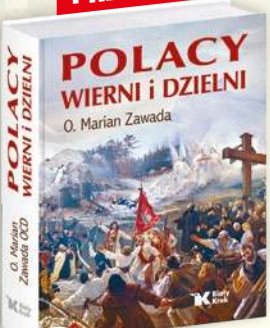
Gdyby metropolita gdański uległ naciskom i dobrowolnie zawiesił się na stanowisku szefa KEP, Kościół polski byłby w dużej mierze sparaliżowany. Zwolenników zmian, którzy wypatrują już na polskich stolicach kardynalskich kard. Konrada Krajewskiego z Rzymu lub snują wizje przejścia abp. Grzegorza Rysia do Warszawy, trwające Bóg wie, jak długo, zawieszenie abp. Wojdy wcale by nie zmartwiło.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

DOKĄD ZMIERZASZ, POLSKO?

PREMIERA



89 zł

512 str.,
16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa

PREMIERA



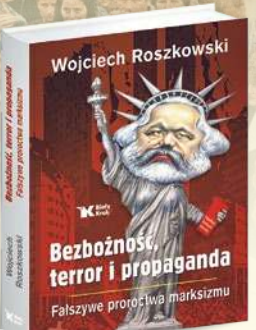
79 zł

440 str.,
16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa



59 zł

256 str., 16,5 x 23,5 cm,
miękką oprawa



79 zł

304 str., 16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa

ZAMÓWIENIA:

12/254 56 02, 12/254 56 19, 783 250 300,
lub e-mail: handlowy@bialykrak.pl.
Przy zamówieniu powyżej 200 zł
koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

Na hasło „DORZECZY25” 25% taniej!



FOT. ADRIAN STOK

Mój kraj, nie moja sprawa?



Łukasz Zboralski

Polacy często zarzucają mężczyznom z Ukrainy, że uciekli nad Wisłę, zamiast stanąć z karabinem przeciw agresorowi. Tymczasem nasi młodzi rodacy zdecydowanie rzadziej niż Ukraińcy deklarują, że broniliby własnego kraju. Najmniej chętne do tego są młode Polki

Te dyskusje widzieli na pewno już wszyscy. Wybuchają najczęściej w Internecie, choć i podczas rozmów przy grillu. Najgorętsze są wówczas, gdy młodzi Ukraińcy zostaną

przyłapani w Polsce na nieodpowiednim zachowaniu czy np. spowodują wypadek drogowy. Coraz częściej wówczas rodacy – trochę zmęczeni nieustanną pomocą, trwającą od dwóch lat – zaczynają pytać: Dlaczego ci młodzi ludzie siedzą wygodnie na Zachodzie, gdy ich kraj potrzebuje obrońców? Dlaczego wolą tu czasem wieść wygodne życie, gdy inni, zwykle mniej zamożni, oddają własne życie za to, by ci, którzy uciekli, mogli potem wrócić?

Te pretensje wzmacniane są przez nasze przekonanie, że Polacy w ich sytuacji byłoby bardziej skłonni do walki. Mamy jeszcze w pamięci to, co stało się u nas tuż po rosyjskiej napaści na sąsiada. Wojska Obrony Terytorialnej odnotowały siedmiokrotny wzrost zainteresowania ze strony ochotników. – Napad Rosji na Ukrainę wyzwolił w Polakach olbrzymie zainteresowanie służbą wojskową. Spektakularne sukcesy tamtejszej obrony

terytorialnej spowodowały zmianę postrzegania naszych Wojsk Obrony Terytorialnej. Duża część społeczeństwa zrozumiała rolę WOT, siłę jej terytorialności, ducha walki i przekonała się, że lekka piechota rzeczywiście potrafi efektywnie walczyć z czołgami – tłumaczył ten fenomen w marcu 2022 r. płk Marek Pietrzak, rzecznik prasowy WOT.

Ten obraz podtrzymywały w nas badania przeprowadzone przez wojskowych. We wrześniu ubiegłego roku na konferencji w Gołdapi dr Agnieszka Głapiak, społeczny doradca ministra obrony narodowej, relacjonowała badania „Stosunek Polaków do obrony ojczyzny” zlecone przez Akademickie Centrum Komunikacji Strategicznej działające przy Akademii Sztuki Wojennej. Wyniki? Z sondażu osób w wieku 18–55 lat wynikało, że gotowych do obrony kraju jest 72 proc. mężczyzn i 42 proc. kobiet. Co trzeci przyznawał, że wpływ na jego

postawę ma wojna na Ukrainie. – W liczbach bezwzględnych chęć obrony Polski deklaruje łącznie 11 mln Polaków – podkreślała Agnieszka Glapiak.

Czy ten obraz jest prawdziwy?

NIE ZAŁOŻĄ MUNDURU

Zupełnie inny obraz postaw młodych ludzi znalazł się w raporcie „Stabilność vs. niepewność” opublikowanym niedawno przez Centrum Dialogu im. Juliusza Mieroszewskiego. To raport z dwóch badań opinii publicznej przeprowadzonych wśród osób w wieku 16–26 lat. W Polsce ankiety prowadziła ARC Rynek i Opinia, a na Ukrainie InfoSapiens.

Oczywiście młodzi w obu krajach znajdują się dziś w radykalnie odmiennej sytuacji i to zdecydowanie musi wpływać na ich poglądy. A te są zdecydowanie różne, i to już np. na poziomie rozumienia tego, czym jest patriotyzm. Mimo prawie dekady rządów Zjednoczonej Prawicy i mocnego nastawienia w przestrzeni publicznej na promowanie postaw patriotycznych (wzniesienie do rangi powszechnego symbolu np. Żołnierzy Niezłomnych, walczących z wrogiem komunizmem do samego końca) młodzi ludzie w Polsce taką postawę postrzegają zupełnie w innych kategoriach. Trudno nie mówić tu w zasadzie o fiasku prawicowej narracji patriotycznej. „Dla młodych ludzi w Polsce patriotyzm to obecnie częściej codzienna troska o dobrostan państwa (uczciwa praca, płacenie podatków, wypełnianie obywatelskich obowiązków) – jak również pewien zestaw zachowań ze sfery symbolicznej (pamięć o historii, kultywowanie tradycji, obchodzenie świąt narodowych) – niż gotowość do walki i oddania życia za ojczyznę” – czytamy w raporcie.

Trzeba jednak też zauważyć, że Ukraińcy – zupełnie z innych powodów – mają sporo podejrzliwości co do utożsamiania patriotyzmu przede wszystkim z gotowością oddania życia za ojczyznę. „Ukraińcy dostrzegają zjawisko komercjalizacji patriotyzmu. Obawiają się, że jako społeczeństwo są poddawani manipulacjom ze strony władz państwowych, którym może zależeć na militaryzacji patriotyzmu w myśl zasady, że »patriotyzm to zdolność oddania życia za państwo«” – odnotowano w raporcie.

Własne życie jest więc istotną wartością dla młodych ludzi z obu stron grani-

cy. I zapewne wszyscy z nich obawiają się tego, że politycy z nie całkiem dobrych powodów kazaliby im złożyć je na ołtarzu jakiejś sprawy.

Widać jednak dużą różnicę w deklaracji dotyczącej gotowości wstąpienia do wojska, by bronić swojego kraju przed atakiem. W Polsce deklaruje to 36 proc. młodych ludzi (odpowiedzi „tak” oraz „raczej tak”), na Ukrainie gotowa do tego jest prawie połowa osób w tym wieku. Poważnie zdecydowanych na założenie munduru w takim przypadku jest 13 proc. Polaków, a wśród Ukraińców aż 24 proc.

Warto zauważyć, że trochę inaczej wypadają te różnice przy uwzględnieniu płci. Do wojska wstąpiłoby w takim przypadku 44 proc. młodych mężczyzn z Polski. Nie jest to ogromna różnica w porównaniu z 51 proc. młodych mężczyzn z Ukrainy. W przypadku kobiet jest inaczej. Nawet nie co trzecia młoda Polka wstąpiłaby do wojska (28 proc.), tymczasem taką decyzję podejmą prawie połowa badanych młodych Ukrainek.

Młodych sąsiadów różni jeszcze podejście do ewentualnej wyprowadzki z kraju. Wśród badanych Ukraińców aż 59 proc. nie wyobraża sobie życia poza ojczyzną na stałe. Życia poza Polską nie wyobraża sobie 41 proc. młodych Polaków. „Niższa skłonność do wyjazdu z ojczyzny w przypadku Ukraińców niewątpliwie ma związek z większym poczuciem obowiązku wobec kraju, który znajduje się w stanie wojny. Młodzi Polacy rozważając perspektywę wyjazdu w warunkach względnego bezpieczeństwa, w mniejszym stopniu obarczeni są poczuciem winy z uwagi na opuszczanie ojczyzny w potrzebie” – tłumaczą te różnice autorzy raportu.

POLITYKA I HISTORIA

Raport „Stabilność vs. niepewność” przynosi też – choć trochę pobocznie – ciekawy wgląd w to, jak młodzi ludzie podchodzą do historii swojego kraju. Tu znów można zbadać dekadę wpływu polityki historycznej rządów Zjednoczonej Prawicy. Jaki jest jej wpływ, jeśli trzecim najważniejszym wydarzeniem z historii, z którego dumni są młodzi Polacy, jest... bitwa pod Grunwaldem? Na tę wskazało 6 proc. badanych. To, co jako pierwsze warte jest dumy, to dla młodych odzyskanie niepodległości w 1918 r. (38 proc.)

oraz postawa rodaków w czasie drugiej wojny światowej (10 proc.). Obalenie komunizmu i działalność Solidarności za powód do dumy uważa zaledwie 5 proc. ankietowanych.

Wśród młodych Ukraińców pytanie o dumę z przeszłych wydarzeń miesza się z teraźniejszością. Najwięcej z nich jako powód do dumy uważa uchwalenie Deklaracji niepodległości (37 proc.). Na drugim miejscu jest już jednak „przyszłe zwycięstwo Ukrainy z Rosją (6 proc.), a na trzecim – zwycięstwa Ukrainy na froncie od 2014 r. (6 proc.).

Bardzo ciekawy – bo przecież kształtujący całe nowe pokolenia na dekady – jest stosunek do sąsiadów. Polacy nie darzą przesadną ufnością żadnego z państw, z którymi sąsiadują. Za najbardziej przyjazne uznają Czechy (55 proc.) i Słowację (53 proc.). Niemcy za przyjazne nam państwo uważa zaledwie 34 proc. młodych rodaków, a jednocześnie 24 proc. uważa je za nieprzyjazne. Jeszcze gorzej Polacy postrzegają Ukrainę. 34 proc. uważa ją za kraj przyjazny Polsce, a 32 proc. za nieprzyjazny.

Młodzi Ukraińcy zupełnie inaczej patrzą na Polskę niż młodzi Polacy na ich kraj. Polska jest według nich najbardziej przyjaznym państwem – sądzi tak aż 75 proc. Warto zauważyć, że Niemcy, czyli kraj, który od początku niechętnie wspierał Ukrainę w konflikcie z Rosją, jest według młodych Ukraińców drugim najbardziej przyjaznym innym krajem – uważa tak aż 69 proc. z nich.

Z kolei odsetek tych, którzy uznają Niemcy (6 proc.) za państwo nieprzyjazne, jest bardzo zbliżony do odsetka tych, którzy za takie uważają Polskę (8 proc.). 48 proc. Ukraińców postrzega relacje polsko-ukraińskie jako dobre lub bardzo dobre. Polacy są nieco bardziej sceptyczni – jedynie 23 proc. z nich ocenia je pozytywnie.

Ten wzajemny odmienny ogląd młodych Polaków i Ukraińców widać jeszcze bardziej w pytaniach o to, jak obie strony postrzegają się nawzajem. 16 proc. młodych Polaków uważa Ukraińców za „nieprzyjaciół”. Na Ukrainie takie odpowiedzi w ankiecie uzyskały 0 proc. Z kolei 24 proc. młodych Ukraińców uważa Polaków za „przyjaciół”. O Ukraińcach tak sądzi ledwie 8 proc. Polaków.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Gociek

„Furiosa” to spektakl mniej udany od „Mad Max: Na drodze gniewu”. Ale wizjoner kina akcji George Miller i tak osiąga poziom dla innych niedostępny

Nie sądziłem, że to znajomość na całe życie. A tu mija 40 lat i wciąż się widzimy. Max Rockatansky wkroczył w moje życie dopiero kilka lat po swoich kinowym debiucie, bo w kinach PRL trudno było o rozrywkę z zakazanego Zachodu. Pierwszy film z serii „Mad Max” obejrzałem więc w zatłoczonej salce klubu Pałacik we Wrocławiu podczas konwentu miłośników fantastyki wiosną 1984 r. Główną atrakcją imprezy był wówczas przedpremierowy pokaz komedii Juliusza Machulskiego „Seksmisja” (w sali kinowej), tymczasem w osobnej salce trwały pokazy filmów z kaset wideo. Od tej pory regularnie jeździłem na konwenty i różnego rodzaju dni fantastyki w całej Polsce. Dwa pierwsze filmy o „Mad Maxie” były żelaznym elementem pokazów; po roku 1985 dołączył do nich trzeci film serii, czyli „Mad Max pod Kopułą Gromu” (pamięćcie, ten z Tiną Turner).

PRZEPAŚĆ MIĘDZY FILMAMI

Trzy dekady później George Miller wskrzesił serię filmem „Mad Max: Na drodze gniewu” (2015). Zrobił to w imponującym stylu, proponując widzom jeden z najlepszych filmów akcji, jakie kiedykolwiek nakręcono. Było to kino w stanie czystym, ruch, akcja, napięcie – jak w najlepszych sekwencjach drugiego „Mad Maxa”, uważanego wcześniej za najlepszy tytuł serii. Teraz mówi się tak o „Na drodze gniewu”. Czy prequel tej opowieści, czyli pokazywana właśnie w kinach „Furiosa: Saga Mad Max”, zmieni tę hierarchię?

Przypuszczam, że wątpię. To wciąż bardzo dobry film. Ale jest przepaść między filmami niezwykłymi a zwykłymi – nawet jeśli bardzo dobrymi. Mieliśmy niedawno dobry przykład na ekranach. Pierwsza „Diuna” Denisa Villeneuve’a to

Na drodze zemsty



FOT. WARNER BROS. ENTERTAINMENT INC.

film niezwykle. Druga – tylko bardzo dobry. Oczywiście w jednym i drugim przypadku to, co dla Millera czy Villeneuve’a jest obniżką formy, dla wielu innych jest niedoścignym osiągnięciem, jak rekord olimpijski dla niedzielnego biegacza. Tak czy inaczej przygoda z Maxem trwa, choć w „Furiosie” pojawia się tylko na okamgnienie, obserwując z oddali krwawe zmagania na szosie. I gra go nie Tom Hardy, lecz jego dubler kaskader z „Na drodze gniewu” – Jacob Tomuri. Tak czy inaczej, niemal 80-letni dziś George Miller obiecuje kolejne filmy cyklu, jest mowa nawet o kolejnych trzech. Oczywiście wiele zależy od tego, jak „Furiosa” poradzi sobie w kinach. Na razie jest słabo: w chwili, gdy piszę te słowa, film Millera zarobił na świecie niespełna 65 mln dol, jedną trzecią budżetu (168 mln).

Długa była to droga – przy pierwszym filmie „Mad Max” reżyser miał na planie 30 osób. Podczas kręcenia „Furiosy” koordynował pracę tysiąca. Pierwszy film, który stał się katapultą do sławy młodego australijskiego aktora Mela Gibsona, był niskobudżetową fantastyką bliskiego

zasięgu – właściwie nic na ekranie nie wskazywało, że jesteśmy w dystopijnej przyszłości. Widz dowiadywał się jedynie, że porządek społeczny się rozsypał wskutek ekologicznej katastrofy i powszechnego braku paliwa. W istocie był to świetnie zrobiony, okrutny film klasy B, w którym na pierwszy plan wysuwała się przemiana Maxa Rockatansky’ego z wzorowego policjanta i ojca rodziny w szalonego mściciela napędzanego osobistą tragedią.

„Mad Max 2” (1981) zabierał nas już w odleglejszą przyszłość, kiedy po miasteczkach, jak to, w którym mieszkał Max, pozostało tylko wspomnienie. Na pustkowiu niedobitki walczą o resztki wody i paliwa, pejzaż to typowe postapo, przy czym należy pamiętać, że wówczas „typowe” nie było – to film Millera zdefiniował estetykę kina postapo i wywołał falę naśladownictw. „Mad Max pod Kopułą Gromu” (1985) to powtórka z dwójki na bogato, z dodatkiem Tiny Turner, ale jednocześnie film bardziej konwencjonalny, bo bardziej sentymentalny, z wątkiem zdziczałych dzieci wypatrujących



REŻ. GEORGE MILLER
„FURIOSA: SAGA MAD MAX”
USA, AUSTRALIA
2024

mesjasza, który je ocali. Niechętny zbawca, Max, stawia się na miejscu.

NOWY CZARNY CHARAKTER

Wielki przebój kin roku 2015, czyli „Mad Max: Na drodze gniewu”, okazał się filmem oszałamiająco dobrym, brutalnym, dynamicznym, mistrzowskim „westernem na kołach” (jak w USA nazwano serię Millera po premierze dwójki). W dodatku rozszerzał uniwersum Mad Maxa o nowe niezwykle miejsca (m.in. Cytadelę, którą rządzi Immortan Joe), no i wprowadzał na ekran twardzielkę Furiosę (Charlize Theron), której ekranowy sojusz z Maxem dawał temu ostatniemu kolejną szansę odkupienia. Z wyroków politycznej poprawności trzeba było podmienić Mela Gibsona na Toma Hardy’ego, ale nie odebrało to ani talentu reżyserowi, ani ducha filmowi.

„Furiosa: Saga Mad Max”, która miała swą premierę w Cannes, to film, który jest wprowadzeniem do „Na drodze gniewu”, bo opowiada o dzieciństwie i młodości Furiosy. Początkowo obydwie miały być kręcone razem, ale rzecz rozbiła się o pieniądze. Małą Furiosę zagrała Alyla Browne, starsza – Anya Taylor-Joy („Panny z dobrych domów”, „Wiking”, „Menu”). Na scenę wkracza nowy czarny charakter – Dementus, przywódca wielkiej hordy motocyklistów, którego zagrał Chris Hemsworth. To w jego łapska trafia mała Furiosa, by po latach wkroczyć na drogę zemsty. Hemsworth jest jedynym złym wyborem obsadowym w tej opowieści, nie pomagają mu też słabe kwestie do wypowiedzenia. Krótko mówiąc: jest to bad guy niewiarygodny i nadmiernie papierowy; jeden z amerykańskich recenzentów narzekał (słusznie), że to niepotrzebny kawałek Marvel Cinematic Universe przeszczepiony do uniwersum George’a Millera. Ale...

... dobra wiadomość jest taka, że uniwersum George’a Millera pozostaje tak intrygujące, tak barwne, szalone, dzikie, że nawet Hemsworth nie jest mu w stanie zaszkodzić. Tak, to prawda, „Furiosa” nie ma tych zwartości i tempa, które zachwycały w „Na drodze gniewu”. Tak, dialogi bywają nie najlepsze. Ale jednocześnie każdy kadr to uczta dla oka, a niejedno ujęcie zapiera dech w piersiach. To film stworzony do oglądania na wielkim ekranie – jak wspo-

mniana wcześniej „Diuna”. Miller wciąż jest arcy mistrzem kinowej akcji. Nawet obowiązkowe dla serii sceny ataku na wielką cysternę (przerobioną na uzbrojony po zęby krążownik szos) są świeże, zaskakujące i oryginalne, a przecież tyle już ich w poprzednich filmach widzieliśmy. Podobnie poprzedzająca finał sekwencja walki w wielkiej kopalni/kamieniołomie – przypomnijcie sobie, ile razy w rozmaitych kryminałach czy thrillerach widzieliśmy podobne miejsce jako arenę ostatecznej rozprawy. Miller przebija wszystkie te dokonania nie o klasę, ale o kilka klas.

Jeśli mimo wszystko pozostanie w nas poczucie, że mamy do czynienia z filmem nie do końca udanym, to jest to poważna zmiana akcentów. Po raz pierwszy w cyklu dostajemy opowieść – jak to mawiają Anglosasi – „character driven”. To zbliża „Furiosę” do „Pod Kopułą Gromu” i to właśnie, w obydwu przypadkach, działało na niekorzyść opowieści. Potęgą nie tylko obrazu, lecz także narracji najlepszych kawałków sagi „Mad Max” polega na tym, że w tym uniwersum nieustannego ruchu i zagrożenia najważniejsze postacie są symbolami.

Porównam rzecz choćby do „Niesamowitego jeźdźcy” („Pale Rider”, 1985) Clint Eastwooda. Ten ikoniczny wręcz western o tajemniczym mścicielu, który przybywa do miasteczka nie wiadomo skąd i znika potem nie wiadomo gdzie, straciłby swój posępny i mityczny urok, gdybyśmy opatrzyli owego mściciela w jakąś ckliwą historię rodzinną z przeszłości. Symbole nie potrzebują dodatkowych tłumaczeń. Wbrew producentom z Hollywood roz-

kochanym w prequelach i origin stories powtarzam: niepotrzebne nam opowieści o młodości Jokera czy Hannibala Lectera. Symbolizują oni różne rodzaje zła i dlatego są fascynujący, że zadajemy sobie pytanie: Skąd się to zło wzięło?

Wracając do „Furiosy” – próba uczłowieczania Dementusa jest niepotrzebna i nieudana. Rozbudowywanie głębi poszczególnych postaci zamiast wzmacniać opowieść, osłabia ją. Najlepszy emocjonalnie element nowego filmu Millera to relacja między młodą Furiosą a Pretorianinem Jackiem (światny Tom Burke). Dlaczego? Bo wymieniają dosłownie kilka zdań. Cała reszta jest w geście, niedopowiedzeniu, spojrzeniu. Nic więcej nie trzeba. Nadmiar – słów, wątków, sentymentu – jest tym, co nie pozwala postawić „Furiosy” na tej samej półce z „Na drodze gniewu”. A jednocześnie podczas seansu, choć zdarzały mi się chwile irytacji, nigdy się nie nudziłem i cały czas chciałem łapczywie chłonąć więcej. Filmowym mistrzem Millera jest Buster Keaton; nie jeden kadr z sagi „Mad Max” pożyczony jest z „Generała” – arcydzieła akcji czasów kina niemego. A najważniejsza lekcja z Keatona brzmi: ruch jest zawsze lepszy niż słowo. George Miller triumfuje, gdy pamięta o tej zasadzie. W „Furiosie” triumfuje miejscami. Ale nawet tam, gdzie obniża loty, wciąż osiąga poziom innym niedostępny. Co do przesłania, to jest w „Furiosie” jasne: świata nie da się uratować, ale pojedyncze akty szlachetności uratują i tego, który się na nie zdobędzie, i tego, który jest jej przedmiotem. Nawet kiedy – a finałowa cena to przypomina (powtarzam za Robertem Pennem Warrenem) – trzeba robić dobro ze zła, bo nie ma niczego innego, z czego można je robić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. JASIN BOLAND/WARNER BROS. ENTERTAINMENT INC.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

apple tv+



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Wierny detektyw



★★★★★
SEZON 1
„SUGAR”
USA 2024

wyst. Colin Farrell,
Amy Ryan, Dennis
Boutsikaris

John Sugar (Colin Farrell), prywatny detektyw. Nie dość, że uparty, dokładny, uważny i skuteczny, to jeszcze szczodry i empatyczny – nawet psy go lubią. Musi mieć skazę – w tym zamiast skłonności do whisky jest trauma związana z zaginięciem siostry, której nie zdołał odszukać czy uratować. Zlecenie od Jonathan Siegela (James Cromwell) potraktuje więc szczególnie: zniknęła młoda, piękna Oliwia, wnuczka wpływowego i obrzydliwie bogatego hollywoodzkiego producenta.

Rytm, zdjęcia, kolory tej opowieści – wszystko to uwodzi, serial „Sugar” po prostu chce się oglądać dla samej estetyki, w której pokazano skąpane w słońcu i upale Los Angeles. Obsada trafiona i zająca – Farrell jako detektyw cierpiętnik jest

znakomity; to jeden z tych aktorów, którzy dopiero z wiekiem nabierają elegancji i klasy. Amy Ryan jest świetna jako trzeźwiejąca po latach nałogu gwiazda rocka. Innych członków wpływowego rodu Siegel grają Anna Gunn, Dennis Boutsikaris i Nate Corddry, tworząc postaci, delikatnie mówiąc, niejednoznaczne. Wszystko opowiedziane jest pewną ręką, bo twórca serialu, Mark Protosevich, skusił do współpracy nie byle kogo: reżyserem pięciu z ośmiu odcinków jest Fernando Meirelles, reżyser „Miasta Boga” czy „Wiernego ogrodnika”.

I już moglibyśmy okłaskiwać serial „Sugar” jako najlepszy od lat pastisz kina noir, wzbogacony o wątki szpiegowskiego thrilleru (są początkowo i takie tropy – misja w Japonii, potężne

wsparcie tajemniczego biura, które wszystko może), kiedy dwa odcinki przed końcem twórcy dokonują potężnej przewrotki, która część widzów może okrutnie zrytować. To nawet nie nagięcie reguł gatunku, to jego całkowita zmiana, jakbyśmy przesiedli się z westernu do horroru. Dobrowolne zawieszenie niewiary, fundament porozumienia między autorem a odbiorcą, zostaje więc poddane ciężkiej próbie. Moim zdaniem – mimo wszystko warto; warto zaciśnąć zęby i mruknąć: „To było całkiem niepotrzebne”, ale dalej oglądać. „Sugar” opowiedziany został bowiem z wielką gracją, a gwałtowny zwrot akcji nie unieważnia pytania o to, czy to aby nie skłonność do przemocy czyni nas ludźmi. A takie właśnie pytanie jest w całej tej karkołomnej historii najważniejsze. ©



NOWE SERIALE: „TATUAŻYSTA Z AUSCHWITZ”

Sześciu odcinkowa ekranizacja best-sellera Heather Morris, powieści, która także w Polsce królowała miesiącami na szczytach list sprzedaży i znalazła setki tysięcy czytelników. W obsadzie m.in. Harvey Keitel (jako główny bohater tatuujący numery więźniom, czyli Lale

Sokołowi), Melanie Lynskey w roli autorki oraz Jonah Hauer-King i Polka Anna Próchniak jako Gita. ©

sky TV

Piotr Gociek

• miniseria „Tatuażysta z Auschwitz” („The Tattooist of Auschwitz”), Wielka Brytania 2024

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Michael Showalter „Na samą myśl o tobie” („The Idea Of You”), USA 2024
- sezon 1 „Gwiezdne wojny: Acolita” („Star Wars: The Acolyte”), USA 2024
- miniseria „Eric”, Wielka Brytania 2024

Bandyta ideowiec

KINO max

Wiosną 1976 r. duch czasu wcielił się w Pierre'a Goldmana. Przeszkolony na Kubie, walczył o lepsze, komunistyczne jutro ludzkości w Wenezueli. Po powrocie do Paryża zszedł na psy. Zbyt leniwy, by pracować, napadał na sklepy. W areszcie napisał autobiografię, która uczyniła zeń idola lewicy. Z oskarżonego przestępcy stał się w oskarżyciela: w sądzie publika brawami nagradzała tyrady „męczennika rewolucji” o faszystowsko-rasistowskim spisku policjantów tudzież świadków zeznających, że zastrzelił dwie aptekarki. Goldman był w PRL i lubił przedstawiać się jako polski Żyd. Adwokaci uczepili się tezy, że przemoc była jego reakcją na Zagładę. Zdołali też wmó-

wić ławie przysięgłych i opinii publicznej, że reprezentant prześladowanego narodu z automatu zasługuje na taryfę ulgową (co kłóci się z ideą równości wobec prawa). Ciekawostka: ojca Pierre'a, który wbił mu do głowy, że Polacy to „antysemici i staliści”, gra Jerzy Radziwiłowicz.



★★★★★
REŻ. CÉDRIC KAHN
„SPRAWA GOLDMANA”
(„LE PROCÈS GOLDMAN”)
FRANCJA 2023

wyst. Ariel
Worthalter, Jeremy
Lewin, Arthur Harari

Twórcy rekonstrukcji procesu, który sam podsądny raczył nazwać farsą, bardzo starali się zachować bezstronność. Filmowy Goldman, naburmuszony arogant, nie wydaje się jednak nowym wcieleniem Dreyfusa. Fałszywe legendy warto dezawuować, ale w przypadku żądnych rozgłosu epigonów Trockiego właściwym wyrokiem byłoby damnatio memoriae, czyli wieczne zapomnienie. ©©

Wiesław Chełmiński



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOSENKA DLA LISY

KINO

COVID-19, a raczej związane z nim restrykcje, dał branży filmowej mocno w kość. Co gorsza, nie pozostawił po sobie arcydzieł. Scenarzyści, ulegając owczemu pędowi, wkładali maski wrażliwców, zmuszonych do pustelnicstwa lub spędzania czasu ze zniechęconą rodziną. Na tym tle „Kolacja pożegnalna”



★★★★★
REŻ. LUKAS NATHRAT
„KOLACJA POŻEGNALNA”
(„LETZTER ABEND”)
NIEMCY 2023

wyst. Sebastian Jakob Doppelbauer, Pauline Werner, Susanne Dorothea Schneider

Isni jak brylant. Opowiada o parze, która przetrwała pandemiczny kryzys, ale nie chcąc dłużej kuść licha, podjęła decyzję o wyjeździe (z Hanoweru do Berlina). On jest muzykiem, ona – pielęgniarką. W wigilię przeprowadzki urządzają domówkę, która musi skończyć się katastrofą. Zanim do niej dojdzie, poznamy kilku ciekawych ludzi. Dziewczynę z „holistycznym podejściem do życia”, praktyczną sąsiadkę czy aktora, który zyskał dwuznaczną sławę, grając wirusa. Dowiemy się też, co Niemcy sądzą o Austriakach (i vice versa). Kto nigdy nie bawił się w przypadkowym towarzystwie, niech pierwszy rzuci kamieniem. ©©

WŁADCA DŻUNGLI

cd.pl

Sto dwadzieścia lat temu koło Temeszwaru urodził się Johnny Weissmuller, prototyp Arnolda Schwarzeneggera. Po przeprowadzce do USA umięśniony pływak zrobił karierę w sporcie, na ekranie zaś ożywił mit szczęśliwego dzikusa. Tarzan tudzież młodszy o rok King Kong stali się ikonami gatunku, który połączył zalety (i wady) filmów przyrodniczych, etnograficznych, przygodowych i melodramatów. Pierwsza część cyklu o potomku arystokratów, który woli życie w dżungli niż wśród zakłamanych ludzi, z dzisiejszej perspektywy jawi się jako ekstrawagancka komedia. Stężenie rasizmu jest tu większe niż w „W pustyni i w puszczy” i „Chacie wuja Toma”. Lepiej wygląda stosunek do przyrody, choć obsadzenie hipopotama w roli drapieżnika zakrawa na prowokację. Dwie rzeczy wyjaśniają sekret powodzenia takich produkcji: męski wdzięk Weissmullera i magia kina. ©©



★★★★★
REŻ. WILLIAM S. VAN DYKE
„CZŁOWIEK MAŁPA”
(„TARZAN THE APE MAN”)
USA 1932

wyst. Johnny Weissmuller, Maureen O'Sullivan, C. Aubrey Smith

Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „GHOST OF TSUSHIMA DIRECTOR'S CUT”

Bardzo dobrze wykonany port świetnej gry z PlayStation. Tsushima wygląda na PC jeszcze piękniej, a przy odpowiednim sprzęcie można się po niej poruszać bez zablokowanej liczby klatek na sekundę. Gra nie straciła nic ze swego klimatu (oj, jest to mocna

strona tytułu) i grywalności. A przy tym serwuje wciągającą opowieść snutą w Japonii z 1274 r., gdy krajem samurajów wstrząsały mongolskie ataki. Czy cudem ocalały wojownik może im skutecznie stawić czoła? Czy musi przy tym zapomnieć o swoim



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
kodeksie? Dobra zabawa na długie godziny. ©© **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** akcja
• **Platforma:** PC
• **Producent; wydawca:** Sucker Punch Productions/Nixxes
Software; Sony

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Lista nieobecności

O zbrodni w Srebrenicy wiedzą wszyscy, o Prijedorze i dokonanym tam ludobójstwie – bo to, co się tam działo w latach 1992–1995, usprawiedliwia użycie tego słowa – niekoniecznie. Z niedużego przemysłowego miasta, zamieszkanego przed wojną po równi przez Serbów i Bośniaków, z niewielką reprezentacją Chorwatów i innych nacji, pozostała – jak pisze Darko Cvijetić, autor wydanej właśnie po polsku „Windy Schindlera” – „dziura w świecie, znana ze zbrodniarzy wojennych, obozów i malarzy”. Nie przesadzałbym z tą znajomością. Świat żyje czymś innym; toczą się nowe wojny, o dawnych się zapomina, niekiedy – jak często słyszymy – „na dobre”. Ale co w tym dobrego?

Cvijetić opowiada o wojnie domowej, wojnie sąsiedzkiej, skrupulatnie relacjonując historię mieszkańców dwóch wieżowców w Prijedorze. Sam mieszka w jednym z nich: „[...] miał matkę Chorwatkę i ojca Serba – wyjaśnia tłumaczka »Windy Schindlera«, Dorota Jovanka Ćirić. – Wciąż musi odpowiadać na pytanie, w jakim języku pisze. Mówi: w zachodnim wariantcie serbsko-chorwackiego. Tyle że taki język już nie istnieje”.

W ogóle mało co jest już takie, jakie było, a to, co było, wydaje się nierealne zgół. Ci, którzy wprowadzili się w to miejsce w połowie lat 70., „chętnie wspominają pierwszomajowe poranne wstawanie; orkiestrę dętą dowożoną pod Czerwony i Błękitny Wieżowiec, więc ochoczo grała ku chwale święta swoje marsze, »Międzynarodówkę«, partyzantkie i robotnicze pieśni nucone o świecie, które budziły klasę robotniczą.



FOT. DARKO CVIJETIĆ / FACEBOOK

I sąsiedzi schodzili się, przynosili rakiję i ciasto, śpiewali objęci przed wyjazdem na odpoczynek. Tak było kiedyś”.

„Teraz wszystko jest puste, zarośnięte, bez życia, bez ludzi. Nic nie funkcjonuje już od dziesiątków lat [...]. Nie ma robotników, powtarzam. Robotnicy utonęli w swoich nacjach i pozostali z płucami wypełnionymi wodą na dnie. Teraz ich dzieci uciekają stąd na łeb na szyję”.

Darko Cvijetić (ur. 1968) sam o sobie mówi, że jest pisarzem (bardziej znanym jako poeta) post-jugosławińskim. Grubym błędem byłoby jednak domniemywać, że przemawia przez niego nostalgia za czasem, na którym trwał piętno odcisnął marszałek Tito.

O powiada o tym bowiem, jak już w 1991 r. ochotnicy chorwaccy wspomagali w walce swoich pobratymców i wracali stamtąd „pijani, rozpasani, na wpół oszaleli, uzbrojeni po zęby, wściekli – oni już widzieli i zrozumieli, że w wieżowcu nikt nie widzi ani nie rozumie, co nadchodzi i co się szykuje”. A wkrótce miasto „przejęli” Serbowie, „żeby nie zostało przejęte, choć było już

na wpół zaanektowane i całkowicie wynaturzone”. „A potem, miesiąc później, Prijedor zaatakowały zielone berety, dwustu nieszczęśników, którzy zamierzali »przejąć« miasto od tych, którzy »przejęli« je miesiąc wcześniej”. I już zaczyna się lista nieobecności.

„Z wieżowca wyprowadzili Ekrema Handanagicia i zabil go. Ćordicia zamordowali w środku budynku [...]. Aku i Amira zastrzelili przed budynkiem, gdzie po dziś dzień jest knajpa z rusztem, do obozów zabrano Josę Marticia, Muharema Bajramovicia, Mira Szolaję, profesora Szicera...”. I tak dalej, i tak dalej: „Płonęły domy wokół wieżowca, knajpa Levis, zwłoki ciągnęły ulicami i wrzucali na ciężarówkę”. Wywieziono je do świeżo wykopanych masowych grobów.

Świadomość tego, co się działo, była powszechna. Tyle że „wszyscy o tym milczeli, wszyscy nażarli się tej pustyni i śmierci i zaniemówili z pełnymi ustami. Tylko Szimo, pijany, wróciwszy z pola walki, krzyczał: „Wy, sąsiedzi, wy, ludzie, przecież wy jesteście normalnymi pizami... rodzonych sąsiadów zabiście, wy, komunistyczne debile!”.

Tak się jakoś składa, że im więcej słyszę i czytam o wojnie na Ukrainie, tym częściej myślę o tamtej wojnie – w Bośni i Hercegowinie – która może była, a może nie. Darko Cvijetić, zdanie po zdaniu, uzmysławia nam, że miała ona swoje miejsce i czas. Swoją tragiczną wymiar. I jeszcze jedno; pisarz informuje, że „wykorzystanie nazwiska Schindler i zwrotu »winda Schindlera« w tytule książki oraz w tekście to wyłącznie artystyczna decyzja autora i jest aluzją do filmu »Lista Schindlera«”. Aluzją czytelną. ©



★★★★★
DARKO CVIJETIĆ
„WINDA
SCHINDLERA”
NOIR SUR BLANC,
WARSZAWA 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Do grobu

Jakże mylą się spece od marketingu wydawnictwa Znak, wrzucając na okładkę książki zdanie „portret rodziny, która rozkłada się i gnije od środka”. Cóż, dziś w modzie jest pokazywanie rodziny jako źródła zła i wszelkiej zgnilizny, ale to podejście nie ma nic wspólnego z wielką powieścią Faulknera. „Kiedy umieram” – czy, jak chce tego nowy tłumacz, „Gdy leżę, konając” – to opowieść o niedolach naszego życia na tym leż padole, a z samego faktu, że bohaterowie należą do jakiejś rodziny, nie można jeszcze wnioskować, iż jest to powieść „o rodzinie”. Tak samo jak „Zbrodnia i kara” nie jest powieścią „o studentach” (bo w końcu były student jest jej bohaterem).

Trawestacja „Odysei” (tytuł wzięty z pieśni XI dzieła Homera), tragikomedie, wykalkulowane arcydzieło – różnie piszą i mówią. Z prozą Faulknera się obcuje, a nie ją czyta – pisał Jay Parisi, jeden z biografów pisarza. To prawda, lektura za każdym razem przynosi nam nowe doświadczenie, coś jak wizyta w muzeum przed obrazami Rembrandta – każde kolejne spotkanie daje nam coś nowego. Obrazki z życia rodziny Bundrenów, którzy wędrują, by pochować matkę, to

opowieść o naszych wysiłkach i planach na ziemskim padole; zwykle są próżne, gdyż tacy jesteśmy i taki jest świat. A gdy coś osiągamy, to zwykle wbrew, pomimo i ze skutkiem odmiennym od wymarzonego. „Ojciec mówił, że żyje się jedynie po to, żeby być gotowym na długie leżenie w grobie” – przypomina nam zmarła Addie Bundren w słynnym monologu, stanowiącym jedną z najważniejszych partii powieści. A co dalej? Faulkner mówił o sobie (nieraz) „dobry chrześcijanin”, a Biblię znał na wylot. Cóż, chrześcijanie mają na co czekać.

Odpowiedzialny za nowy przekład jest Jacek Dehnel, poprzednie tłumaczenie było dziełem Ewy Życieńskiej. Skłaniam się ku tej ostatniej, bo jej wersja była bardziej soczysta i kolokwialna, Dehnel zdaje mi się nazbyt literacki i uładowany. Bundrenowie to rodzina z nizin („white trash”,

można powiedzieć), więc Addie raczej powie: „pociągając tym swoim zasmarkanym kulfonem”, jak jest u Życieńskiej, a nie „siakając zasmarkanym noskiem”, jak jest u Dehnela. Czytajmy ważne książki. „Życie przecie krótkie” – rzecze Faulkner ustami Cory – „mało czasu na osiągnięcie zbawienia wiecznego”. ©©

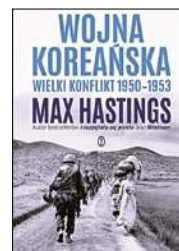


★★★★★

WILLIAM FAULKNER
„GDY LEŻĘ,
KONAJĄC”
ZNAK 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Dzieje jednego z najmniej znanych w Polsce konfliktów XX w. Z wykorzystaniem źródeł chińskich i północnokoreańskich, niemniej wciąż z przypomnieniem, że amerykańska interwencja była konieczna.



MAX HASTINGS
„WOJNA
KOREAŃSKA”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE

O 12 eksperymentach, które zmieniły świat, pisze australijska doktor filozofii, ale przede wszystkim fizyk, w sposób lekki i zajmujący. Atomy, kwanty, Wielki Zderzacz Hadronów – dzieje się!



SUZIE SHEEHY
„KWINTESENCJA
WSZYSTKIEGO”
ZYS I S-KA

Ostatnie ustępy „Dziennika domowego” Orwella, zapiski z lat 1946–1948, kiedy to pisarz zamieszkał na niewielkiej, mroźnej i dzikiej wyspie, gdzie „lepiej mu się myślało”. Przekład: Bartłomiej Zborski.



GEORGE ORWELL
„DZIENNIK
Z JURY”
VIS-À-VIS ETIUDA

Jeden z największych włoskich myślicieli XX w., wyborny znawca i krytyk oświecenia, marksizmu i freudyizmu, wskazuje na niepokojące związki komunizmu i faszyzmu, wspólną drogę do totalitaryzmów.

recenzuje Piotr Gociek

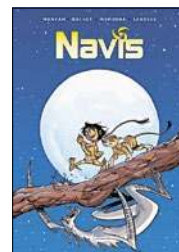


AUGUSTO DEL NOCE
„GRAMSCI, CZYLI
SAMOBÓJSTWO
REWOLUCJI”
INSTYTUT
PILECKIEGO

KOMIKS TYGODNIA:

„NÄVIS”

Dawno, dawno temu, zanim NÄvis wyruszyła w niesamowitą podróż z gigantycznym konwojem statków przemierzających Wszechświat, była zwykłą dziewczynką dorastającą na planecie pełnej niezwykłych zwierząt pod opieką pewnego robota. Uroczy prequel do komiksowej sagi space



**JEAN-DAVID MORVAN,
PHILIPPE BUCHET,
JOSE-LUIS MUNUERA**
„NÄVIS”
EGMONT 2024

opera, znanej i lubianej także w Polsce, czyli cyklu „Armada”.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Pałac poetów

Pałac Rzeczypospolitej z drugiej połowy XVII w. został otwarty dla zwiedzających. Barokowe wnętrza budynku według projektu Tylmana z Gameren były miejscem przechowywania najcenniejszych zbiorów Biblioteki Narodowej. Po renowacji i otwarciu drzwi pałacu to się nie zmienia – pozostaje on miejscem depozytu bezcennych zabytków piśmiennictwa.



FOT. PAŁAC RZECZPOSPOLITEJ

Wśród tych zbiorów są m.in. „Kazania świętokrzyskie”, „Psałterz floriański”, „Rocznik świętokrzyski dawny”, rękopisy kronik Galla Anonima i Wincentego Kadłubka, średniowieczne i renesansowe dzieła iluminatorów europejskich. Jest też jedyny autograf utworu Jana Kochanowskiego. Są rękopisy „Baladyny” Juliusza Słowackiego, „Ody do młodości” Adama Mickiewicza oraz zbiory rękopisów Cypriana Kamila Norwida, Zbigniewa Herberta, Czesława Miłosza, rękopisy Fryderyka Chopina i Henryka Mikołaja Góreckiego, oryginały utworów Agnieszki Osieckiej i Jacka Kaczmarskiego. ©©

GDZIE? Warszawa,
Pałac Rzeczypospolitej
KIEDY? ekspozycja stała

FOT. FABRYKA EMALIA OSKARA SCHINDLERA



AFISZE ŚMIERCI

Od samego początku niemieckiej okupacji terror był podstawą polityki wobec Polaków. Jak zauważają autorzy wystawy „Spirala zbrodni. Krakowianie na afiszach śmierci”, „jesienią 1943 r. Niemcy zerwali z dotychczasową metodą mordów zakonspirowanych i postanowili zastraszyć »oporną ludność«. Informacje o rozstrzelanych zaczęto umieszczać na tzw. afiszach śmierci [...]”. Prezentowane są m.in. oryginalne obwieszczenia, świadectwa rodzin i pamiątki po zamordowanych. ©©

GDZIE? Kraków, Fabryka Emalia
Oskara Schindlera
KIEDY? do czerwca 2025 r.



GRZEGORZ
BRZozowicz

NA SŁUCH

Ponura strona istnienia

Angielka należy do wąskiego grona artystów, którzy wydają płyty, kiedy czują, że mają coś do przekazania. Beth Gibbons nagrała z grupą Portishead, na przestrzeni 30 lat istnienia zespołu, tylko trzy płyty studyjne, przy czym dwie wybitne. Teraz jej drugi album solowy ukazał się po 22 latach od debiutu.

Głos Beth jest zmysłowy i przepełniony cierpieniem. Nie przypadkiem to ona zaśpiewała partie wokalne „Symfonii pieśni żałobnych” podczas wykonania dzieła Henryka Góreckiego w Operze Narodowej w Warszawie w 2014 r. Orkiestrą dyrygował sam Krzysztof Penderecki.

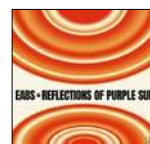
Jak sugeruje tytuł albumu, „Przekwitłe życia”, Gibbons, mierzy

się z przemijaniem. Dostrzegając kurczące się przed nią możliwości, znajduje sens istnienia w życiu teraźniejszością. „Są to piosenki, na których cieniem kładzie się śmierć, piosenki o stracie, żalu i menopauzie” – tłumaczy. Jednocześnie Beth przetwarza te niewesołe nastroje w piękne pastoralne pieśni. Swoją głos obudowuje mieszkanką bliskowschodniego folku, elektroniki, jazzu i orkiestrowych pasaży. Dopiero zamykając album piosenka „Whispering Love” jest światłem w ciemności pośród wszystkich tych trudnych prawd.

Jeśli moja recenzja brzmi ponuro, to rzeczywiście taka jest ta płyta. Jednocześnie jest to jeden z najbardziej poruszających albumów ostatnich lat. ©©



★★★★★
BETH GIBBONS
„LIVES
OUTGROWN”
DOMINO



★★★★★
EABS
„REFLECTION
OF PURPLE SUN”
ASTIGMATIC

Wrocławska

formacja składa hołd Tomaszowi Stańce. EABS interpretuje kompozycje trębacza z albumu „Purple Sun”. Te „refleksje” zostały nagrane w mieszkaniu Stańki, i to z wykorzystaniem jego instrumentów.



★★★★★
PEARL JAM
„DARK MATTER”
EMI

Andrew Watt,

specjalizujący się

w odświeżaniu klasycznych brzmień rockowych (nagrywał z Ozzyem Osbourne’em, Iggy’em Popem i Stonesami), wyprodukował album w stylu wczesnego Pearl Jam. Płyta nawiązuje do płyt „Ten” i „Vs.”, ale nie brzmi jak żadna z nich. Świetny prezent dla fanów. ©©

Niespokojny duch



Krzysztof Masłoń

Nagrał pięć płyt, wydał trzy książki, internetowa wyszukiwarka na wstukane hasło „Polscy bardowie” natychmiast pokazuje jego nazwisko, a przecież pamiętają go tylko najstarsi, dla których pozostaje żywą legendą poezji śpiewanej. Ale nie tej rozszczębiotanej, lecz walczącej, drapieżnej, zaangażowanej w żywotne sprawy dziejące się tu i teraz. A przesłanie jego ballady z końca 1981 r. „Przyjaciół nikt nie będzie mi wybierał” pozostaje aktualne i brzmi tak samo mocno jak 40 lat temu:

*Przyjaciół nikt nie będzie mi wybierał
Wrogów poszukam sobie sam
Dlaczego kur.a mać bez przerwy
Poucza ktoś w co wierzyć mam.*

Pierwszy raz zaśpiewał Garczarek ten utwór na początku sierpnia 1981 r., podczas blokady ronda u zbiegu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej, gdy Solidarność protestowała przeciw polityce komunistycznych władz wywołującej gwałtowną pauperyzację społeczeństwa. W całej Polsce organizowano wtedy marsze głodowe, jednak skala wydarzenia, które miało miejsce w samym centrum stolicy, była nieporównywalna z niczym podobnym. Przez trzy dni na dzisiejszym rondzie Dmowskiego do głosu doszła Wolna Polska. A na zaimprovizowanej estradzie księża odprawiali msze, działacze związkowi przemawiali do tłumów mieszkańców stolicy, występowali Jan Pietrzak i Jacek Fedorowicz, a Andrzej Garczarek śpiewał:

*Niech się gazeta „Neues Deutschland”
Wstrzyma z wstępniakiem o pomocy
Bo tu są ludzie którzy jeszcze
Budzą się z krzykiem w środku nocy.*

Podobnie odniósł się bard do pouczeń, których po powstaniu Solidarności nie szczędziło nam czeskie „Rude Pravo”, którego korespondenta Jana Lipavsky’ego uwiecznił w innej, „zakazanej” piosence Jan Tadeusz Stanisławski, każąc mu „zbierać dupę w troki i zjeżdżać do Pragi”.

Od warszawskiej blokady minęły ledwo trzy tygodnie i w gdańskiej Olivii w rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych odbył się I Przegląd Piosenki Prawdziwej, na którym zaprezentowali się i Stanisławski, i Garczarek. I choć o prezentacji wykonywanych tam utworów w radiu, o telewizji nie wspominając, nie mogło być mowy, to wkrótce – dzięki nagrany i rozprowadzany przez Solidarność kasetom – znała je cała Polska.

Andrzej Garczarek (ur. 1947) znany był wcześniej jedynie w kręgu, skądinąd bardzo wtedy znaczącej, piosenki studenckiej. Ten absolwent polonistyki pokazał się na Warszawskim Przeglądzie Piosenki Autorskiej w Hybrydach, a jeden ze swoich pierwszych songów, odwołujący się – a jakże – do Marka Hłaski przypominał potem w Olivii. Była to „Ballada o chłopcach z Bazy Sokołowskiej” ze słowami:

*Chłopcy z Bazy Sokołowskiej
odjechali gdzieś w nieznane
na swych mocnych ciężarowych
samochodach
rozmyśliły się marzenia przy goleniu
w zamysleniu nuta chowa się
wstydlawa
„z młodej piersi się wyrwało...”
ale wrócić już nie chciało*

*w piekle błota i barakach betlejemskich
pozostało...*

Warto może przy okazji wspomnieć, że autorowi „Bazy Sokołowskiej” poświęcił swój song także inny bard – Grzegorz Tomczak („Fragment pewnego artykułu o Marku Hłasce”). A już całkowicie w klimacie, powiedzmy, że literackim, utrzymany był utwór Garczarka „Do Piotrowskiego – poety”, który z miejsca stał się sławny. Co prawda, tylko lokalnie, mówiąc wprost – „na Szlaku”:

*Weź ty się ożeń poeto Piotrowski
chodź tak chodź po tym
Krakowskim
daj się namówić, co ci w końcu szkodzi
ludzi w aniołów nie przerobisz
kwaszą się na zgagę
ryzlingowe kwachy
u Hopfera siedzą
cztery Himilbachy
siedzą nic nie jedzą
czasem tylko basem
sobie zaśpiewają
„Stachuro, Stachuro ty już idziesz górą
A nam tu w dolinie gorzko i ponuro...”*

Autor zdaje sobie sprawę z ograniczeń literatury, dlatego też z melancholią stwierdza:

*Choćbyś krwiał pisał
wszystkie swoje wiersze
na welinowym glancie papierze
ludzi w aniołów raczej nie przerobisz
bo już poezja ich nie bierze.*

Nawiąże do tych słów w późniejszym, z 1988 r., utworze „Pod bładożółtą słońca blaszką”:

*Jest jeszcze tutaj pieśni parę
których nikt za nas nie napisze
i prawdą jest że w życia prozie
poetów wini się
za ciszę.*

Radiosłuchacze dawnej Trójki pamiętają go zapewne z magazynu „Zgrzyz”, w którym wspomagał Macieja Zembatego. Przez długie lata prowadził



FOT. MATEJ MACH/WPROST/EAST NEWS

też cykl autorski „Literacko-muzyczny kantor wymiany myśli i wrażeń”. Dał się też poznać z happeningów i współpracy z teatrem Kalambur. No, był niespokojnym duchem. Aż w końcu wyniósł się z żoną na Mazury, gdzie – jak pisał w „Kotyśance na Ścianę Wschodnią” (2005) – „pod figurą sztuczny kwiat / lecz najprawdziwsza wiara w Boga / i przed obcymi swojski strach / w polu na wróble kuternoga”.

I dalej pisze Andrzej Garczarek swoje piosenki. Jedyne w swoim rodzaju, gdzie jakoś zawsze wspaniałe sacrum uzupełnia profanum, a może odwrotnie. Jak wtedy, gdy opowiada o tym, „Jak my w Wyszeborgu Pana Jezusa witali”, czy kiedy zwraca uwagę na „małe i śmieszne żółte kółeczko”, postrzegane przez dzieci i poetów, które Pan Bóg po całym trudzie stworzenia przytroczył światu „na szczęście, na ślepy tra”, i ostrzega, że gdy się kiedyś kółeczko to turlać przestanie – „znieruchomieje świat”.

Nie powstają dziś takie piosenki. Także takie jak ta, jeszcze jedna z pamiętnego roku 1981:

*Jako naród my som dobre
jako społeczeństwo – nie!
– stwierdził brakarz Zdichu Waciak
i zamówił jeszcze dwie. © ©*

Spiski dzielą się na udane i nieudane. W artykule w „Do Rzeczy” nr 2/2024 opisywałem udany spiszek, w którego wyniku Europejską Wspólnotę Gospodarczą przekształcono na federalne państwo pod nazwą „Unia Europejska” (a obecnie trwają powolne prace nad przekształceniem UE w państwo unitarne. Ot, właśnie niedawno obserwowaliśmy próbę przejęcia przez UE lasów należących do III RP – czyli jedna trzecia Polski stałaby się domeną UE)!

I nikt by tego nie zauważył!

Dawniej spiski robili mężczyźni – i ich efekt był od razu widoczny (nieraz wręcz wybuchowy, gdyby udał się np. spiszek prochowy). Gdy mężczyzna wprowadza się do kobiety, czyni to z przytupem. Kobieta inaczej. Pierwszego dnia zostawia w mieszkaniu wybranka szczoteczke do zębów, drugiego dwie pomadki, trzeciego koszulkę nocną – i po półtora roku facet stwierdza, że jest omotany setkami niewidocznych więzi, których zerwanie bywa trudniejsze niż rozwód!

Otóż Unia jest tworzona metodą kobiecą. Na przykład czeka z niektórymi zmianami, aż ludzie przyzwyczają się, że są „obywatelami UE”. I w ten sam sposób tworzone jest „prawo międzynarodowe”.

Nic takiego jak „prawo międzynarodowe”, oczywiście, nie istnieje. Proszę o to spytać jakiegokolwiek prawnika. Powszechna definicja „prawa” brzmi: „Prawo to zespół norm określających postępowanie ludzi, norm ustanowionych lub usankcjonowanych przez państwo i zabezpieczonych aparatem przymusu państwowego”. Na to więc, by istniało „prawo międzynarodowe”, musiałby istnieć jakiś „rząd światowy”, który takie prawo by narzucił i miał policję, która by naruszenia tego „prawa” usuwała, a winnych stawiano by przed powołanymi przez to państwo sądami.

Na razie, na szczęście, nie istnieją ani takie państwo, ani takie prawo.

LITERA PRAWA A WOLA LUDU

To, co wyklada się na licznych katedrach „prawa międzynarodowego”, to bardzo interesująca wiedza o tysiącach porozumień, które rozmaite państwa pozawierały między sobą, o zwyczajach międzynarodowych, ujmowanych często w formie „konwencji” – np. konwencja wiedeńska o zwyczajach dyplomatycznych czy konwencja genewska i cztery



Janusz Korwin-Mikke

Świącząca od połowy lat 30. tryumfy lewica ostatecznie podkopała pojęcie prawa, będące ostoją prawicy. Odbывало się to w atmosferze terroru moralnego. Dla każdego człowieka, który rozumie, co to jest prawo, jasne jest, że takie zwierzę jak „prawo międzynarodowe” nie istnieje

Lewo

konwencje haskie o prowadzeniu wojen. Jednak te układy dotyczą wyłącznie państw, które je podpisały. Również konwencje przyjęte przez ONZ obowiązują wyłącznie państwa należące do ONZ – a nawet od nich ciężko to wyegzekwować siłą, gdyż wymaga to jednomyślności wielkiej piątki z Rady Bezpieczeństwa.

Mimo to zwolennicy państwa globalnego uparcie i z premedytacją, gdzie tylko mogą, wciskają frazy „zgodnie z prawem międzynarodowym” lub „to narusza zasady prawa międzynarodowego”. Spiskowcy ci, rzecz jasna, używają zwrotu „zgodnie z prawem międzynarodowym” tylko wtedy, gdy większość ludzi skłonna jest przyjąć, że jest to rozstrzygnięcie słuszne. To wyrabia, jak u psa Pawłowa, odruch „prawo międzynarodowe jest czymś dobrym”.

Na przykład ludzie są dziś przekonani, że trybunał norymberski karał hitlerowskich zbrodniarzy „zgodnie z prawem międzynarodowym”. Tymczasem podstawą działania tego Trybunału była deklaracja jałtańska, w której alianci zapowiedzieli, że zbrodniarzy wojennych będą karać. Było to całkowicie bezprawne – w szczególności bezprawne było karanie za „ludobójstwo”.

Żelazna zasada prawa mówi: „Nullum crimen sine lege”. Jest to zasada definicyjna: bez przyjęcia, że „nie można złamać

prawa, jeśli to prawo nie istnieje”, nie mamy do czynienia z „prawem”, tylko z „lewem”. Podobnie z zasadą „Lex retro non agit” – „prawo” działające wstecz jest „lewem”, jest jawnym bezprawiem. Tymczasem pojęcie „ludobójstwa” nie istniało w żadnym kodeksie karnym – co więcej: narodowych socjalistów karano również za czyny popełnione przed deklaracją jałtańską!

Był to akt całkowitego bezprawia, tryumf brutalnej przemocy nad zasadami prawnymi. Przecież „ludobójstwo” składa się z wielu poszczególnych morderstw – a morderstwo w każdym z państw, włączając w to III Rzeszę, było przestępstwem karanym śmiercią. Zbrodniarzy można więc było posłać na szubienice całkowicie zgodnie z prawem. Jednak twórcom Nowego Porządku Świata (którzy już rozpoczęli budowę Nowego Ładu w USA i innych państwach) chodziło właśnie o to, by zniszczyć pojęcie Rechtsstaatu, państwa prawa – a wprowadzić w to miejsce d...kratyczne pojęcie „sprawiedliwości społecznej”, egzekwowanej nie zgodnie z literą prawa, tylko wedle woli ludu. Proces norymberski niczym (w sensie prawnym) nie różnił się od prawa sędziego Lyncha czy hitlerowskich Volksgerichten. Już słynna sowiecka Czeką, czerezwyuczajka, była lepiej umocowana prawnie!



międzynarodowe

I o to chodziło. Świącąc od połowy lat 30. tryumfy lewica ostatecznie podkopała pojęcie prawa, będące ostoją prawicy. Odbywało się to w atmosferze terroru moralnego: „Przecież tak wielkie zbrodnie nie mogą być sądzone zgodnie ze staromodnym prawem” oraz: „Kto chciałby postawić zbrodniarzy hitlerowskich przed zwykłymi sądami orzekającymi zgodnie ze zwyczajnym prawem – jest poplecznikiem tych zbrodniarzy”.

Kolejnym etapem był proces śp. Slobodana Miloševicia i innych „ludobójców” z byłej Jugosławii. Spiskowcy celowo postawili ich przed „trybunałem haskim”, by w umysłach ludzi myliło się to z prawdziwym trybunałem haskim – istotnie rozstrzygającym spory międzynarodowe, ale... tylko między państwami, które dobrowolnie wniosą do trybunału haskiego prośbę o rozstrzygnięcie ich sporu. Ten ustanowiony w 1945 r. trybunał haski (ICJ, International Court of Justice) miał znakomitą renomę bezstronności – i spiskowcy postanowili to skojarzenie wykorzystać.

Aby być ścisłym początkowo trybunałem haskim, nazywano po kolei „trybunały” powołane do osądzenia zbrodni w Jugosławii i w Rwandzie. Potem globaliści wykorzystali okazję, by powołać Międzynarodowy Sąd Kryminalny (ICC, International Criminal Court) – też, oczywiście,

z siedzibą w Hadze. Zrobiono to w sposób wręcz humorystyczny, bo wykorzystując posiedzenie FAO (ONZ-owskiej Organizacji do spraw Pożywienia i Rolnictwa). Potem statut tego tworu przedłożono Zgromadzeniu Ogólnemu ONZ. Zagłosowało za tym 120 państw, 21 się wstrzymało, a siedem głosowało przeciwko; były to: ChRL, Irak, Izrael, Jemen, Katar, Libia i USA. Potem uciulano 60 podpisów i statut ICC wszedł w życie, jednak podpis wycofała Federacja Rosyjska.

Parę lat temu napisałem w tej sprawie: „Ponieważ statut przewiduje (bez tego mało kto by go podpisał!), że ICC sądzić może tylko ludzi z państw, które statut ICC ratyfikowały, przeto wydawałoby się, że nie da się w ICC osądzić np. obywateli USA za zbrodnie w Jugosławii, Pakistanie, Afganistanie, Libii, Syrii, Iraku etc., Izraelczyków za Palestynę, Rosjan za Ukrainę, Chin za Ujgurów. Acz przekonany jestem, że gdyby udało się kogoś dostać w swoje łapki, toby się go skazało bez względu na Statut... albo powołałoby się nowy »Trybunał«”.

WINA PUTINA

I teraz przyszedł czas na sprawdzenie tych słów.

Pierwszym był przypadek JE Włodzimierza Putina. Statut ICC podpisały już 124 państwa – ale nie ma wśród nich ani

Federacji Rosyjskiej, ani Republiki Ukrainiejskiej! Jakim cudem więc prokurator ICC mógł wystawić nakaz aresztowania prezydenta FR?! Otóż Ukraina „upoważniła ICC do prowadzenia postępowań na terenach zajętych przez Rosję” (co samo w sobie jest logicznie sprzeczne – bo jak można upoważniać do działań na terenach, nad którymi się nie panuje?). Jednak ICC będące w rękach sędziów myślących postępowo, nie oglądając się na prawo ani na logikę, natychmiast zadziało.

Ale o co oskarżono prezydenta FR? Nie o żadne zbrodnie wojenne – bo „à la guerre comme à la guerre” – tylko o to, że Rosja przyjęła na swoje terytorium 5 tys. dzieci, „by umożliwić im życie w radości i pokoju”. Nie jest jasne, czy są to dzieci Rosjan mieszkających na Ukrainie czy sierot bez poczucia narodowego (bo chyba nie chodzi o dzieci mające żyjących rodziców – Ukraińców?). JE Włodzimierz Putin jest oskarżony o wydanie dekretu „ułatwiającego im otrzymanie rosyjskiego obywatelstwa”. Przy okazji nakaz aresztowania objął panią Marię Lwową-Bielową, rzecznikę praw dziecka w FR, za namówienie go do wydania tego dekretu!

Jest to w świetle statutu ICC całkowicie bezprawne. Ale co ma robić Kreml? Pozwać ICC przed jakiś sąd (holen-

derski?) za złamanie swojego statutu? W każdym razie prezydent Rosji, jadąc za granicę, starannie omija kraje, których władza podpisała statut ICC (choć odwiedził się odwiedzić Tadżykistan!)...

Ciekawe jest tu stanowisko USA. Waszyngton ICC nie uznawał i traktował go wręcz wrogo. Za rządów pana Donalda Trumpa pan Michał „Mike” Pompeo nałożył sankcje (m.in. odmawiając amerykańskiej wizy) prokuratorowi ICC, który ośmielił się wszcząć śledztwo w sprawie rzekomych zbrodni USA w Afganistanie; przy okazji ostrzegł ICC, że powinien zmienić swoją politykę dopóty, „dopóki nie jest za późno”. Jednak jeszcze w 2002 r. Kongres uchwalił prawo upoważniające siły zbrojne USA do uwolnienia siłą obywateli USA zatrzymanych przez ICC.

Izrael był pewien, że jak powoła się na Holocaust, to nikt nie ośmieli się stwierdzić winy żadnego ich dostojnika

Jednak JE Józio Biden jest człowiekiem postępowym i poparł wniosek 39 państw (!) do ICC w sprawie aresztowania JE Włodzimierza Putina (i wywierał tak skuteczny nacisk na RPA, że ta poradziła prezydentowi FR, by nie przyjeżdżał do Pretorii na „szczyt BRICS”). Wszelako ludzie rozsądni, w tym wpływowi generałowie, blokują tego typu ruchy – słusznie zauważając, że za chwilę kilku prezydentów USA mogłoby otrzymać taki sam „akt oskarżenia”.

SKRUSZONA PIECZĘĆ HOLOKAUSTU

I tu przechodzimy do Izraela, a raczej do problemu pana Beniamina Netanjahu – bo w ICC, w odróżnieniu od prawdziwego trybunału haskiego, nie rozpatruje się spraw między państwami, a tylko oskarża poszczególnych ludzi. Republika Południowej Afryki wniosła oskarżenie przeciwko niemu – na podstawie równie absurdalnej, jak przeciwko prezydentowi FR: bo wprowadzić Izrael nie uznaje ICC, ale popełniał rzekome zbrodnie na terenie państwa palestyńskiego, które... jest stroną ICC, choć nie istnieje.

Nie istnieje w tym sensie, że państwo Palestyna nie ma obecnie uznanej mię-

dzynarodowo suwerenności na żadnym obszarze. W związku z tym trudno przyjąć, że Izrael popełniał zbrodnie na terenie państwa Palestyna. Z drugiej strony 122 państwa uznają Palestynę, Palestyna jest też członkiem UNESCO! Ciekawie jest w Polsce, w której urzęduje uznany ambasador Palestyny, choć Polska Palestyny nie uznaje (obecnie ją zapewne uznaje, jednak statut ICC starannie podkreśla, że prawo wstecz działać nie może, a wątpliwości są rozstrzygane na korzyść oskarżonego).

Izrael powinien więc być po prostu zignorować to oskarżenie. Jednak nieopatrznie stawiał się na rozprawie, którą zresztą oglądałem – tym samym uznając de facto jurysdykcję ICC! Izrael był pewien, że jak powoła się na Holocaust, to nikt nie ośmieli się stwierdzić winy żadnego ich dostojnika – a ponadto

formalnie byli nie do ruszenia. Jednak, jak poprzednio: ICC będące w rękach sędziów myślących postępowo, nie oglądając się na prawo ani na logikę, zadziało. Prawnicy izraelscy nie potrafili się z tym pogodzić i zaczęli biadolić, że „naruszone są wszystkie zasady prawa międzynarodowego”.

Teraz JE Józio Biden znalazł się w głupiej sytuacji – bo jeśli oskarżenie przeciwko JE Włodzimierzowi Putinowi było zasadne, to tym bardziej zasadne jest oskarżenie przeciwko panu Beniaminowi Netanjahu! W dodatku USA są państwem d...kratycznym i pragmatycznym – a nastroje ludności nagle obróciły się przeciwko Izraelowi: pieczęć Holocaustu została skruszona i Amerykanie biorą teraz odwet za lata, kiedy nie wolno było pisać słówka przeciwko Izraelowi – bo epitet „antysemity” wykluczał z życia towarzyskiego i politycznego. Pamiętam aktorkę, której kariera skończyła się raptownie tylko dlatego, że powiedziała, że jej wuj ma „duży żydowski nos”!

Na razie ICC zażądał, by Izrael wstrzymał pacyfikację miasta Rafah w Strefie Gazy – ale Izrael zapowiada, że nikt i nic nie powstrzyma go od robienia tego, co on uważa za słuszne. Na co pan Karim

Khan złożył do ICC wnioski o aresztowanie panów Beniamina Netanjahu oraz Jo’awa Galanta (ministra wojny) – oraz, dla równowagi, kilku przywódców Hamasu, podobno odpowiedzialnych za krwawą raję na Judeę. Swoją drogą, Izrael przywódców Hamasu „likwiduje”, nie dbając, że zabije przy okazji choćby i 200 osób postronnych, więc panowie Yahia Sinwar, Mahomet Diab Abraham al-Masri oraz Izmael Haniyeh byliby znacznie bezpieczniejsi w haskim areszcie.

Czym to się skończy: nie wiadomo. Jednak ICC trzeba uznać za najgroźniejszą próbę realnego wprowadzenia „prawa międzynarodowego”. Dopóki ICC nie uznają ChRL, USA i FR, dopóty możemy być spokojni – ale dzisiejsze państwa nie prowadzą polityki pryncypialnej, tylko pragmatyczną – i nie wiadomo, czy w ciągu najbliższych 20 lat nie wpiszą się jako strony ICC.

Dla każdego człowieka, który rozumie, co to jest prawo, jasne jest, że takie zwierzę jak „prawo międzynarodowe” nie istnieje. Jednak wielki praktyk d...kracji, dr Józef Goebbels, słusznie zauważył, że w d...kracji wystarczy kłamstwo powtórzyć sto razy, a staje się ono prawdą. Oczywiście pod warunkiem, że będzie wypowiedziane w telewizji, a nie w jakichś pismach prawniczych.

Jeśli więc spotkamy kogoś powołującego się na „prawo międzynarodowe”, to jest to albo uczestnik spisku globalistów – albo, co znacznie bardziej prawdopodobne, poputczyk, fellow traveller, nieświadomie pomagający globalistom utrwalić pożyteczne (według nich!) frazy w umysłach ludzi. Aż wreszcie – być może niedługo – przyjdzie dzień, gdy globaliści powiedzą: „Skoro mamy ustalone tak wspaniałe zasady prawa międzynarodowego, to trzeba ustanowić instytucję, która to prawo będzie mogła efektywnie wcielać w życie”.

I w ten sposób wejdziemy na drogę, na którą weszły wszelkie ustroje planetarne. Bo zapewne zanim jakaś cywilizacja zaczęła rozbudowywać podróże międzygwiazdowe, uznała za słuszne stworzenie rządu planetarnego. A to wyłącza konkurencję, a więc i rozwój – i nieuchronnie prowadzi do śmierci.

I zapewne dlatego z innych planet nie dochodzą do nas żadne sygnały.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jerzy Karwelis

COVID to była przemożna operacja psychologiczna, dokonana na całym społeczeństwie, w niespotykanej do tej pory, światowej skali. Rozliczenia tej akcji nie będące

Opadł kurz covidowy, temat rozszedł się po (ocalałych) kościach i zniknął z medialnej busoli. W sumie największa trauma, którą przeżyła powojenna społeczność, jakoś dziwnie wymyka się ocenom i refleksji. Temat to dziwny, bo jest kluczowy dla rozeznania miejsca, w którym znaleźliśmy się jako ludzkość, a cywilizacja, w przerwach na straszenie, tym razem wojną, zajmuje się bezrefleksyjnie nowymi wrzutkami. A sprawa trzyletniej covidowej maligny, jej powodów i skutków, w które wpędziła się sama nasza cywilizacja, pozostaje jakoś wstydliwie omijana.

COVIDOWI SYGNALIŚCI

Kiedy ogół już zapominał, niektórzy konsekwentni ultrasi prawdy wciąż o nią walczą. Kiedyś odsądzani od wiary przez media wspierane covidową propagandą dziś ze zdziwieniem sami obserwują, jak do mainstreamu przenikają powoli tezy, za które nie tak dawno palono ich na stosach towarzyskiego i zawodowego ostracyzmu. Niedysyjni ich prześladowcy obecnie, lekko tylko modyfikując alarmujące doniesienia swych ówczesnych ofiar, powoli „odslaniają prawdę”, czasami cynicznie, czasami komicznie udając, że wysłędzili coś, co w rzeczywistości wcześniej postponowali.

Za COVID rozpoczął się ruch społeczny, obecny w wielu krajach, kiedy różne organizacje szukały w instytucjach odpowiedzialnych za zdrowie publiczne danych mogących zweryfikować merytoryczną bazę podjętych decyzji. A chodziło o nie byle co – wiedzę, czy były podstawy do wprowadzenia obostrzeń dostępu wynikających z distancingu. Czy lockdowny, które zmasakrowały gospodarkę upadłościami, a finanse publiczne

kosztownymi tarczami, miały sens i jakie były ich efekty pandemiczne (bo wspomniane finansowe i gospodarcze znamy)? W końcu – jak to było i jest z tymi szczepionkami? Dążący do wyjaśnienia tych kwestii tylko pytają, domagają się (w trybie regulowanego dostępu do informacji jawnych) udzielenia informacji, na jakich merytorycznych podstawach podejmowano tak ważne decyzje.

To jest walka Dawida z Goliatem. Głównie dlatego, że z różnych powodów dostęp do takich informacji jest utrudniany ze strony instytucji, które odpowiadały za pandemiczne decyzje. Najbardziej rażącym tego przykładem była sytuacja w USA, kiedy instytucja publiczna (FDA) sama wystąpiła, pod rękę z Big Pharmą, by przed sądem uzasadnić niecelowość udzielenia dostępu do raportów z badań, które przedstawiły

ukowych, choć w gremiach siedzieli przedstawiciele nauki, należy więc optymistycznie podrozumiewać, że w roli dekoracyjnych paprotek, bo alternatywą ich naukowego „zaćmienia” może być już tylko korupcja.

W trakcie COVID więc, ale szczególnie po jego „zamknięciu”, narastała nieujawniana pula informacji, która podważała praktycznie wszelkie filary covidowe. Wszystko było nie tak: distancing, maseczki, dezynfekcja, izolacja, ograniczenia dostępu, podróżowania, epidemiologiczna sensowność lockdownów, wreszcie ewoluująca do szkodliwej, a wcześniej naukowo gwarantowana zbawczość szczepionek – wszystko legło w gruzach. Dziś media pokazują tylko wyrwyki tych znalezisk, ale w formie rozproszonej – ma to być jak lapidarium, zbiorowisko odłamków większych konstrukcji, takie

Kto chce zapomnieć o COVID

jej firmy produkujące szczepionki. Na szczęście „są jeszcze sądy w Berlinie” i sędzia z Teksasu nakazał ujawnienie tych dokumentów, a było tyle tego, że trzeba było powołać specjalne zespoły do czytania i analizy kilkudziesięciu tysięcy stron dokumentów.

Na podstawie takich międzynarodowo poszukiwanych odpowiedzi można się było dowiedzieć o tym, co wiedziały instytucje decyzyjne w innych krajach. Okazało się, że wszelkie decyzje covidowe były podejmowane w kompletnej niewiedzy co do tego, czy tak bolesne działania mają jakikolwiek epidemiologiczny sens, jakie są i mogą być ich skutki (również ekonomiczne oraz społeczne). Decyzje te były w sposób obskurantki pozbawione wszelkich podstaw na-

detale, z których tylko zorientowane oko wyłowi całość, z której te resztki pochodzą.

KOCHA – NIE KOCHA

Wgląd w takie odtajniane powoli i fragmentarycznie raporty nie tylko pokazuje, że decydenci decydowali kompletnie w ciemno. To znana śpiewka – wszystko działo się szybko, nie wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia, i niech pierwszy rzuci kamień, kto jest tu bez grzechu. Nie, jest gorzej – z raportów wynika, że gremia decyzyjne wiedziały, co się dzieje. Tak, miały te dane przed sobą, nawet wynajmowały do analiz instytucje, które same później alarmowały, że jest inaczej, głównie, że działania podjęte przez władze pogarszają

■ sytuację i dopiero one wywołują fale zgonów pandemii paniki. To decyzje administracyjne bowiem, a nie wirus rozregulowały system ochrony zdrowia, wstrzymując procedury leczenia innych chorób niż nasz koronawirus, powodując dług zdrowotny, który teraz wraca do nas gwałtownym ogólnym pogorszeniem stanu zdrowia. Proces ten wzmacniany jest niezbadanymi systemowo skutkami szczepionki wprowadzonej bez odpowiednich badań, bo nie było czasu czekać na nie w obliczu „śmiertelnego” wirusa.

Mieliśmy i za COVID, i po jego cudownym zniknięciu w wyniku wojny na Ukrainie (sic!) do czynienia z wieloma aferami. Były to tzw. files, czyli zbiory różnych danych, do których – po wielu bojach prawniczych – udawało się dotrzeć, a które obnażały już nie tylko brak podstaw podejmowanych decyzji, lecz także kompletną świadomość, że gremia decyzyjne wiedziały, co robią, i brnęły dalej, bo pierwotne decyzje wypychały je w spiralę, z której wycofanie się byłoby przyznaniem się do wcześniejszego błędu. Jedną z takich afer jest ostatnio sprawa „RKI-files”, czyli niemiecka walka o dostęp do danych Instytutu Roberta Kocha.

Najpierw o samym Instytucie. Porównując jego rolę, szczególnie w pandemii, do polskich realiów, mieliśmy tu wszechpotężne combo. To jednocześnie i sanepid, i trochę Ministerstwo Zdrowia, a już na pewno coś w rodzaju polskiej Rady Medycznej przy premierze. W COVID to tam kumulowały się i badania, i analizy, i rekomendacje dla rządzących w Niemczech. Instytut Kocha to superinstytucja zdrowotna w Niemczech, obdarzona (jeszcze) wielkim autorytetem, który – jak zobaczymy zaraz – został poważnie wystawiony na próbę w czasach pandemicznych.

Sama afera „RKI-files” to był niemiecki bój o dostęp do protokołów z covidowych posiedzeń rady Instytutu, bo te – w odróżnieniu od zapobiegliwych Polaków w polskiej Radzie przy premierze – były protokołowane. Chodziło więc o to, aby odtajnić te protokoły, by sprawdzić, wedle jakich kryteriów naukowych i statystycznych wprowadzono poszczególne obostrzenia oraz zatwierdzano dopuszczenie szczepionek do obrotu. System bronił się wytrwale. Ale „Multipolar Ma-



gazine”, zwłaszcza zaś dziennikarz Paul Schreyer, najpierw wszczęli procedurę wnioskowania o dostęp do informacji w formule FOI (Freedom of Information) i po systemowych utrudnieniach w wykonaniu władz wytoczyli proces sądowy o dostęp, który wygrali. I otworzyły się odzwia tajemnicy, a analiza tych treści dowodzi, dlaczego państwo broniło się tak bardzo przed ujawnieniem niewygodnej prawdy.

Tu już nie chodzi o zaniechania czy improwizację decydentów. Jak pisze analizujący ponad 2 tys. stron ujawnionych dokumentów „Global Research”, „według danych niemieckiego rządu w ogóle nie było pandemii, a jedynie ściśle zaplanowana operacja psychologiczna na poziomie wojskowym, mająca na celu pranie mózgu masom, aby zaakceptowały eksperymentalną szczepionkę z katastrofalnymi skutkami”. Na naradach Instytutu skutki wprowadzenia lockdownów oceniono jako gorsze niż te powodowane przez wirusa i dokonano tego

w trakcie trwania samobójczej strategii lockdownowej, bez prób wycofania się z niej. Wskazano także – na przykładzie covidowego zaniechania walki z gruźlicą – na szkodliwe reperkusje porzucenia w trakcie pandemii standardowych procedur ochrony zdrowia publicznego, spowodowanego dziwnie priorytetowym traktowaniem sezonowej w sumie odmiany grypy. Całość wygląda mocno nieciekawie – decydenci wiedzieli jedno, robili co innego, a jeszcze co innego mówiono publiczności. I ten modus powtarza się we wszystkich aferach typu „files”.

NORYMBERGA 2.0

No tak. Mamy aferę tysiąclecia. Świat dał się nabrać (komu?), wygłupiliśmy się na pokolenia naprzód, nadrukowało się pustych pieniędzy, miliony ludzi nie przeżyły administracyjnego rozstroju służby zdrowia, a cywilizacja gremialnie zaciągnęła dług zdrowotny, którego rozmiary oraz przyczyny obecnie wypiera milczeniem. Z powodu tej wyjątkowej



FOT. ANDRZEJ STYCK

z takiej komisji nie będzie, bo takie śledztwo pokazałoby nieoczekiwane covidowe „porozumienie ponad podziałami”. I nie ma co się dziwić, że taka komisja nie powstanie, bo ujawniłaby tylko wspólnotę postaw wrogów na pokaz.

Media to już nawet bardziej są zainteresowane ciszą nad tą trumną – te rozkręcały pandemię paniki jak szalone, czy to szukając sensacji, czy spełniając zachcianki swych sponsorów – od Big Pharny do Wielkiego Resetu. Nauka? Też by się przecież znalazła na ławie oskarżonych. Zaczadziali covidową narracją eksperci nie dość, że doprowadzili – np. u nas – do 200 tys. ponadnormalnych zgonów, to jeszcze ustawianymi procesami w izbach lekarskich mszczą się dziś „zza grobu” na lekarzach wyklętych, którzy w COVID mieli odwagę mówić prawdę. A więc potencjalny oskarżony staje się tu sędzią.

Nie będzie więc osądu tej największej ściemy w historii świata. Za dużo jest zainteresowanych tym, by to wszystko zamieść pod dywan niepamięci. Są też zbyt wpływowi, by uruchomić proces, którego mogą się stać zaraz ofiarą. Ofiarą staje się więc prawda. Ot, tylko od czasu do czasu spuści się trochę powietrza, kiedy balonik rewelacji nadmie się zbyt, grożąc, że prawda wystrzeli w sposób niekontrolowany. Tu się puści jakąś przyczynkarską rewelacyjkę, że ktoś tam odkrył coś w procedurze przyjętej w szpitalu covidowym w Koziej Wólce albo nawet, że i AstraZeneca, tak pięknie przecież rekomendowana przez autorytety, wycofuje sama swe szczepionki, bo te bardziej szkodzą, niż pomagają.

MYŚMY WSZYSTKO ZAPOMNIELI

Rozliczeń też nie będzie z podstawowego powodu. Nie ma widowni tego procesu. Praktycznie wszyscy byli współnikami, z wyjątkiem polityków, m.in. z Konfederacji, i niektórych publicystów, m.in. z tygodnika „Do Rzeczy”. Od ultrasów, którzy pilnowali innych, do tych, którzy doprowadzili do własnych zaniechań, szczególnie wobec bliskich porwanych do szpitali przez kosmitów, by przejść szybką procedurę kończącą się zabójczą respiracją. Naród więc też ma kaca i nie chce teraz zobaczyć, co tak naprawdę wypił w czasie covidowej smuty. Aby się samemu nie dowiedzieć,

na co się dał nabrać, a na co się sam zgodził.

Cały COVID to była też przemożna operacja psychologiczna, dokonana na całym społeczeństwie, w niespotykanej do tej pory światowej skali. Panika, przymus obostrzeń, samoobsługowa kontrola wzajemna społeczeństwa, nachalna propaganda pandemiczna stawiały pojedynczą, bo odartą w ten sposób ze społecznego kontekstu, osobę przed dylematem: walczyć z tym po niepolityczalnych kosztach (społeczny ostracyzm, kłopoty z pracą-biznesem i wymiarem sprawiedliwości) czy się poddać, spełniając rosnące i czasem nawet samowykluczające się kryteria „nowej normalności”? Ci, którzy wybrali to drugie, czyli co najmniej połowa społeczeństwa (sądząc

Platforma nie chce powołania komisji sejmowej rozliczającej PiS za COVID, bo sama jest współwinna

po sukcesie akcji szczepiennej), musieli z czasem przyjąć, wcześniej uznane za wmuszone, kryteria obostrzeń za swoje. Inaczej żyliby w ciągłym konflikcie poznawczym, że myślą i widzą co innego, a działają i mówią inaczej. To był proces internalizacji COVID, czyli przyjęcia narzuconych obostrzeń za uzasadnione ze „swego” punktu widzenia.

I w związku z tym, że te zachowania i ich motywacje stały się częścią indywidualnych i zbiorowych postaw, niełatwo jest wrócić do tych spraw. Zwłaszcza z informacjami, że to wszystko był humbug. Dlatego naród się broni, nie chcąc wracać do tematu. Gdzieś tam prawda wychodzi na jaw, ale w związku z tym nie wolno patrzeć w tamtą stronę. Większość więc nie chce do tego wracać, bo prawda jest zbyt okrutna i dotyczy większości z nas, naszych postaw w godzinie próby. Władzy to zaniechanie nie tylko pozwala wymigać się od odpowiedzialności, lecz także stanowi to dla niej sporą naukę na temat tego, co można bezkarnie zrobić ze społeczeństwem. I ten covidowy kapitał jest teraz inwestowany w inne tematy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

skali i populacyjnych efektów oraz zapierania się decydentów pojawiły się, praktycznie od początku tego proceduru, pomysły na Norymbergę 2.0, czyli międzynarodowego osądzenia winnych. W sumie skala jest spora, decydenci do namierzenia, ale kwestia jest wysoce teoretyczna, i to z kilku powodów.

Po pierwsze – nie ma takiego trybunału. Powojenna Norymberga była ciałem ekstraordynaryjnym, powołanym ad hoc przez zwycięskie państwa. Teraz trudno byłoby powołać takie gremium, bo... nie ma zwycięzców. No bo kto kogo miałby sądzić? Po drugie – tu sami wszyscy winni, a to w ich rękach byłaby decyzja o osądzeniu sprawy. Politycy są umoczeni, co – mam nadzieję – dało się dowieść powyżej. Za przykład może służyć niechęć zwycięskiej Platformy do powołania komisji sejmowej rozliczającej PiS za COVID, 200 tys. zgonów i ponad 200 mld wyrzuconych w błotniste tarcze. To jest temat chyba lepszy niż drobne 70 mln wydane na wyborcze koperty. Ale tu nic

Władza dla ludzi



Jan Olszewski zdecydował o dewaluacji złotówki czy cofnięciu koncesji na import firmom, które nie płaciły podatków. Przygotował też dobry budżet na 1992 r. FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP



Jan Parys

Jan Olszewski uważał, że nie po to Solidarność wywalczyła zmiany, by zwykli ludzie biednieli, a bogacili się byli komuniści

Po prawie sześciu miesiącach władzy rządu Donalda Tuska jest jasne, że głównym celem obecnego gabinetu jest walka z politykami opozycji, czyli z PiS. Sprawy bezpieczeństwa kraju i gospodarka znalazły się na dalszym planie i stały się narzędziem walki z opozycją. Właściwie wszystkie wielkie programy rozwojowe, takie jak transformacja energetyki, Centralny Port Komunikacyjny, rozbudowa portów morskich, są widziane w negatywnym

świecie tylko dlatego, że zostały zapoczątkowane przez poprzedników. Nagle to, co nowoczesne, stało się przeklęte.

W historii naszego kraju nie było władzy, która by z taką energią budowała swój wizerunek ekipy antyrozwojowej. Bo odrzucając wielkie programy inwestycyjne z czasów PiS, rząd Tuska nie proponuje niczego w zamian. Ubóstwo intelektualne obecnej ekipy jest uderzające. Powstaje pytanie: Jak rząd chce rządzić, czym chce rządzić, skoro nie zamierza inwestować w przyszłość naszego kraju? W tym kontekście pragnę przypomnieć, jak wyglądała polityka pierwszego po drugiej wojnie światowej demokratycznie wybranego rządu.

WSPÓŁPRACA Z EWG

Rząd Jana Olszewskiego kojarzy się wielu osobom głównie z lustracją, ze sporem rządu z Lechem Wałęsą o instalacje rosyjskich spółek w Polsce lub z urucho-

mieniem współpracy z sojuszem północnoatlantyckim. Wiele osób nie pamięta, że pierwszą decyzją, którą podjął Olszewski jako premier, była zgoda na podpisanie umowy o stowarzyszeniu Polski z Europejską Wspólnotą Gospodarczą. Często zapomina się więc o tym, co ten rząd zrobił w kwestiach gospodarczych.

Pragnę przypomnieć, kto w rządzie Jana Olszewskiego zajmował się gospodarką. Byli to:

ADAM GLAPIŃSKI, minister współpracy gospodarczej z zagranicą i szef związku NSZZ „Solidarność” na SGPiS w stanie wojennym,

JERZY EYSYMONT, minister kierownik Centralnego Urzędu Planowania, doradca NSZZ „Solidarność”, a potem TTK i autor pracy o kryzysach gospodarczych wydanej w 1983 r.,

TOMASZ GRUSZECKI, minister przekształceń własnościowych, doradca Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” i autor

wielu publikacji w prasie podziemnej na tematy gospodarcze,

JERZY KROPIWICKI, minister pracy i polityki socjalnej oraz autor wydanej w 1976 r. książki na temat stabilizatorów koniunktury,

KAROL LUTKOWSKI I ANDRZEJ OLECHOWSKI, ministrowie finansów,

GABRIEL JANOWSKI, minister rolnictwa, jeden z liderów NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”.

Panuje u nas przekonanie, że Leszek Balcerowicz to wspinały ekonomista, który odniósł wielki sukces, kierując transformacją gospodarki od socjalizmu do wolnego rynku. Jako wicepremier przekonywał on opinię publiczną, że jego doktryna zmian szokowych jest jedyną możliwą i wobec tego wszyscy muszą się podporządkować rozwiązaniom, które proponuje. Nie była to prawda, bo np. w Czechosłowacji także przeprowadzono transformację systemu gospodarczego, lecz bez tak dużych kosztów społecznych i bez złodziejskiej prywatyzacji.

Ten, kto zapoznał się z sytuacją gospodarczą kraju, kiedy Jan Olszewski został premierem, zrozumie, że opinia o sukcesie Leszka Balcerowicza to stereotyp, który nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością. Dwa pierwsze rządy Solidarności – rządy Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego – zaczęły reformę systemu ekonomicznego, ale pozostawiły gospodarkę w stanie chaosu. Wicepremier i minister finansów Leszek Balcerowicz tak rządził gospodarką i finansami, że pod koniec 1991 r. trwał druk pustego pieniądza na taką skalę, iż Międzynarodowy Fundusz Walutowy zawiesił współpracę z rządem RP. Jednocześnie wskutek załamania produkcji (w 1991 r. spadek o 7 proc.) nastąpiło załamanie dochodów państwa. Mieliliśmy wysoką inflację (CPI w roku 1991 sięgał 60 proc.), było coraz więcej strajków, rosło bezrobocie (w roku 1991 były ponad 2 mln bezrobotnych), bo setki przedsiębiorstw bankrutowały. Firmy upadały, ponieważ nie posiadały środków obrotowych, nie było ich stać na obsługę drogiego kredytu (stopy procentowe w 1991 r. dochodziły do 60 proc., a kredyt był jeszcze droższy).

Gdy nastąpiło zniesienie ceł i otwarcie rynku na towary z zagranicy, upadło wiele krajowych firm, np. przemysł

włókienniczy. Kurs dolara uniemożliwiał wielu firmom zakup potrzebnych komponentów z importu. Stały wysoki kurs złotówki był korzystny dla spekulantów. Ułatwiał zarabianie na kontach złotych, a następnie umożliwiał wyprawianie dewiz z kraju. Minister pracy i spraw socjalnych Jacek Kuroń ogłaszał, że cieszy się ze zjawiska bezrobocia i traktuje je jako dowód, że prawa rynku zaczynają działać.

Jednocześnie opinia publiczna była zbulwersowana wieloma aferami: rublową, markową, paliwową, akcyzową, aferą Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Ludzie dowiadawali się o wielkich fortunach budowanych przez dawną komunistyczną nomenklaturę, która rozkradała majątek narodowy podczas nieuczciwej prywatyzacji. Zamiast społecznej gospodarki rynkowej obok społeczeństwa biedy powstawał kapitalizm nomenklaturowy. Obywatele tracili swe oszczędności, miliony ludzi zbiedniały wskutek inflacji.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że w efekcie reform Leszka Balcerowicza rosła liczba strajków, a obywatele powoli stawali się wrogami reform i przeciwnikami władzy Solidarności. Jednocześnie polityka ta doprowadziła do chaosu w finansach publicznych, który zagrażał funkcjonowaniu państwa. W końcu 1991 r. nikt nie wiedział, jaki jest deficyt, jakie jest zadłużenie, ile mamy rezerw dewizowych. Chaos w sferze gospodarczej groził wybuchem niezadowolenia społecznego i destabilizacją polityczną.

Gdy Jan Olszewski został premierem w grudniu 1991 r., okazało się, że w Ministerstwie Finansów nie ma budżetu na następny rok. Podsumowując ówczesną sytuację, można stwierdzić, że Leszek Balcerowicz pozostawił finanse państwa w stanie głębokiego kryzysu. Oprócz tego cały czas spadała produkcja przemysłowa.

NIE DLA BIEDY

Sytuacja, w której ludzie pracy ponoszą koszty transformacji ekonomicznej, była dla Olszewskiego nie do przyjęcia. Uważał, że nasze społeczeństwo już jest bardzo biedne po wieloletnim załamaniu gospodarki, które trwało od czasu stanu wojennego. Uważał, że nie po to Solidarność walczyła o zmiany polityczne i obalała władzę komunistyczną, by dalej

obywatele żyli w biedzie, a ekskomuniści się bogacili. Jan Olszewski jako osoba związana z NSZZ „Solidarność” (przypomnę, że był współautorem statutu Solidarności i reprezentował związek w wielu trudnych sprawach w sądach) czuł się odpowiedzialny za to, by poprawić sytuację ludzi pracy. Uważał, że rząd musi utrzymać poparcie robotników, bo to jest główna siła zmian ustrojowych w Polsce. Bez poparcia społecznego nie da się bowiem dalej budować suwerennego państwa.

Postanowił, że zmieni politykę gospodarczą – odejdzie od dotychczasowej polityki, która była podporządkowana wskaźnikom finansowym narzuconym przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Decyzja o pożegnaniu Leszka Balcerowicza nie wynikała z osobistej niechęci do niego, lecz z tego, że rząd Jana Olszewskiego miał inne priorytety. Dla Olszewskiego celem była nie transformacja systemu, lecz poprawa sytuacji ludzi pracy i odbudowa przychodów finansowych państwa. Uważał, że rząd ma przede wszystkim dbać o ludzi, że gospodarka nie jest celem, lecz stanowi narzędzie, które ma służyć temu, by poprawiać materialny byt społeczeństwa.

Pod wpływem ministrów Adama Glapińskiego i Jerzego Eysymontta rząd wprowadził wiele decyzji, np. o dewaluacji złotówki (skokowo o ponad 17 proc. w lutym 1992 r.), wprowadził akcyzę na alkohol, cofnął koncesję na import firmom, które nie płaciły podatków, przygotował dobry, realny budżet. Zaczynała rosnąć produkcja przemysłowa, rosły przychody budżetu, poprawiał się bilans handlowy i płatniczy.

Premier postulował powołanie prokuratury generalnej, by zatrzymać rozkradanie majątku narodowego oraz oddzielenie budżetu od Skarbu Państwa. Kilka dni po odwołaniu rządu parlament przyjął bez żadnych poprawek budżet przygotowany przez ekipę Jana Olszewskiego. A nowy rząd ten budżet starannie zrealizował, gdyż był on po prostu profesjonalnie opracowany. Rok 1992 to okres, kiedy w Polsce rozpoczął się wzrost gospodarczy (prawie 3 proc.) i zapanował porządek w finansach publicznych. I to jest także sukces rządu Jana Olszewskiego, to sukces często zapomniany.



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki w krajach niemieckojęzycznych ma zasłużenie fatalną sławę. Jednak obok katedr okrywanych tęczowymi flagami funkcjonują tam też kościoły, gdzie sprawuje się tradycyjną rzymską liturgię i głosi homilie oparte na zdrowej katolickiej teologii

W szwajcarskim Eclône 17 kwietnia odbył się pogrzeb Vitusa Huondera, biskupa Chur w latach 2007–2019. Chociaż zgodnie ze zwyczajem w uroczystościach powinni wziąć udział wszyscy biskupi alpejskiej republiki, to na miejscu pojawił się tylko jego następca, Joseph Bonnemain. Uczynił to zresztą z zastrzeżeniem, że choć jest obecny, to... bezpośrednio „nie bierze udziału” w pogrzebie.

Sytuacja niezręczna, ale mająca oczywiste powody: skrajnie progresywni biskupi Szwajcarii nie chcą mieć nic wspólnego z tradycyjnym Bractwem Kapłańskim św. Piusa X (FSSPX). Chodzi zarówno o kwestie doktrynalne, jak i o status kanoniczny: ze względu na długoletni spór ze Stolicą Apostolską Bractwu odmawia się pełnego formalnego uznania i stąd FSSPX funkcjonuje w Kościele, ale poza regularną strukturą jurysdykcyjną. W Eclône znajduje się tymczasem założone przez abp. Marcela Lefebvre’a Międzynarodowe Seminarium św. Piusa X; tam został pochowany sam abp Lefebvre. Biskup Huonder chciał spocząć blisko jego grobu, bo w ostatnich latach życia związał się z Bractwem. Doszedł do wniosku, że w obliczu obecnego kryzysu Kościoła katolickiego to właśnie stanowisko Bractwa gwarantuje zachowanie autentycznej wiary. FSSPX to tradycyjna łacińska liturgia, klasyczna rzymska teologia, filozofia św. Tomasza czy niezgoda na nowoczesne formy ekumenizmu i dialogizmu.

Vitus Huonder był od lat ostro krytykowany i zwalczany przez dominujące w przestrzeni niemieckojęzycznej środo-



Biskup Chur Vitus Huonder był od lat ostro krytykowany przez dominujące w przestrzeni niemieckojęzycznej środowiska progresywne. FOT. POOL NEWS/REUTERS/FORUM

Katolicki tradycjonalizm po niemiecku

wiska progresywne. Jego śmierć oznacza dla Kościoła w tej przestrzeni dużą stratę. Nowy biskup Chur Joseph Bonnemain rozpoczął w 2021 r. urzędowanie od udzielenia Komunii Świętej protestantom i deklaracji, że nie będzie zabraniać błogosławienia par homoseksualnych. Większość biskupów w Szwajcarii, Austrii i Niemczech odetchnęła z ulgą: do Chur „wróciła normalność”, system został „domknięty”.

Tradycyjni i konserwatywni katolicy mieszkający w tych trzech krajach nie są jednak pozostawieni sami sobie. Tworzą relatywnie nieliczne, ale bardzo prężne środowisko. Choć kraje niemieckojęzyczne pod wieloma względami są dzisiaj nową Holandią – awangardą katolicyzmu liberalnego i gotowego do największych kompromisów – to istnieje w nich również Kościół wierny Tradycji. W pierwszej mierze odpowiadają za to dynamiczne działania Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X. Szwajcarskie Eclône jest faktyczną kolebką

Bractwa, jego obecność promieniuje na cały kraj. FSSPX jest bardzo silnie obecne także w Austrii i w Niemczech. W obu tych państwach kapłani Bractwa celebryją tradycyjną Mszę Świętą w dziesiątkach kaplic i kościołów. Pół godziny drogi na południe od Ratzbony, w Zaitzkofen, FSSPX posiada kolejne seminarium, w którym do kapłaństwa przygotowują się również kandydaci z Polski. Wszystko to sprawia, że niemieckojęzyczni biskupi liberalni muszą bardzo uważać: łatwo mogą „stracić” nie tylko tych wiernych, którzy porzucili wiarę i dokonują apostazji, lecz także tych, którzy mają dość ich rewolucyjnego kursu i poszukują autentycznej wierności wobec Ewangelii.

W krajach niemieckojęzycznych bardzo aktywnie działa też inne tradycyjne stowarzyszenie, Bractwo Kapłańskie św. Piotra (FSSP). Inaczej niż FSSPX Bractwo Piotra jest w poprawnych relacjach z Watykanem. Jego kwatera główna znajduje się w szwajcarskim Fryburgu, a wielu kapłanów posługuje także

w Austrii i Niemczech. Niemieckojęzyczni biskupi na ogół tolerują albo wspierają Bractwo, nawet jeżeli sami nie do końca podzielają jego zapatrywania ekologiczne i liturgiczne. Gdyby tego nie robili, natychmiast wzmocniłoby FSSPX; tak dzieje się wszędzie na świecie, także w Polsce. Na przykład w Toruniu ograniczono niedawno możliwość sprawowania Mszy trydenckiej. Wielu wiernych przeniosło się w efekcie do kościoła wspólnoty abp. Lefebvre'a w Bajerzu; wkrótce FSSPX otworzyło też kaplicę w samym Toruniu. Dlatego w krajach niemieckojęzycznych z liturgią tradycyjną często nie walczy się tak ostro, jak bywa to w Polsce. Przykładowo ordynariusz Augsburga bp Bertram Meier chętnie udziela święceń kapłańskich kandydatom z Bractwa św. Piotra, oczywiście w starym rycie; zarazem w swojej diecezji pozwala też na wewnątrzkościelną propagandę LGBT. Księża z FSSPX nie są tym zachwyceni, ale nie mają wyjścia. Dzięki ich posłudze również ci katolicy, którzy z różnych przyczyn nie chcą wiązać się z ruchem abp. Marcela Lefebvre'a, mogą kultywować tradycyjną pobożność. Podobne dzieło prowadzą też inne, mniejsze ośrodki tradycyjne, jak choćby Instytut Chrystusa Króla Najwyższego Pasterza. W krajach niemieckojęzycznych w wielu miejscach można też uczestniczyć w bardzo porządnie sprawowanej nowej Mszy Świętej. Nazbyt dobrze znamy obrazki z niemieckich katedr okrytych tęczowymi flagami, jednak w zwykłych parafiach sytuacja jest często zupełnie inna. Dotyczy to nie tylko wsi i małych miast, lecz także nawet takich metropolii jak Berlin czy Wiedeń. Również tam posługują dobrzy kapłani, a celebrowana przez nich liturgia bywa bardzo porządna, przekraczająca poprawnością nawet to, co znamy z codzienności polskich parafii.

Trudniej jest z biskupami. W Szwajcarii i Austrii nie ma dziś już żadnego aktywnie posługującego hierarchy, który stawałby jasno w obronie katolickiej Tradycji, nawet jeżeli niektórzy patrzą na rewolucję z pewnym sceptycyzmem. Głos zabiera w zasadzie tylko były biskup pomocniczy diecezji Chur, Marian Eleganti. Do niedawna aktywny w debacie publicznej był też były biskup pomocniczy austriackiego Salzburga, Andreas Laun, ale z racji wieku (ma 81 lat) mocno ograniczył swoje

wystąpienia. W Niemczech jest pod tym względem nieco lepiej. Można wymienić w sumie kilkunastu biskupów, którzy sprzeciwiają się „drodze synodalnej”, z czego 10 robi to bardzo zdecydowanie. Wyróżniają się zwłaszcza dwaj: metropolita Kolonii kard. Rainer Maria Woelki oraz biskup Ratyzbony, Rudolf Voderholzer. Woelki mierzył się w ostatnich latach z ogromnymi problemami: masowe media oczerniały go, oskarżając go fałszywie o tuszowanie nadużyć seksualnych. Hierarsze udało się przetrwać, ale nadwyrężyło to jego pozycję. Nawet w jego własnej archidiecezji ma bardzo wielu przeciwników, co powoduje często duży rozjazd między jego stanowiskiem doktrynalnym a tym, co dzieje się na szczeblu parafialnym. Większą kontrolę nad własną diecezją ma biskup Ratyzbony. Rudolf Voderholzer jest przy tym autorem wielu obszernych analiz doktrynalnych wymierzonych w błędy „drogi synodalnej”. W diecezji działa Instytut Papieża Benedykta XVI, budujący środowisko intelektualne niechętnie wobec rewolucji. Jak na niemieckie warunki dobrze prosperuje też ratyzbońskie seminarium; jego rektor ma pełną świadomość przyczyn i natury kryzysu w Kościele. Woelki i Voderholzer potrafili dotąd zachęcać Watykan do interwencji w Niemczech, co skutecznie powstrzymało niektóre rewolucyjne zmiany przygotowywane przez liberalną większość Episkopatu.

Nie można też zapomnieć o niemieckojęzycznych hierarchach, którzy działają poza swoimi krajami. To przede wszystkim byli prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Gerhard Müller, jeden z najmocniejszych antyrewolucyjnych głosów współczesnego Kościoła; wyróżnia się także prefekt Papieskiej Rady Jedność, szwajcarski kardynał Kurt Koch, który bardzo krytycznie ocenia patologie liberalnego ekumenizmu. Wreszcie niemieckiego pochodzenia jest biskup pomocniczy Astany w Kazachstanie, Athanasius Schneider.

Z przestrzeni niemieckojęzycznej wychodzi też często rzetelna teologia. Na poziomie światowym dobrze znane są takie nazwiska jak ks. prof. Manfred Hauke czy prof. Marianne Schlosser; poczytne i kształtujące debatę także poza kręgiem języka niemieckiego pozostają konserwatywne czasopisma „Theologisches”,

„Communio” czy wreszcie dziennik „Die Tagespost”. Aktywnie działają organizacja „Nowy Krąg Uczniów Józefa Ratzingera/Papieża Benedykta XVI” z siedzibą w Monachium oraz kilka grup świeckich: Forum Niemieckich Katolików czy coraz bardziej dostrzegalna w debacie publicznej organizacja Maria 1.0.

Na sytuację konserwatywnego katolicyzmu w krajach niemieckojęzycznych duży wpływ ma polityka. W ostatnich latach we wszystkich trzech państwach można obserwować stopniowy zwrot części opinii publicznej w prawo. W Szwajcarii od z górą dwóch dekad dominującą rolę odgrywa SVP, która pomimo umiarkowanego chadeckiego trzonu obejmuje też środowiska konserwatywne. W Austrii największym poparciem cieszy się FPÖ; ugrupowanie kierowane przez Herberta Kickla buduje swoją pozycję przede wszystkim na sprzeciwie wobec masowej migracji i krytyce unijnego centralizmu, ale ma też poważne zaplecze tradycjonalistyczne. Wreszcie w Niemczech najpopularniejszym ugrupowaniem jest CDU/CSU, partia zżerana przez liberalizm, choć wciąż zachowująca dość dynamiczne środowisko konserwatywne. Drugą najważniejszą partią w RFN jest Alternatywa dla Niemiec, wyrażająca antyliberalna i coraz popularniejsza wśród niemieckiej młodzieży. To wszystko sprawia, że choć relacje kościelnych środowisk konserwatywnych z polityką nie zawsze są proste, to istnieje duża płaszczyzna porozumienia i współpracy.

W sumie niemieckojęzyczny katolicyzm tradycyjny trzyma się relatywnie dobrze, zarówno od strony liturgii, zaplecza intelektualnego, jak i możliwości politycznego oddziaływania. Pozostaje w zdecydowanej opozycji względem progresywnego mainstreamu, ale jego siła i żywotność gwarantują, że zdrowa nauka katolicka zostanie w Szwajcarii, Austrii i Niemczech zachowana. Polskie środowiska prawicowe, jeżeli tylko mają rzeczywiste ambicje budowania międzynarodowych sieci kontaktów, powinny wziąć to pod uwagę, wykorzystując wszystkie dostępne kanały kontaktu: Bractwa św. Piusa X i św. Piotra, konserwatywne periodyki, instytucje i aktywne grupy świeckich. Ze względów kulturowych nie będzie to łatwe, ale w długiej perspektywie może przynieść obu stronom duże korzyści.

Kulisy wyborów czerwcowych



Grzegorz Majchrzak

Wybory z czerwca 1989 r. z pewnością były ważnym wydarzeniem w historii Polski. Warto zatem przypomnieć ich kulisy oraz narosłe wokół nich mity. Przynajmniej niektóre. A także wspomnieć o ich konsekwencjach dla naszego kraju

Coraz częściej w przestrzeni publicznej pojawiają się dwie nieprawdziwe tezy. Pierwsza z nich, że wybory w 1989 r. były pierwszymi wolnymi i demokratycznymi, jest przynajmniej częściowo – w przypadku Senatu – prawdziwa. Druga teza – że decydując się na wybory PRL-owskie, władze skłonne były podzielić się, w wyniku werdyktu wyborczego, władzą – jest już jednak kompletnie nieprawdziwa. Owszem, chciały się podzielić, ale tylko odpowiedziałą. Tym bardziej że wybory planowały wygrać. Miała temu m.in. służyć bardzo krótka kampania wyborcza.

Była ona zresztą niezwykle. Niezwykła w tym sensie, że osoby zaangażowane po stronie Komitetów Obywatelskich „Solidarność” (w ocenie badaczki ruchu komitetowego Inki Słodkowskiej było ich grubo ponad 100 tys.) – czyli tej części opozycji skupionej wokół Lecha Wałęsy i startującej w „jego drużynie” – nie tylko nie pobierały za swoją ciężką pracę wynagrodzenia, lecz także do niej dopłacały, wykupując „cegielki” wyborcze KO. Ich praca była ważna, ale zdaniem np. Jerzego Urbana – w tym czasie już prezesa Komitetu do spraw Radia i Telewizji – nie decydująca. Pisał on po wyborach do



Obrady członków Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, Warszawa, 23 kwietnia 1989 r.

FOT. JAN BOGACZ/PAP

nam ludzie b[ardziej] uprzywilejowani materialnie i przy tym b[ardziej] zależni od pracodawców”.

Nie sposób nie przyznać mu racji – wybory czerwcowe były swoistym plebiscytem, w którym Polacy zdecydowanie opowiedzieli się przeciwko dalszym rządóm Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jej liderzy zresztą do końca – wbrew pogarszającym się dla nich sondażom – wierzyli, że wyniki nie będą tak bardzo niekorzystne. A na początku kampanii wręcz tryskali nieuzasadnionym optymizmem. Doskonałą tego ilustracją jest pewien zakład, zawarty (13 marca 1989 r.) przez Urbana (wówczas jeszcze rzecznika prasowego rządu), premiera Mieczysława Rakowskiego, ministra i przewodniczącego Komitetu do spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej Aleksandra Kwaśniewskiego oraz podsekretarza stanu w URM Aleksandra Borowicza. Obstawiali oni wyniki „opozycji” i „nieopozycji” w wyborach do Sejmu i Senatu – zwycięzca zgarniał po 5 tys. zł (niespełna jedną dziesiątą przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia w 1988 r.) za trafne wytypowanie wyników w odniesieniu do każdej z izb parlamentu. W przypadku 160 miejsc, o które w Sejmie mogła walczyć „strona solidarnościowa”, najwięcej (120) dawał jej Borowicz, a najmniej Kwaśniewski (jedynie 78). Również w przypadku Senatu najtrafniej obstawiał podsekretarz stanu w URM (68 z 98 – ostatecznie wybierano 100 senatorów), a najmniej trafnie Rakowski (38). Zresztą Urban i Kwaśniewski dawali opozycji niewiele więcej, gdyż 42 i 49.

ZDJĘCIE Z WAŁĘSĄ

Jak się okazało, reprezentanci OKP zdobyli wszystkie możliwe do zdobycia miejsca w Sejmie oraz 99 na 100 w Senacie. I tu się pojawia jeden z kolejnych mitów – mianowicie rzekomo ten pechowiec, który przegrał (zresztą z „kandydatem niezależnym”), miał nie mieć słynnego zdjęcia z Wałęsą. To nieprawda. Rzeczywiście jedyny kandydat na posła (Andrzej Wybrański), w którego przypadku konieczna okazała się druga tura, takiego plakatu nie miał (dostał on najmniej głosów spośród kandydatów Komitetu Obywatelskiego do Sejmu – 41,33 proc. głosów). Problem w tym, że w gronie ośmiu kandydatów na senatorów, którzy

w pierwszej turze nie osiągnęli wyniku gwarantującego wybór, nie było ani jednej osoby bez plakatu z przewodniczącym Solidarności. Owo zdjęcie, owszem, miało swoje znaczenie, identyfikując szczególnie mniej znanych kandydatów z „drużyną Lecha”, ale jego przełożenie na liczbę zdobytych głosów już nie było takie proste.

Warto w tym miejscu zestawić również wyniki braci Lecha i Jarosława Kaczyńskich w wyborach do Senatu. Ten pierwszy, startując bez plakatu (choć zdjęcie mu wykonano, notabene kandydatów KO fotografowano z Wałęsą dwukrotnie), w „kolebce Solidarności”, czyli województwie gdańskim, otrzymał 67,76 proc. głosów, podczas gdy jego brat bliźniak, dysponujący co prawda takowym plakatem (notabene mniejszym niż zdecydowana większość kandydatów „strony solidarnościowej”), ale startujący w zdecydowanie trudniejszym województwie elbląskim, zdobył „jedynie” 57,98 proc. głosów.

Największym chyba jednak, a w każdym razie najbardziej widocznym mitem wyborów z czerwca 1989 r. jest słynny plakat z Garrym Cooperem, jako kowbojem ze słynnego westernu Freda Zimmermana „W samo południe”. Stał się on po latach symbolem tych niezwykłych wyborów, tymczasem w trakcie kampanii wyborczej praktycznie go nie było. Owszem, pojawił się, ale w ostatniej chwili, i to tylko w Warszawie. Dlaczego?

PLAKAT Z KOWBOJEM

Na pomysł plakatu z kowbojem odważnie kroczącym z kartą wyborczą z napisem „Solidarność”, pod którym widniał napis: „W samo południe 4 czerwca 1989”, wpadł student warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych Tomasz Sarnecki. Problem w tym, że wśród liderów KO „Solidarność” nie wywołał on – delikatnie rzecz ujmując – entuzjizmu. Obawiali się oni, że jest on nazbyt konfrontacyjny – przypomnijmy w tym miejscu, że według ustaleń Okrągłego Stołu wybory miały być niekonfrontacyjne. Pomysłowego studenta w ostatniej chwili wsparł Henryk Wujec, dzięki którego kontaktom zresztą udało się plakat wydrukować (tak na marginesie: za granicą dzięki związkowcom z Francji, którzy go zresztą zasponsorowali, a część prawdopodobnie również we włoskich

swojego szefa Wojciecha Jaruzelskiego: „Znaczne rozmiary głosów oddawanych na »Solidarność« w obwodach urządzonych dla polskich załóg pracujących w ZSRR i k[rajach] s[ocjalistycznych] prowadzą do następujących, istotnych hipotez. 1) Sukces »Solidarności« w mniejszym, niż się mówi, stopniu był wynikiem propagandy »Solidarności«, gdyż na tych budowach tej propagandy nie było. 2) Sukces »Solidarności« pośrednio podważa tezę, że gdybyśmy zdołali polepszyć warunki materialne życia w Polsce – mielibyśmy większe poparcie polityczne. Tego wsparcia nie udzielili

■ drukarniach, prowadzonych przez lewicowe spółdzielnie robotnicze). W efekcie dotarł on do Polski drogą lotniczą dopiero późnym wieczorem 3 czerwca 1989 r. i został rozkolportowany jedynie w stolicy w dniu wyborów.

Nie był to jedyny plakat z udziałem zagranicznych gwiazd wykorzystany w tej kampanii przez stronę solidarnościową. Na ulicach polskich miast zdecydowanie częściej od Garry'ego Coopera pojawiały się Nastassja Kinski czy Jane Fonda, obie z przypinkami Solidarności. Tyle że mało kto o tym dziś pamięta.

DUCH OKRĄGŁEGO STOŁU

Rozmiar zwycięstwa, a nawet bardziej chyba skali porażki PRL-owskich władz nieco przestraszył liderów „strony solidarnościowej”, którzy – to rzecz niechętnie pamiętana – zgodzili się na złamanie obowiązującej procedury. Otóż w pierwszej turze przepadła niemal cała lista krajowa (33 osoby z 35 osób związanych z PZPR oraz jej sojusznikami – Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym, Stronnictwem Demokratycznym i kilkoma innymi, mniejszymi ugrupowaniami; wymagana liczbę 50 proc. głosów uzyskali jedynie niedostatecznie dokładnie wykreśleni przez wyborców Mikołaj Kozakiewicz i Adam Zieliński), ale liderzy skupieni wokół Lecha Wałęsy postanowili – choć nie przewidywała tego ordynacja wyborcza – iż wakaty te będą mogli obsadzić kandydaci władz. Nie było to zgodne z literą prawa, ale z duchem Okrągłego Stołu już jak najbardziej. Rzesza ludzi zaangażowanych w kampanie komitetów obywatelskich poczuła się wówczas najzwyczajniej oszukana. W dniu wyborów wielu z nich dyżurowało przed lokalami wyborczymi (w tzw. punktach wyborczych Solidarności), m.in. instruując wyborców, jak prawidłowo oddać głos w wyborach. Najtrudniejszym dla nich pytaniem było zaś to, jak głosować na listę krajową. Nie mając prawa do prowadzenia agitacji, odpowiadali więc często: „Musi Pan/ Pani sam/sama zdecydować, ale ja zamierzam skreślić ją w całości”. Nie sposób dzisiaj ocenić, na ile taka postawa przyczyniła się do jej klęski. I to – co trzeba przypomnieć – wbrew postawie samego Wałęsy, który w przededniu

wyborów dla ratowania listy krajowej zapowiedział, że skreśli z niej tylko jedną osobę. Uczynił tak, choć w czasie kampanii wyborczej liderzy opozycji nawoływali do jej odrzucenia, co miało być wotum nieufności wobec PRL-owskich władz.

Na usprawiedliwienie liderów strony solidarnościowej, którzy zgodzili się na obsadzenie miejsc w Sejmie przez przedstawicieli PZPR i jej sojuszników, przemawia to, że znajdowali się oni pod sporym naciskiem. Z jednej strony minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak sugerował, że w przeciwnym razie może dojść do buntu w kierowanym przez niego resorcie, z drugiej zaś na takie rozwiązanie nalegała administracja prezydenta Stanów Zjednoczo-

Rozmiar zwycięstwa w wyborach nieco przestraszył liderów „strony solidarnościowej”

nych George'a Busha, której zależało na spokoju w Polsce i – szerzej – w Europie Wschodniej. Za kompromisem opowiadał się również Kościół. Choć Kiszczak – o czym dzisiaj wiemy – blefował, to nie można zapominać, że Jaruzelski i jego otoczenie jeszcze kilka miesięcy wcześniej (w 1988 r.) intensywnie przygotowywali się (w MSW, w ramach operacji pod kryptonimem Horyzont) na wypadek potrzeby wprowadzenia stanu wojennego. Nie było też przypadkiem, że 6 czerwca 1989 r. w przednostkach podległych Ministerstwu Spraw Wewnętrznych wprowadzono stan podwyższonej gotowości bojowej.

Tym, co może zaskakiwać w przypadku plebiscytu, którym były wybory czerwcowe 1989 r., jest ich stosunkowo niska frekwencja. W czasie pierwszej tury (4 czerwca) wynosiła ona zaledwie 62,7 proc., a dwa tygodnie później, podczas drugiej, już tylko 25,5 proc. I tak w pierwszej turze była ona – jak się później okazało – przez ćwierć wieku najwyższa. Zmieniły to dopiero wybory z października 2023 r., które wielu potraktowało znowu jako plebiscyt za rządami Prawa i Sprawiedliwości czy –

szerzej – Zjednoczonej Prawicy i przeciw nim, w efekcie frekwencja osiągnęła rekordowe 74,4 proc.

Wracając do roku 1989, trzeba wspomnieć, że pewien, choć trudny do przecenienia wpływ na frekwencję miała postawa części „niekonstrukcyjnej” opozycji, która (m.in. kierowana przez Kornela Morawieckiego Solidarność Walcząca) wezwała do bojkotu wyborów, jako jedynie częściowo demokratycznych i wolnych.

Nie ulega wątpliwości, że wybory czerwcowe 1989 r. wbrew intencji ekipy Wojciecha Jaruzelskiego przyczyniły się do upadku w Polsce komunizmu, nazywanego w tym czasie socjalizmem. Władze PRL znalazły się po nich wręcz w rozsypce. Jak wspominał po latach Wojciech Wiśniewski, wówczas pracownik Komitetu Centralnego PZPR: „Wszystkich sparaliżowało”, a partia „stała się ciałem w stanie rozkładu” i „już tylko udawała, że żyje”.

19 lipca 1989 r. odniosła jednak, a dokładniej jej wieloletni lider Wojciech Jaruzelski, ostatni swój sukces. Działacze opozycji, którzy znaleźli się w Sejmie i Senacie, tworząc Obywatelski Klub Parlamentarny, poszli na kolejny już – po liście krajowej – „zgnity kompromis”. Przyczynili się do wyboru Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta, z bardzo szerokimi zresztą kompetencjami. Było to gorzkie zwycięstwo. Jerzy Urban komentował, że nie za bardzo widział powód do świętowania. Jak bowiem uzasadniał – ten dzień był dla niego „dniem bardziej przerażającym niż dzień po wyborach”, gdyż los całego kraju „dosłownie zależał od tego, czy jakiś facet zasiedział się czy nie zasiedział w bufecie, czy jakiś gość wyszedł czy nie wyszedł za swoją potrzebą”. To zaś dla PRL-owskich przywódców było zupełnie nową sytuacją, kolejnym symptomem końca ich rządów.

I rzeczywiście kilka miesięcy później – pod koniec stycznia 1990 r. – Polska Zjednoczona Partia Robotnicza była już nieboszczką. I cały misterny plan ekipy Jaruzelskiego podzielenia się z opozycją odpowiedzialnością, a nie realną władzą (m.in. dzięki werdyktowi wyborczemu Polaków z czerwca 1989 r.) okazał się nieaktualny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej.

Żołnierze niemieccy we Francji, ok. 1916 r.

FOT. BUYENLARGE/GETTY IMAGES

Przegrana przez wyczerpanie



Dariusz Wieromiejczyk

Nawet najlepsi żołnierze, przekonani o słuszności swojej sprawy, nie są w stanie w wieloletnim konflikcie zrównoważyć nieustannej, przytłaczającej przewagi materiałowej i liczebnej przeciwnika. Jaką naukę mogą z tego wyciągnąć obserwatorzy konfliktu na Ukrainie?

Jednym z najciekawszych pytań dotyczących historii ubiegłego wieku jest pytanie o przyczyny pierwszej wojny światowej. Nic dziwnego, że kolejne pokolenia historyków. Sprawa nabrała w ostatnich latach niejakiej aktualności, gdyż w powolnym osunięciu się Europy w otchłań niewyobrażalnego dla ówczesnych decydentów koszmaru wielu doszukuje się różnorodnych podobieństw do czasów, w których żyjemy.

Coś może być na rzeczy, bo trudno nie poczuć się nieswojo, czytając pierwsze zdanie wydanej w roku 2015 znakomitej książki Dominica Lievena, zatytułowanej „W pożogę” (polskie wydanie 2018): „To, jak potoczyła się pierwsza wojna światowa, zależało w dużym stopniu od losów Ukrainy”. Po upływie dalszych siedmiu lat zabrzmiało to wprowadzenie jeszcze bardziej aktualnie.

Kiedy w roku 2022 rozpoczęła się wojna na Ukrainie, kolejna fala zainte-

resowania pierwszą wojną światową wyniknęła z przebiegu działań wojennych. Niedawne, toczone w świetle kamer telewizyjnych wojny lądowe przyzwyczyły nas do widowiskowych operacji sił specjalnych, rajdów kolumn pancernych, skutecznych bombardowań i ataków z powietrza – w szybkim tempie kruszących opór przytłoczonego nowoczesną technologią i zaskoczonego niespodziewanym manewrem przeciwnika. Tak miały się sprawy w Jugosławii, Iraku i Kuwejcie. Tymczasem wojna na Ukrainie po pierwszych, bardziej mobilnych tygodniach niepokojąco przypominać zaczęła realia wojny pozycyjnej, znanej z frontu zachodniego pierwszej wojny światowej. W analizach pojawił się termin „wojny materiałowej”, a wskaźniki zużycia amunicji artyleryjskiej znów sumować zaczęto w miliony pocisków, zupełnie jakby walki nie toczyły się pod Bachmutem, a nad Sommą. Sposób prowadzenia działań, z poprawką na wy-

korzystanie wszystkich wynalezionych w minionym stuleciu, nafaszerowanych elektroniką zabawek, także przerodził się w pojedynki artyleryjskie i uporczywe próby przełamywania silnie ufortyfikowanych linii obronnych wroga. Na podobnych staraniach straciło już kiedyś życie łącznie kilka milionów „Tommies” i „Fryców”. Ubiegłe dwa lata wojny żołnierze walczący na Ukrainie spędzili, jak ich koledzy sprzed wieku, w głęboko wyrytych w ziemi i otoczonych drutem kolczastym okopach.

BEZCENNE MORALE

Tematem, który wydaje mi się ciekawy, nieoczywisty i wart przypomnienia, jest sposób, w jaki pierwsza wojna światowa skończyła się na froncie zachodnim. Poprzez kolejne lata wyniszczającej, toczonej na wyczerpanie, wykrawawienie i zagłodzenie przeciwnika wojny kolejni jej uczestnicy zaczęli załamywać się wewnętrznie. Bunt w armii francuskiej, podważające autorytet naczelnego dowództwa i kwestionujące sposób, w jaki zamierzało ono prowadzić wojnę, zagrażały francuskiej zdolności do kontynuowania walki. Wzięło w nich udział co najmniej 40 tys. żołnierzy. Rewolucja w Rosji była m.in. buntiem żołnierskim i szybko doprowadziła do spektakularnego rozkładu carskiej armii. Co jednak spotkało w roku 1918 armię cesarza Wilhelma?

Oto jak opisuje ten proces brytyjski historyk Alexander Watson: „Spadek motywacji do walki jest kluczem, umożliwiającym zrozumienie procesów, które doprowadziły do załamania się Niemców w roku 1918. Nie miał on charakteru otwartej, aktywnej konfrontacji z dowództwem, jak bunt, które zagroziły armii francuskiej i wewnętrznie rozerały rosyjską w roku 1917. Wewnętrzna dezintegracja armii niemieckiej była, przede wszystkim i od samego początku, rezultatem ogarniającej żołnierzy apatii, wyczerpania i wynikającego z nich zobojętnienia”.

Jak doszło do takiej sytuacji? Armia niemiecka, już od 1914 r., prowadziła wojnę ze znacznie silniejszymi przeciwnikami. Nawet nie biorąc pod uwagę ludności kolonii, populacja państw ententy liczyła sobie 258 mln, a państw centralnych 118 mln ludzi. Dochód

narodowy państw ententy przewyższał przeciwników o 60 proc., jeszcze przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do zmagania w Europie. W rezultacie na samym froncie zachodnim Francuzi i Brytyjczycy niezmiennie utrzymywali znaczną przewagę liczebną. Proporcje tej przewagi zmieniały się w różnych okresach wojny, przeciętnie jednak żołnierzy ententy było w okopach frontu zachodniego o jedną czwartą więcej niż Niemców. Inne też było obciążenie mobilizacyjne walczących społeczeństw. Niemcy zmobilizowali do walki aż 84 proc. populacji mężczyzn w wieku zdolnym do służby, Brytyjczycy „tylko” 49 proc. Równie drastyczna była przewaga materiałowa ententy. Dotyczyła ona zaopatrzenia walczących armii w żywność i amunicję, liczby luf artyleryjskich, produkcji ciężarówek i czołgów. Tylko nadzwyczaj wysokiemu morale armii niemieckiej, lepszym kwalifikacjom dowódców i nowatorskim doktrynom taktycznym zawdzięczają Niemcy to, że w tak nierównym starciu udało im się walczyć i osiągać sukcesy, przez niemal cztery lata.

Koszt tej walki ponosili jednak żołnierze. O ile na początku wojny żołnierze służby czynnej mieli za sobą dwa lata solidnego szkolenia wojskowego, o tyle w następnych miesiącach skrócono go znacznie, nawet do dwóch miesięcy szkolenia. Bardzo obniżyła się jakość oficerów, tych na froncie oraz szkolących rekrutów. W rezultacie jednostki złożone z ochotników i „Ersatzreservisten” (żołnierzy pośpiesznie przeszkolonych w czasie wojny) już od jesieni 1914 r. ponosić zaczęły ogromne straty, zwłaszcza gdy rzucano je do przełamywania umocnionych linii obrony, obsadzonych zawodową armią brytyjską, np. podczas pierwszej bitwy pod Ypres. W jednostkach takich notować zaczęto gwałtownie rosnącą liczbę zaburzeń psychicznych. Jest czymś zadziwiającym, że na przestrzeni całej wojny armia niemiecka wciąż była w stanie zadawać swoim przeciwnikom większe straty (szacowane na 10,3 mln wykluczonych z walki żołnierzy), niż poniosła (7,1 mln). Jak pisze Niall Ferguson: „Pomiędzy sierpniem 1914 a czerwcem 1918 Niemcy stale zabijali i brali do niewoli więcej brytyjskich i francuskich żołnierzy, niż sami tracili”.

Historycy przypisują ten fakt lepszym kwalifikacjom sztabowców, elastycznej doktrynie operacyjnej i defensywnemu w większości charakterowi toczonych bitew, co maksymalizowało skuteczność ognia strony broniącej się.

NIEMIECKI KRYZYS

W poświęconej temu zagadnieniu książce, zatytułowanej „Enduring the Great War”, Alexander Watson szczegółowo opisuje, jak w miarę przedłużania się wojny, pogarszania zaopatrzenia i coraz słabszej jakości przybywających na front uzupełnień powoli, lecz stale obniżało się morale walczących Niemców. Oznaki tego procesu dostrzec można, analizując listy z frontu, raporty wywiadowcze oficerów przesłuchujących jeńców, statystyki wojskowych szpitali psychiatrycznych. Do załamania nie doszło niespodziewanie, na skutek jakichś szczególnych wydarzeń czy spektakularnej klęski. Przeciwnie – kulminacja kryzysu nastąpiła w wyniku przeprowadzonej przez Niemców serii wiosennych ofensyw roku 1918, znanych jako „Kaiserschlacht” (Cesarska bitwa).

Celem tej operacji było rozbicie armii ententy, zanim na front zachodni przybędą, w dużej liczbie, jednostki amerykańskie. Niemcy wykorzystać chcieli nieznaczną przewagę liczebną, którą po raz pierwszy w tej wojnie udało im się osiągnąć wskutek załamania się Rosji i przerzucenia na Zachód kilkudziesięciu dywizji zaangażowanych dotąd w działania na Wschodzie. Ofensywa pozornie przyniosła Niemcom spektakularne sukcesy. Linia frontu, po raz pierwszy od czterech lat, przesunęła się zaczęła nie o kilka, a o kilkadziesiąt kilometrów tygodniowo. Zdawało się, że dzięki perfekcyjnej koordynacji ognia artyleryjskiego i nowatorskiej taktyce „grup szturmowych” armii gen. Ludendorffa udało się wreszcie znaleźć klucz do zakończenia impasu wojny pozycyjnej. Brytyjczycy znaleźli się w dramatycznej sytuacji, zagrożeni odcięciem od wojsk francuskich, a w pewnym momencie także od własnego zaopatrzenia.

Jednak w tym właśnie momencie ujawniły się słabości strony pozornie zwycięskiej, lecz materiałowo i ludnościowo ustępującej przeciwnikowi. Nacierająca armia ponosiła wysokie straty

ludzkie, których nie było kim uzupełnić. Nie zdołano dostarczyć nacierającym wojskom odpowiednich ilości materiałów wojennych, wskutek czego już po kilku dniach walki Niemcy zmuszeni byli atakować bez wystarczającego wsparcia artylerii. Wielokrotnie opisywano przypadki, gdy po zdobyciu brytyjskich okopów i magazynów żywnościowych Niemcy porzucali natarcie i zaczynali raczyć się zdobytymi skarbami – mięsem, alkoholem i innymi, od lat niewidzianymi smakołykami. Naocznie byli się w stanie przekonać, jak doskonale jest zaopatrzenie przeciwników i że zapasy wroga wielokrotnie przewyższają ich własne.

Brytyjczycy z kolei zdołali dostarczyć do Francji uzupełnienia i nowe, świeżo sformowane jednostki. Ich armii, nawet w najgorszym kryzysie, nie brakowało żywności, amunicji ani sprzętu. Kiedy po początkowych sukcesach Niemcy się zatrzymali, nie osiągnąwszy zapowiadanego przełomu, morale żołnierzy zaczęło się gwałtownie pogarszać. Żołnierze stanęli wobec świadomości, że pomimo najwyższych poświęceń „nie mogą wygrać tej wojny”. Jak donosili zaalarmowani lekturą żołnierskich listów cenzorzy, rozczarowanie bezowocnością własnych ataków i oczywistą przewagą materiałową wroga prowadziło piszących do wniosku, że „przegrana Niemiec jest w końcu nieunikniona”.

W rezultacie, po zakończeniu ofensywy, skokowo, z tygodnia na tydzień, wzrosła liczba oddających się do niewoli Niemców. Na froncie zachodnim nie doszło w tym czasie do żadnych spektakularnych manewrów okrążających ani rozstrzygających alianckich przełamań. Tymczasem, o ile jeszcze w czerwcu i lipcu do niewoli trafiało ok. tysiąc Niemców tygodniowo, o tyle w sierpniu było to już po 20 tys. na tydzień. Jeśli w ciągu uprzednich czterech lat wojny Brytyjczycy wzięli łącznie 142 tys. niemieckich jeńców, to w ciągu ostatnich trzech miesięcy, od sierpnia do listopada, było to 186 tys. Poddawać się zaczęli nie nowi, nieostrzelani rekruci, a starzy weterani, doświadczeni frontowcy, których nie było już kim zastąpić. Brytyjski historyk Niall Ferguson pisze, że „masowe poddawanie się żołnierzy było głównym czynnikiem, który ukształtował rezultat pierwszej wojny światowej”.

Przyczyny takiego stanu rzeczy od lat wzbudzają spory badaczy. Przez długi czas głosili oni cenną dla propagandy polityczną tezę, że winna była wywrotowa agitacja, prowadzona przez rewolucyjne komórki i wymierzona w morale walczącej armii. Mitu „ciosu w plecy” nie da się jednak obronić, do motywowanych politycznie zamieszek dochodziło głównie na tyłach, wpływy politycznych agitatorów na froncie były niewielkie, a większość żołnierzy odnosiła się do rewolucyjnych haseł z wrogością.

Próbowano argumentować, że załamanie morale spowodowane było ogromnym pogorszeniem jakości wysyłanych na front uzupełnień, szczególnie zaś użyciem do walki byłych jeńców wojennych, uwolnionych po kapitulacji Rosji. Mieli być oni zarażeni bolszewicką propagandą. Rzeczywiście, wśród powracających z Rosji jeńców zdarzali się komunistyczni agenci, trudno jednak przypisać ich wpływowi decydujące znaczenie.

Twierdzono, że wskutek utraty doświadczonych oficerów na froncie pogłębił się dystans pomiędzy zwykłymi żołnierzami a korpusem oficerskim. W rezultacie żołnierze mieli dezertować, a opuszczeni oficerowie przylgając się bezradnie rozkładowi ich jednostek. Okazuje się jednak, że proporcja żołnierzy i oficerów była wśród poddających się oddziałów dokładnie taka, jak w reszcie niemieckiej armii, a z licznych raportów wynika, że to sami oficerowie (niżsi rangą) organizowali często kapitulację swoich jednostek i osobiście prowadzili podkomendnych do niewoli. Pamiętajmy, że działo się to w armii, która słusznie uchodziła przez lata za najlepszą i najbardziej waleczną ze ścierających się w pierwszej wojnie światowej wojsk.

Co więc spowodowało w roku 1918 upadek armii niemieckiej? Było to prawdopodobnie ogromne zmęczenie długo nieluzowanych, pozbawionych wypoczynku żołnierzy, świadomość poniesionych dotychczas bolesnych strat i brak nadziei na jakiegokolwiek zwycięstwo. „Upadek armii niemieckiej w drugiej połowie 1918 roku nastąpił nie dlatego, że żołnierze byli nieposłuszni dowódcom lub radykalizowani politycznie. Byli oni jednak zbyt fizycznie i psychicznie wyczerpani, by dalej kontynuować walkę”

– pisze Alexander Watson. „Wyczerpanie i przynęcenie stworzyło nastrój apatii, nie buntu. Konflikt skończył się nie dzięki masowej dezercji lub żołnierskim rebeliom, ale głównie przez zorganizowane poddawanie się, w którym oficerowie prowadzili swoich żołnierzy do niewoli aliantów. Ludzka wytrzymałość, a nie dyscyplina wojskowa, osiągnęła w końcu swój kres” – podkreśla Alexander Watson w podsumowaniu swojej książki.

U KRESU WYTRZYMAŁOŚCI

W roku 1916 marszałek Paul von Hindenburg wypowiedział ciekawe proctwo: „Zwycięstwo przypadnie temu, kto ma najsilniejsze nerwy”. Upadek jego armii pokazał, że nawet najlepsi żołnierze, przekonani o słuszności swojej sprawy, nie są w stanie w wieloletnim konflikcie zrównoważyć nieustannej, przytłaczającej przewagi materiałowej i liczebnej przeciwnika. Jaką naukę mogą z tego wyciągnąć obserwatorzy konfliktu na Ukrainie? Nawet dobrze wyposażony i nadzwyczaj odważny żołnierz może zostać doprowadzony do kresu wytrzymałości. Nie odbiera mu to wcale zapału i gotowości do walki w innych, zmienionych warunkach, czego dowiodła późniejsza historia Freikorpsów.

O poziomie ponoszonych na Ukrainie strat, liczbie samookaleczeń, dezertów i jeńców, a także o morale walczących wojsk niewiele można się aktualnie dowiedzieć. Medialni analitycy z uporem koncentrują się na porównywaniu parametrów technicznych sprzętu, urąganiu „muzealnemu” rosyjskim czołgom i zachwalaniu zachodniej techniki wojskowej. Walczą jednak ludzie, nie patrioty i Abramsy. Ich fizycznej i psychicznej kondycji, częstotliwości rotacji walczących jednostek i jakości świeżo zmobilizowanych na Ukrainie rezerwistów poświęca się w polskich mediach nadzwyczaj mało uwagi. Niewiele także wiadomo o zaufaniu frontowych żołnierzy do dowódców i polityków, nastrojach społecznych na tyłach i wierze w rzeczywistą możliwość rozstrzygającego, militarnego zwycięstwa. Warto jednak pamiętać, że mogą to być czynniki decydujące, znacznie ważniejsze od dostawy kilkudziesięciu czołgów lub przesunięcia linii frontu o kilka, a nawet kilkanaście kilometrów.

Choć naszych sąsiadów zza Tatr uważamy za jeden z najbliższych nam etnicznie narodów, to niewiele jednak wiemy o ich tradycji. „Dvojkríž” – tego słowa nie ma w języku polskim, oznacza ono podwójny krzyż. Ten znak towarzyszy Słowakom od ponad tysiąca lat. Polacy, którzy eksplorują słowackie Tatry i Karpaty, spotykają go na szczytach wielu tamtejszych wzgórz. Nic dziwnego, że ten narodowy symbol stał się tematem wystawy na Zamku Królewskim w Bratysławie.

WSPÓLNE DZIEDZICTWO

„Godło narodowe Republiki Słowackiej składa się z podwójnego srebrnego krzyża na czerwonej wczesnogotyckiej tarczy wzniesionej na centralnym wzniesieniu niebieskiego potrójnego wzgórza” – głosi art. 9 ustęp 1 słowackiej konstytucji.

W historii sztuki symbol ten nazywany jest krzyżem patriarchalnym i w starożytnym Bizancjum stanowił znak, który łączył powagę państwa i deklarację chrześcijańskiej wiary. W Polsce nazywamy go często krzyżem jagiellońskim lub litewskim, bo znajduje się on na tarczy jeźdźcy Pogoni – godła Litwinów i Białorusinów. U nas występuje np. w herbie województwa świętokrzyskiego oraz w herbach Wschowy czy Leżajska.

Ale dla Słowaków „dvojkríž” stanowi wspólny motyw heraldyczny z Węgrami. Choć historycy z obu krajów upierają się przy różnych wersjach tego, jak znak ten zdomował się na ich ziemiach. Obie strony zgadzają się tylko co do jednego. Na tereny Węgier – a tym samym Słowacji, która przez tysiąc lat należała do Korony św. Stefana – krzyż patriarchalny przybył z Bizancjum i został tu przyjęty jako znak władzy państwowej. Nieprzypadkowo wystawę otwiera zdjęcie bizantyjskiej monety Solidusa z X w. ze znakiem patriarchalnego krzyża oraz z wizerunkami cesarza Konstantyna VII Porfirogeneta i koregenta Romana I Lekopena.

Według Słowaków symbol podwójnego krzyża trafił na tereny państwa wielkomorawskiego (które Słowacy uważają za kolebkę swej państwowości) w IX w. wraz z przybyciem świętych misjonarzy Cyryla i Metodego. Historycy słowaccy twierdzą, że podwójny krzyż był potem symbolem książąt Nitry, i wskazują,



Złoty solid bizantyjski, moneta znajdowana na terenie Słowacji ze znakiem krzyża patriarchalnego FOT. PIOTR SEMKA

„Dvojkríž” – święty znak Słowaków



Piotr Semka
z Bratysławy

Wystawa na zamku w Bratysławie przypomina, że zarówno Węgrzy, jak i Słowacy przez długi czas wahali się, czy przyjąć kulturę bizantyjską czy kulturę łacińską. Wyraźny przechył premiera Viktora Orbána i słowackiego przywódcy Roberta Ficy na rzecz Rosji może skłaniać do wniosku, że coś z tych wschodnich sympatii jednak zostało

że widnieje na oprawie najstarszego dokumentu pisanego z terenu Słowacji tzw. Ewangeliarza nitrańskiego z 1083 r.

Gdy przeczytałem na wystawie w bratysławskim zamku słowacką wersję genezy „dvojkríza”, dla zachowania

bezzstronności zerknąłem na węgierskie teorie. Historycy z Budapesztu przedstawiają sprawę zupełnie inaczej. Wskazują, że symbol ten pojawił się w królestwie węgierskim pod koniec XIII w., za rządów króla Beli III (1148–1196), i choć także

wiążą go z Bizancjum, to jego pojawienie przypisują długoletniemu pobytowi królewicza Beli na cesarskim dworze w Konstantynopolu. Notabene godło Węgier tylko w połowie przedstawia podwójny krzyż, drugą połówkę stanowi rodowe godło dynastii Arpadów, która podbiła całą Kotlinę Karpacką, w tym ziemie słowackie. Przyjęcie przez Węgrów znaku podwójnego krzyża historycy z Budapesztu wiążą z pretensjami królów Węgier do przejmowania insygniów władzy bizantyjskiej. W połowie XII w. władcy węgierscy prowadzili nawet negocjacje z cesarzem Manuelem I na temat ewentualnej sukcesji tronu Bizancjum przez króla Bełę.

O ile wystawa w Bratysławie w ogóle nie odnosi się do teorii węgierskich, o tyle pierwsza sala wystawy prezentuje liczne przykłady używania godła z podwójnym krzyżem jako „godła Uhorska”. Na ten termin warto zwrócić uwagę, gdyż większość Polaków nie ma pojęcia, jak duża różnica istnieje w języku słowackim między określeniem „Uhorsko” a „Mad’iarsko”. Nasi sąsiedzi używają tego pierwszego określenia na wielonarodowe państwo, które, owszem, znalazło się pod władzą królów węgierskich, ale którego oficjalnym językiem była łacina i które szanowało podmioty



Figura św. Władysława, króla węgierskiego, z XV w. z twarzą i symbolem podwójnego krzyża FOT. PIOTR SEMKA

spolitej Obojga Narodów, nietraktowane wyłącznie jako Polska.

MOMENT ZERWANIA

„Ta Słowacja nasza mocno do dziś spała, ale błyski gromu krzyczą głośno do niej, aby się zbudziła” – te słowa hymnu Słowacji autorstwa Janka Matúški z 1844 r. zapowiadały ocknięcie się Słowaków z tysiącletniego poddaństwa wobec władców Węgier. I rzeczywiście cztery lata później, w czasie wybuchu

na których opierał się podwójny krzyż (w tradycji Węgier – zielone) zamalował na niebiesko. Pierwsza flaga słowacka z 1848 r., pokazana na wystawie, przypominała flagę węgierską, tyle że zamiast zieleni, bieli i czerwieni nosiła barwy niebieską, białą i czerwoną. Był to ukłon rusofila Štúra wobec kolorów państwa rosyjskiego, w którym uciśnieni Słowacy widzieli protektora małych narodów słowiańskich.

Decyzja Štúra określiła raz na zawsze zmianę barw narodowych Słowaków i oddzieliła ich od symboliki węgierskiej. W 1867 r. pisarz i historyk Peter Kellner-Hostinski (1823–1873) napisał pracę naukową, w której argumentował, że podwójny krzyż powinien być osobnym symbolem Słowaków jako nawiązanie do prastarego Księstwa Nitry. Okres drugiej połowy XIX w. to czas wzmożonej madziaryzacji terenów obecnej Słowacji i podwójny krzyż w barwach czerwono-niebieskich nie był tolerowany przez władzę węgierską. Ale znak był używany przez słowacką emigrację w Ameryce Północnej, która była silnym oparciem dla niepodległościowców nad Popradem i Dunajem. Na wystawie obejrzyć można liczne znaczki słowackich organizacji w USA, które konsekwentnie używały białego-niebiesko-czerwonych barw.



Godło Węgier za władzy Beli III



Pieczęć króla Węgier Ludwika I



Moneta Zygmunta Luksemburskiego



Herb Królestwa Węgier



Znak Maticy Słowackiej



Symbol Legii Czechosłowackiej

towość narodów żyjących w krainach Korony św. Stefana. Antytezą „Uhorska” jest określenie „Mad’iarsko”, pod którym rozumie się etniczne państwo węgierskie powstałe po 1918 r.

Dobre „uhorskie” czasy symbolizuje na ekspozycji kamienna rzeźba św. Władysława, króla Węgier, z tarczą z podwójnym krzyżem. Przedstawiane na wystawie przykłady obecności „dvojkříža” na monetach, rzeźbach władców czy w herbach słowackich miast są pamiątkami po dziedzictwie wspólnego państwa. Coś jak na zasadzie szacunku Litwinów czy Rusinów wobec Rzeczypos-

Wiosny Ludów, słowaccy „budziciele” narodu ogłosili 19 września 1848 r. w miasteczku Myjava powstanie Słowackiej Rady Narodowej oraz powołanie legionu słowackiego, który miał walczyć przeciw węgierskim rewolucjonistom.

Skończył powstać pierwszy zaczątek słowackiej państwowości, to potrzebne było osobne godło. Lider niepodległościowców Łudowit Štúr (1815–1856) wykazał się zdrowym rozsądkiem. Przyjął za godło słowackie symbol podwójnego krzyża, który jego rodacy znali z heraldyki państwa węgierskiego, ale dla zaznaczenia odrębności trzy wzgórza,

Jako pierwsi ideę wspólnego państwa Czechów i Słowaków podjęli żołnierze Legii Czechosłowackiej, która działała na terenie objętej rewolucją Rosji. Tyle że Czesi, którzy byli silniejszym partnerem w tym przedziwnym tworze wojsko-politycznym, we wspólnym godle umieścili obok słowackiego „dvojkříža” aż trzy herby ziem czeskich – czeskiego Lwa, morawską kratkowaną orlicę i wreszcie czarnego śląskiego orła. Ta nierówność w traktowaniu symboli czeskich i symbolu słowackiego była zapowiedzią braku równouprawnienia między Czechami i Słowakami w przyszłej republice pod



Godło Czechosłowacji
1920–1960



Godło SR (Republiki
Słowackiej) 1939–1945



Godło CSRR
1960–1989



Godło SSR (słowackiej części
Czechosłowacji) 1960–1989



Godło Czecho-Słowacji
1990–1992



Flaga prezydentów
Słowacji od 1993 r.

Wodzą Tomasza Masaryka. Wspólnym godłem stał się czeski lew w koronie, który na piersi miał godło podwójnego krzyża.

„DVOJKRIŽ” POJAWIA SIĘ I ZNIKA

Wspólne państwo rozpadło się w marcu 1939 r. Hitler uczynił z Czech protektorat, a jego wysłannicy zachęcali słowackich narodowców pod wodzą ks. Józefa Tisy do proklamowania niepodległej Słowacji. Godłem nowego państwa stał się podwójny krzyż na trzech wzgórzach. Główna siła w państwie, tzw. Hlinkova Garda, zaczęła nosić do swoich czarnych mundurów niebieskie opaski ze zgrafizowanym symbolem czerwonego podwójnego krzyża, który miał nawiązywać do opasek NSDAP ze swastyką. Podwójny krzyż staje się symbolem triumfu narodowych dążeń Słowaków. Propaganda Tisowska zazwyczaj pokazuje go oświetlonego promieniami wschodzącego nowego jutra. Niekiedy pojawia się też nuta martyrologiczna cierpień Słowaków pod jarzmem węgierskim. Te tendencje reprezentuje pokazany na wystawie zachaczający o bluźnierstwo obraz Słowaka ukrzyżowanego na „dvojkrižu”.

Po wojnie wydawało się, że wszystko wróciło do przedwojennych standardów. Godłem znów był biały czeski lew ze słowackim podwójnym krzyżem na piersi. Ale myliłby się ten, kto sądziłby, że czechosłowaccy komuniści odpuszczają symbolowi Męki Zbawiciela. Na zlecenie władz malarz Anton Holy zaprojektował nowe godło słowackie, które miało symbolizować pamięć o słowackim powstaniu narodowym z 1944 r. Nowa słowacka tarcza herbowa przedstawiała świętą dla Słowaków górę Krywań z symbolem powstańczego ogniska. Nowe godło wprowadziła konstytucja z lipca 1960 r. Odrzucenie tradycyjnego symbolu wywołało w społeczeństwie ciche niezadowolenie, które objawiło się dopiero w czasie dubczekowskiej odwilży wiosną 1968 r. Nagle stary symbol znów zaczął pojawiać się na demonstracjach studenckich i wolnościowych. Sowiecka inwazja

i „normalizacja” pod rządami Gustáva Husáka znów sprowadziły podwójny krzyż do podziemia. „Dvojkriž” można było zobaczyć jedynie na uroczystościach emigracji słowackiej na Zachodzie.

Gdy w 1990 r. powstała niekomunistyczna Czechosłowacja, tarczę herbową nowego państwa podzielono po równo – dwa pola dla czeskiego lwa i dwa pola dla słowackiego podwójnego krzyża. Ale wspólnego państwa nie dało się już utrzymać. Słowacy chcieli aksamitnego rozvodu. Powrócił symbol znany na ziemiach słowackich od tysiąca lat, tyle że dla odróżnienia go od godła państwa z epoki Tisy zmieniono kształt tarczy. Pikantne w stosunku do historycznych wojen słowacko-węgierskich na temat genezy godła było to, że za wzór nowego symbolu państwowego przyjęto „dvojkriž” według wzoru z pieczęci Ludwika I, króla Węgier i Polski (1326–1382).



Autorom wystawy udało się nawet ściągnąć na Zamek Królewski pierwszą mównicę parlamentarną z 1993 r. z godłem nowego państwa. Ale znak podwójnego krzyża dziś najbardziej kojarzy się z koszulkami drużyny hokejowej, a także z bojówkami skrajnych prawicowców pod wodzą Mariana Kotleby, który demonstracyjnie używał kopii znaku „dvojkriža” używanego przez wojenną Hlinkovą Gwardię.

Gdy w 2010 r. przed zamkiem bratysławskim postawiono konny pomnik księcia słowiańskiego Świętopełka, szybko trzeba było wymienić mu tarczę. Rzeźbiarz Jan Kulich umieścił na pierwotnym wzorze podwójny krzyż w kształcie używanym przez Hlinkovą Gwardię. Wobec protestów tarczę wymieniono na mniej kontrowersyjną wersję „dvojkriža”.

POLSKIM OKIEM

Ktoś o większym zacięciu antynacjonalistycznym opisałby wystawę i słowacko-węgierski spór o prawa do podwójnego krzyża w stylu kpiącej ironii. Ale widz polski zna sytuację, w której dwa różne państwa nawiązują do symboliki niegdyśiejszego, wspólnego imperium. Tak było w 1991 r., gdy zarówno Litwa, jak i Białoruś przyjęły godło pogoni, które w obu krajach różniło się tylko drobnymi szczegółami. Ale wystawa przypomina też, że zarówno Węgrzy, jak i Słowacy przez długi czas wahali się, czy przyjąć kulturę bizantyjską czy kulturę łacińską. Wyrazny przeżył premiera Viktora Orbána i słowackiego przywódcę Roberta Ficy na rzecz Rosji może skłaniać do wniosku, że coś z tych wschodnich sympatii jednak zostało. Tym bardziej że cały wschód słowacki to w większości ludność grekokatolicka, która zachowała w swym obrządku tradycje bizantyjskie. Jak się okazuje, symbole mają jednak znaczenie. Czyżby z tego powodu podległe Ficy ministerstwo kultury tak gorąco wsparło wystawę?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Dvojkriž” w Muzeum Historycznym na Zamku w Bratysławie czynna będzie do 30 czerwca br. Szczegóły: www.snm.sk.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Komandos tamtych czasów

Niewiele było takich niezłomnych i najdzielniejszych, jak kpt. Jan Morawiec „Remisz”. W życiu cywilnym (niestety, bardzo krótkim) był działaczem politycznym, sportowcem, harcerzem. Parał się również literaturą.

Bronił Polski w wojnie 1939 r. (w Marynarce Wojennej na Helu). Z niewoli niemieckiej uciekł prawie natychmiast i rozpoczął swą heroiczną służbę w konspiracji niepodległościowej.

Rozpoczął ją na siatce konspiracyjnej mjr. „Hubala”. Następnie jej pozostałości włączył do Narodowej Organizacji Wojskowej, zostając komendantem powiatu Tomaszów Mazowiecki. Szybko piął się w hierarchii organizacyjnej, został oficerem łącznikowym Okręgu Łódź z KG NOW. Latem 1942 r. przeszedł do NSZ i został oficerem do spraw specjalnych w Wydziale Organizacyjnym KG. Z uwagi na swe niezwykle umiejętności i brawurą powierzano mu najbardziej odpowiedzialne zadania. W 1943 r. został zatrzymany przez żandarmów w pociągu pod Kuluszkami. Skuty kajdanami wyskoczył z pędzącego pociągu i zdołał zbiec. Z rąk niemieckich potrafił się uwolnić jeszcze dwukrotnie.

W 1944 r. znalazł się w tej części organizacji, która lojalnie wykonywała umowę scaleniową z AK. Otrzymał przydział do Okręgu III (Lublin), który po wejściu Sowietów gruntownie przeorgani-

zował. Brał udział w walkach o Lublin. Historyk komunistyczny bardzo wysoko ocenił jego pracę: „Okręg lubelski NSZ przetrwał bez większych wstrząsów okres przełamania się frontu. Mógł więc już wkrótce podjąć szereg organizacyjnych posunięć, które adaptowałyby jego szeregi do nowych warunków. Wykazał w tym względzie aktywność wprost niezwykłą”.

Był intensywnie poszukiwany. Już 29 grudnia 1944 r. został aresztowany przez NKWD. Po kilku dniach ciężkich przesłuchań wyskoczył z pierwszego piętra, zwichnął nogę, ale zdołał zbiec. Wszedł do ścisłego kierownictwa politycznego i wojskowego Obszaru Lublin NZW, a latem 1945 r. został szefem Pogotowia Akcji Specjalnej (PAS) tej organizacji. Wiosną 1946 r. kilkakrotnie wydostawał się z zasadzek UB, aż wreszcie 22 marca został aresztowany, bo zaciął mu się pistolet i otrzymał postrzał w nogę. W ciężkim śledztwie na Mokotowie brał na siebie wszystko, co mogło obciążyć jego podkomendnych. Został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano 13 stycznia 1948 r. W innych procesach komunistów skazali dwóch jego braci.

Jan Morawiec został pogrzebany w jamie grobowej na cmentarzu Służewieckim w Warszawie. Nie ma szans, aby kiedykolwiek jego szczątki zostały odnalezione, bo w tym miejscu są masowe, nowe pochówki. Czy będzie zapamiętany? ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ostatnie lata wielkiej uczonej

Choć od zakończenia pierwszej wojny światowej zdrowie Marii Skłodowskiej-Curie szwankowało, to noblistka nie wyobrażała sobie życia bez pracy w laboratorium. Nie zdawała sobie sprawy ze szkodliwości promieniotwórczości, zresztą pracowała ze związkami promieniotwórczymi od kilkudziesięciu lat i zaczęła tracić wzrok (przeszła trzy operacje), do tego dochodziły zaburzenia równowagi, szumy w uszach, uczucie ciągłego zmęczenia i utrzymująca się niemal non stop lekka gorączka.

Nie zapomniała jednak o swoim największym marzeniu, czyli o utworzeniu Instytutu Radowego w Warszawie. Projekt popierały polskie władze i 3 czerwca 1925 r. uczona przybyła do kraju, by wziąć udział w położeniu kamienia węgielnego pod budowę placówki. Maria położyła też pierwszą symboliczną cegłę, a drugą jej dawny znajomy z Paryża, prezydent Stanisław Wojciechowski. Niestety, problemem okazały się sprawy finansowe, największym kłopotem był zakup grama radu, gdyż pozostawało to poza możliwościami finansowymi organizatorów.

Noblistka odwołała się do pomocy swojej amerykańskiej przyjaciółki, dziennikarki Mary „Missy” Meloney. To właśnie ona zorganizowała wizytę Skłodowskiej w USA w 1921 r., podczas której społeczeństwo amerykańskie

przekazało jej środki na zakup grama radu na potrzeby paryskiego instytutu. Teraz nadszedł czas na powtórkę przedsięwzięcia i Meloney nie zawiodła. W tej sytuacji Maria w połowie października 1929 r. przybyła do USA, gdzie witano ją niezwykle gorąco, a prezydent Herbert Hoover zaproponował jej, by zatrzymała się w Białym Domu. Podobny zaszczyt nie spotkał nigdy dotąd żadnego obcokrajowca.

Uroczyste wręczono jej w Waszyngtonie czek na kwotę wystarczającą na zakup grama radu, a noblistka miała wiele szczęścia, gdyż zbiórka odbyła się w ostatnim możliwym momencie. Dzień przed uroczystością w Waszyngtonie miał miejsce wielki krach na giełdzie nowojorskiej (czarny wtorek), a niebawem USA i świat pogrążyły się w wielkim kryzysie.

Katastrofalne załamanie gospodarki dotknęło także Polski, nie przeszkodziło to jednak w ukończeniu Instytutu Radowego przy ulicy Wawelskiej. Pod koniec maja 1932 r. Maria dokonała jego uroczystego otwarcia, w placówce poza laboratoriami badawczymi znalazło się miejsce na 120 łóżek dla chorych. Inauguracja instytutu była ostatnią wizytą uczonej w rodzinnym kraju. Choć planowała następnie i chciała nawet nadzorować działalność placówki, to jednak stan zdrowia nie pozwolił jej na realizację tych zamierzeń. ©©



Nadprezydent Ukrainy



Maciej Pieczyński

20 maja zakończyła się kadencja Zełenskiego na stanowisku głowy państwa. Jednak nawet opozycja uważa, że pomimo wątpliwości prawnych powinien rządzić dalej. A i tak stery kraju dzierży nie tyle prezydent, ile szef jego biura – „zielona eminencja” Andrij Jermak

Moskwa kwestionuje legalność władz ukraińskich w zasadzie od dekady. Czyli od momentu, w którym Euromajdan obalił prorosyjskiego prezydenta Wiktora Janukowycza. Kolejne rządy określane były przez kremłowską propagandę mianem „kijowskiej junty”, która zapanowała nad Dnieprem jakoby w rezultacie zbrojnego zamachu stanu, sponsorowanego przez zachodnie służby specjalne. 20 maja ta narracja została wzbogacona o kolejny

wątek. Tego dnia bowiem upłynęła kadencja obecnego prezydenta. Tymczasem nie odbyły się wybory. Zełenski pozostał na stanowisku. Według Kremla – nielegalnie. A „nielegalny” prezydent Ukrainy nie jest dla Putina partnerem do rozmów – argumentują Rosjanie. Stwierdził tak zresztą sam władca Kremla. Moskwa tworzy sobie zatem wygodny pretekst do eskalacji konfliktu. „Wszelkie porozumienia, zawarte z pozbawionym legitymizacji prezydentem, byłyby nieważne i mogłyby

zostać zakwestionowane. W chwili zakończenia kadencji Zełenski stracił prawo do występowania w imieniu Ukrainy” – oznajmił przewodniczący Dumy Państwowej Wiaczesław Wołodin. Z jednej strony, trudno poważnie traktować oburzenie Rosjan. Putin wielokrotnie nagiął prawo i konstytucję, aby przedłużyć własne rządy. O fałszerstwach wyborczych i eliminacji przeciwników politycznych szkoda nawet wspominać. Z drugiej jednak strony, Ukraina powinna świecić przykładem demokracji i praworządności, zamiast upodabniać się pod względem standardów do swojego śmiertelnego wroga. Czy jednak podważanie legalności rządów Zełenskiego jest uzasadnione?

ZEŁENSKI WYGRAŁBY W CUGLACH

Zgodnie z ustawą z 2015 r. na Ukrainie nie można organizować wyborów podczas stanu wojennego. Ten zaś obowiązuje nieprzerwanie od 24 lutego 2022 r.



Obecny prezydent Wołodymyr Zełenski jest sprawnym politykiem, ale powszechnie spekuluje się, że realną władzę sprawuje... Andrij Jermak

FOT. SERGEY DOLZHENKO/EPA/PAP

prezydenta. Parlamentarzystka Sofia Fedyna stwierdziła wręcz, że temat kadencji w ogóle nie pojawiłby się w przestrzeni publicznej, gdyby nie zaczęli go poruszać przedstawiciele obozu prezydenta. Stanowisko większości opozycji można streścić następująco: może i negatywnie oceniamy rząd Zełenskiego, ale podczas wojny potrzebujemy jedności w walce z wrogiem, a nie kłótni o wybory. Inna sprawa, że takie wybory nie byłyby dziś na rękę ani Poroszenko, ani innym przeciwnikom obecnej władzy. Sondaże wskazują, że Zełenski wygrałby w cuglach. Po pierwsze, w ramach cenzury i propagandy wojennej najważniejsze telewizje promują głównie urzędującego prezydenta. Po drugie, nawet i bez tej dominacji narracyjnej w mediach Zełenski pewnie miałby spore szanse na zwycięstwo, bo Ukraińcy zdają się myśleć podobnie jak polityczna opozycja – w czasie wojny jedność ważniejsza jest od rozliczeń, na które przyjdzie czas, gdy działa ucichną.

„ZIELONA EMINENCJA”

Obecny prezydent okazał się, rzecz jasna, bardzo silnym i sprawnym politykiem, jednak powszechnie spekuluje się o tym, że realną władzę sprawuje ktoś inny. A mianowicie – Andrij Jermak. Prawa ręka. „Szara eminencja”. Wszechwładny szef biura prezydenta Ukrainy. To stanowisko to coś więcej niż szef Kancelarii Prezydenta w Polsce. Od zawsze miało ono nad Dnieprem bardzo duże znaczenie polityczne. Wzrosło ono jeszcze bardziej po tym, jak w rezultacie inwazji rosyjskiej wzmocniła się władza samego prezydenta. Jermak pełni funkcję szefa biura od lutego 2020 r. Mówi się, że jego realne wpływy sięgają o wiele dalej niż konstytucyjne uprawnienia urzędu, który sprawuje. Nazywany jest „cieniem Zełenskiego”, „kanclerzem cienia” [gra słów: chodzi o to, że jest w cieniu prezydenta, ale jest to również aluzja do „gospodarki cienia”, czyli do szarej strefy – przyp. red.], a przede wszystkim „szarą eminencją” czy też „zieloną eminencją” (w nawiązaniu do nazwiska prezydenta, ale też do wojskowej odzieży, noszonej zarówno przez Zełenskiego, jak i przez jego współpracownika). Amerykański portal Politico uznał Jermaka za jednego z pięciu najbardziej wpływowych Europejczyków w 2023 r. Wielu komentatorów, a także

byłych współpracowników Zełenskiego nazywa Jermaka drugą osobą w państwie. Spekuluje się nawet, że tak naprawdę to nie prezydent, tylko szef jego biura, rządzi Ukrainą z tylnego fotela. A już na pewno odgrywa kluczową rolę w polityce zagranicznej. Negocjuje z zagranicznymi partnerami, utrzymuje dobre, nieoficjalne kontakty z ważnymi politykami państw sojuszniczych, publikuje w zachodniej prasie odezwy, nawołujące do wspierania Kijowa.

Rocznik 1971. Urodzony w Kijowie, jako syn Ukrainki i Rosjanki. W rozmowie z izraelskimi mediami, zwracając uwagę na antysemityzm Putina, nazwał się „synem Żyda”. Co ciekawe, ta informacja nie pojawia się w oficjalnych notkach biograficznych Jermaka. Generalnie na temat życia prywatnego i rodzinnego drugiej albo pierwszej osoby w państwie niewiele wiadomo. Ojciec w czasach ZSRS był sowieckim dyplomatą, pracującym na placówce w Afganistanie. Matka urodziła się w Sankt Petersburgu. W wieku 77 lat zrobiła sobie tatuaż w barwach Ukrainy. Jermak dumnie ten tatuaż pokazywał mediom, żeby udowodnić, że jego matka z Rosją ma wspólne jedynie pochodzenie.

„Zielona eminencja” z wykształcenia jest prawnikiem. Ukończył Instytut Stosunków Międzynarodowych na uniwersytecie w Kijowie ze specjalizacją międzynarodowe prawo prywatne. W 1997 r. został współwłaścicielem kancelarii adwokackiej, która jako jedna z pierwszych na Ukrainie zajmowała się ochroną własności intelektualnej i praw autorskich. Jej klientami były ukraińskie i zagraniczne wytwórnie filmowe, w tym Disney, Pixar czy Universal. W 2011 r. kancelaria Jermaka wykonywała usługi prawne dla grupy medialnej Inter Media Group, właściciela stacji telewizyjnej Inter. Jej producentem generalnym był wówczas Wołodymyr Zełenski. Tak poznali się późniejsi przywódcy Ukrainy. I zaprzyjaźnili się. Jermak z show-biznesem związał się nie tylko jako prawnik od praw autorskich. Z powodzeniem próbował swoich sił jako producent filmowy. Założona przez niego firma Garnet Media Group wyprodukowała m.in. słowacko-ukraiński film „Meża”, który był najbardziej kasowy w historii słowackiego kina. Jermak posiada udziały w ponad 20 spółkach z różnych branż. W 2005 r. utworzył międzynarodowe

Jednak, jak wiadomo, od zwykłej ustawy ważniejsza jest ta zasadnicza. A według konstytucji właśnie wybory prezydenckie odbywają się co pięć lat, w ostatnią niedzielę marca ostatniego roku kadencji. Zgodnie z tymi wyliczeniami Zełenski dziś powinien albo nie być już prezydentem, albo rozpocząć drugą kadencję. W konstytucji nie ma ani słowa o odwoływaniu wyborów z jakiegokolwiek powodu. Z tej perspektywy patrząc, rację mają Rosjanie. Jednak, zgodnie z art. 108 konstytucji, urzędujący prezydent „wykonuje swoje obowiązki do momentu objęcia stanowiska przez nowo wybranego prezydenta”. Ten zapis wskazuje, że władza Zełenskiego jest legalna.

Takie stanowisko zajmuje nawet ukraińska opozycja. W tym również najwięksi polityczni wrogowie „sługi narodu”, czyli partia Solidarność Europejska Petra Poroszenki. Działacze tego ugrupowania za pewniają, że nie kwestionują legitymacji

■ stowarzyszenie Współpraca Ukraińsko-Gruzińska w Sferze Inwestycji Zagranicznych.

W 2007 r. został doradcą parlamentaryzisty z prorosyjskiej Partii Regionów, Elbrusa Tedejewa. Tedejew to jednak przede wszystkim znany sportowiec – wielokrotny medalista olimpijski w zapasach w stylu wolnym. Jermak zapewniał, że doradzał jedynie w sprawach ściśle związanych ze sportem. Jego kariera polityczna przyspieszyła w 2019 r. Zełenski po dojściu do władzy otaczał się w dużej mierze swoimi dawnymi przyjaciółmi i kontrahentami, którzy mogli wykazać się doświadczeniem w branży rozrywkowej, nie zaś w polityce. Jermak idealnie wpisuje się w ten model. Najpierw został doradcą prezydenta do spraw międzynarodowych. Wszedł w skład Narodowej Rady Inwestycyjnej oraz rady nadzorczej Ukroboronpromu – państwowego koncernu zbrojeniowego. Szybko dał się poznać jako zręczny negocjator. Uczestniczył w rozmowach ze współpracownikami Donalda Trumpa, dzięki którym udało się załagodzić aferę związaną z naciskami ówczesnego prezydenta USA na Zełenskigo. Negocjował również z Rosjanami. Jeszcze w czasie hybrydowej fazy konfliktu koordynował wymianę jeńców. W lutym 2020 r. został szefem biura prezydenta.

Kontrowersje wokół Jermaka związane są nie tylko z jego ponadprzeciętnym wpływem na prezydenta. Zarzucano mu już wszystko, co najgorsze w ukraińskiej polityce – od korupcji do współpracy z Rosją. Wiosną 2020 r. deputowany do Rady Najwyższej z ramienia partii Zełenskigo Geo Leros opublikował nagrania wideo, na których widać, jak brat polityka, Denys Jermak, obiecuje załatwić za pieniądze konkretne stanowiska w rządzie. Według Lerosa za tym korupcyjnym procederem miał stać sam Andriy Jermak. Sprawa trafiła do Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy (NABU). Do końca wyjaśniona nie została – zatrzymanego jednego z uczestników nagrania, ale wyszedł z za krat za kaucję. Kontrowersje budzi też postać zastępcy Jermaka – Ołeha Tatarowa. W czasach Janukowycza, gdy ukraińska milicja brutalnie pacyfikowała protesty na Majdanie, Tatarow był wysoko postawionym funkcjonariuszem MSW. Ciężą na nim również niewyjaśnione do dziś zarzuty korupcyjne – jeszcze

Amerykańscy dziennikarze twierdzą, że obaj politycy dzielą między siebie rolę dobrego i złego policjanta

jako prawnik prywatnej firmy miał kiedyś wręczyć łapówkę w zamian za korzyść dla firmy ekspertyzę. Sprawie ukrecono łeb, przekazując ją z niezależnej NABU do podległej prezydentowi SBU.

Również w 2020 r. Zełenski został ostrzeżony przez szefa brytyjskiego wywiadu MI6, że w jego ekipie pracuje „rosyjski kret”. Według „Kyiv Post” chodziło właśnie o Jermaka. Te zarzuty jednak nigdy się nie potwierdziły. Kolejną aferą, z którą usiłowano powiązać Jermaka, była „Wagnergate”. W przededniu wyborów prezydenckich na Białorusi w 2020 r. w Mińsku zostali zatrzymani rosyjscy najemnicy. Łukaszenka wykorzystał ich we własnej rozgrywce, udając, że walczy z wpływami Kremla, a potem odesłał ich do domu. Obecność wagnerowców na Białorusi miała związek z prowokacją ukraińskich i amerykańskich służb. Jej celem było ściągnięcie na Ukrainę i zatrzymanie Rosjan za zbrodnie wojenne, dokonane w Donbasie. Jermak oskarżany jest o to, że podjął decyzję o opóźnieniu operacji, co doprowadziło do jej fiaska.

Krytyka pod adresem Jermaka nie ucichła po wybuchu pełnoskalowej wojny z Rosją. Teraz opozycja i media, niechętne „zielonej eminencji”, skupiają się nie tyle na potencjalnych związkach z Moskwą, ile na wszechwładzy polityka. Latem 2022 r., w związku z masowymi przypadkami zdrady i korupcji, posypały się dymisje ukraińskich urzędników. Stanowisko stracił m.in. przyjaciel Zełenskigo, szef SBU Iwan Bakanow. Niechętne władzy media przypisywały inspirację zmian kadrowych Jermakowi właśnie. Sam Bakanow załżył się potem, że za każdym razem musiał kontaktować się z Zełenskim za pośrednictwem szefa jego biura. I to, zdaniem części mediów, zdawało się bardziej oburzające niż niekompetencja zwolnionego szefa SBU. Zmiany kadrowe określano jako czystki, których celem jest konsolidacja władzy w rękach Jermaka. Prawdopodobnie to również Jermak doprowadził do

zmiany stanowiska głównodowodzącego Siłami Zbrojnymi Ukrainy. Szef biura prezydenta uznał, że gen. Żałużny ze swoim autorytetem zagraża pozycji politycznej Zełenskigo.

„Zielona eminencja” natomiast później wielokrotnie potwierdził swoją przydatność na dyplomatycznym froncie. Zełenski na początku urzędkał świat swoimi emocjonalnymi wystąpieniami, później zaczął irytować również emocjonalnymi tyradami pod adresem tych, którzy nie dość gorliwie wspierają Ukrainę. A Jermak w tym czasie, po cichu, budował relacje z zachodnimi przywódcami, publikował teksty w zagranicznej prasie. Jak ten w „The Times of Israel”, w którym stwierdził, że „Ukraińcy padają ofiarą złej wojny Rosji, tak jak Żydzi padli ofiarami naziistów, którzy chcieli wykorzenić wszystkich Żydów”.

W zasadzie w sposób nieformalny kieruje ukraińską dyplomacją. Zbudował osobiste relacje z najpotężniejszymi politykami i urzędnikami amerykańskimi. Doradca Bidena do spraw bezpieczeństwa narodowego Jake Sullivan przyznał, że utrzymuje z Jermakiem stały, regularny kontakt telefoniczny. W połowie czerwca „zielona eminencja” organizuje w Szwajcarii międzynarodową konferencję na temat pokoju na Ukrainie, bez udziału Rosji. W ramach podobnej konferencji w ubiegłym roku w saudyjskiej Dżeddzie udało mu się zaprosić do rozmów przedstawicieli Chin. Według „The Washington Post” Jermak ma zabiegać o poparcie Globalnego Południa dla Ukrainy.

Zełenski ufa mu, bo też demonizowany w ukraińskich mediach szef prezydenckiego biura jest wobec swojego (formalnego) szefa bezwzględnie lojalny. Amerykańscy dziennikarze twierdzą, że obaj politycy dzielą między siebie rolę dobrego i złego policjanta. To Jermak jest tu „czarnym charakterem”. Mniej medialny, znany bardziej z zakulisowych działań niż z płomiennych przemówień, przez co budzący mniejszą sympatię. Za to skuteczny. Tyle że gdy Ukraina wróci do normalnej polityki, bez państwowej cenzury i dominacji rządowej propagandy, na wolnym politycznym rynku niepopularny Jermak niekoniecznie odniesie sukces. Będzie na szczycie tak długo, jak długo będzie tam Zełenski. I robi z pewnością, co w jego mocy, aby ta chwila trwała.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

To była jedna z najdziwniejszych bitew. Około 1 tys. przybyłych z Syrii dżihadystów sunnickich w ciągu zaledwie sześciu dni opanowało miasto, w którym stacjonowało ok. 30 tys. żołnierzy irackich i drugie tyle zmilitaryzowanej policji. Trzy lata później armii irackiej zajęło aż dziewięć miesięcy odbijanie Mosulu, mimo wsparcia lotniczego ze strony USA. Ten sukces terroryści zawdzięczali splotowi korzystnych dla nich okoliczności: demoralizacji irackiej armii, skorumpowanemu dowództwu, które wolało torturowanie więźniów w tajnych więzieniach od walki z wrogiem, a także niechęci sunnickiej większości mieszkańców miasta do szyickiego premiera Nuriego al-Malikiego.

Niespełna trzy lata wcześniej Amerykanie (a nieco wcześniej również Polacy) wycofali się z Iraku. Wydawało się, że Al-Kaida oraz zwolennicy obalonego w 2003 r. Saddama Husajna zostali w dużej mierze pokonani po tym, jak USA porozumiały się z sunnickimi plemionami, których oddziały, finansowane i uzbrojone przez Amerykanów, przepędziły terrorystów. Schronili się oni w Syrii, w której właśnie zaczynała się wojna domowa. Jednak gdy w 2011 r. Amerykanie się wycofali, al-Maliki zaczął prześladowania sunnitów, co wykorzystało ISIS.

DŻIHADYŚCI JESZCZE BRUTALNIEJSI

Uwadze świata umknęło to, że iracka Al-Kaida od samego początku swego istnienia różniła się od reszty tej organizacji. Jej pierwszy lider, pochodzący z Jordanii Abu Musab az-Zarkawi, nie tylko był wyjątkowo brutalny, lecz także uważał, że głównym celem ataków powinni być szycy cywile, których trzeba wyrżnąć w pień. Po wycofaniu się terrorystów do Syrii przywództwo nad organizacją przejął w 2010 r. Ibrahim Awad al-Badri, lepiej znany jako Abu Bakr al-Bagdadi. W 2013 r. wypowiedział on wojnę syryjskiej Al-Kaidzie i przejął większość kontrolowanych przez nią terytoriów, w tym Rakkę, gdzie stworzono później stolicę ISIS i centrum planowania ataków terrorystycznych w Europie. W chaosie syryjskiej wojny domowej walki między dwoma grupami dżihadystów nie wydawały się jednak

zbyt istotnym wydarzeniem i światowa opinia publiczna wciąż się tym specjalnie nie interesowała. Nawet upadek Mosulu nie wstrząsnął początkowo światem, bo przecież był on przyzwyczajony, że w Iraku sunnici biją się z szyitami, bomby wybuchają i pełno jest terrorystów.

ISIS wiedziało jednak, jak zdobyć rozgłos i pokazać światu, że jest nową jakością w dżihadystycznym terroryzmie. Od teraz egzekucje i masakry stały się nie tylko bardziej brutalne, lecz także były reżyserowane w profesjonalny sposób, co potęgowało przerażający efekt. Już dwa dni po upadku Mosulu miał miejsce

były na nadbrzeżu Tygrysu, gdzie następował strzał w głowę, a potem martwe ciało lądowało w rzece.

To był dopiero początek. 29 czerwca w Wielkim Mecze al-Nuri w Mosulu Bagdadi ogłosił się „kalifem”, czyli przywódcą wszystkich muzułmanów, i przyjął nowe imię – Ibrahim. Niemal równo trzy lata później, 21 czerwca 2017 r., ten sam meczet został wysadzony w powietrze przez ISIS, gdy wiadomo było, że utrata przez nie kontroli nad miastem jest już przesądzona. Tworzone przez Bagdadiego państwo zostało nazwane Dawla al-Islamija, czyli po prostu

Groźba odrodzenia ISIS



Witold Repetowicz

Dziesięć lat temu niewielkie siły dżihadystów zaatakowały drugie co do wielkości miasto Iraku: Mosul. 10 czerwca 2014 r. rozpoczęła się nowa era w historii światowego terroryzmu. Kilka dni później Państwo Islamskie ogłosiło „kalifat”, a wkrótce potem drastycznie wzrosło zagrożenie terrorystyczne w Europie. Chociaż w 2017 r. zdołano przetrącić „kalifatowi” kręgosłup, to ISIS wciąż istnieje

pierwszy szokujący spektakl. ISIS podstępem wywabiło tysiące irackich rekrutów z bazy Camp Speicher znajdującej się niedaleko Tikritu, rodzinnego miasta Saddama Husajna, a następnie oddzieliło szyitów od sunnitów i tych pierwszych wywiozło do letniej rezydencji obalonego dyktatora. Tam nagrało krwawy film ze zbiorowej egzekucji co najmniej 1,7 tys. osób. Setki ofiar prowadzone

Państwo Islamskie, i nie miało zamiaru starać się o międzynarodowe uznanie. Było wcieleniem podziału świata na Dar al-Harb, czyli „świat wojny” pozostający poza kontrolą islamu, oraz Dar al-Islam, czyli „świat islamu”, podporządkowany kalifowi. Wszystko zatem, co nie było podległe Państwu Islamskiemu, było „światem wojny” i celem podboju. Ponadto dla ISIS muzułmanami byli tylko

■ ci wyznawcy islamu, którzy zgodzali się z jego ideologią. Reszta, a szczególnie szyici, była uznana za odstępców i zaślugała na śmierć. Miejscowi chrześcijanie, jako „lud księgi”, teoretycznie, zgodnie z Koranem, powinni być chronieni. W praktyce jednak ISIS nakładało na nich specjalny podatek „dżizję” o takiej wysokości, że mieli oni do wyboru tylko porzucenie całego mienia i ucieczkę lub śmierć za jego niezapłacenie.

KACI Z BRYTYJSKIM AKCENTEM

Później przyszła kolej na „beatlesów”, czyli czterech katów ISIS, którzy odcinając skazańcom głowy przed kamerą, mówili po angielsku z wyraźnym brytyjskim akcentem. Najbardziej charakterystycznym z nich był Jihadi John, czyli pochodzący z Londynu Mohammed Emwazi. To on dokonał pierwszej, starannie wyreżyserowanej egzekucji, której ofiarą padł amerykański dziennikarz James Foley, porwany dwa lata wcześniej w Syrii. Razem z Foleyem więziony był też inny dziennikarz – Brytyjczyk John Cantlie, który jednak zamiast ofiarą „beatlesów” stał się gwiazdą propagandy ISIS. W służbie „kalifatu” nagrywał propagandowe filmiki i audycje, przekonując do „racji” ISIS i oskarżając Zachód, w szczególności USA i Wielką Brytanię, o zbrodnie przeciwko muzułmanom. Trudno powiedzieć, czy robił to, walcząc o swoje życie, czy też w jakiś sposób wierzył w to, co mówi. Nigdy się tego nie dowiemy, bo zniknął w czasie bitwy o Mosul, a jego ciała nigdy nie znaleziono.

MEDIALNI TERRORYŚCI

Audycje Cantlie’a były częścią propagandowej ofensywy ISIS, które stworzyło profesjonalne media: własną agencję prasową Amaq i publikowane w Internecie w kilku językach czasopismo „Dabiq” przemianowane później na „Rumiyah”. ISIS miało ekspertów w dziedzinie mediów i nowoczesnych narzędzi komunikacji. Stworzyło specjalne aplikacje na telefony i świetnie poruszało się w mediach społecznościowych. W rezultacie dla milionów muzułmanów ideologia ISIS stała się atrakcyjna, a tysiące ruszały walczyć w jej szeregach. Z Europy wyjechało tam ok. 6 tys. osób, z czego ok. 1 tys. wróciło po upadku ISIS. Choć Polska, z uwagi na niewielką liczbę muzułmanów



Członkowie kurdyjskich służb bezpieczeństwa strzegą obozu al-Hawl, gdzie przebywają rodziny terrorystów

FOT. DELIL SOULEIMAN/AFP/EAST NEWS

i odmowę przyjmowania nielegalnych migrantów, nie liczyła się zbyt na mapie aktywności ISIS, to jednak kilku Polaków również trafiło do tej organizacji.

Nie wszystkie egzekucje ISIS przeprowadzało poprzez odcinanie głowy. W lutym 2015 r. nakręcony został koszmarny film ze spalania żywcem jordańskiego pilota wziętego do niewoli. Szokujące były nie tylko sam sposób przeprowadzenia egzekucji, lecz także iście hollywoodzki styl filmu z niej nakręconego. Sadystycznemu obrazowi towarzyszyła ścieżka dźwiękowa składająca się z naszidów, czyli religijnych pieśni śpiewanych a cappella. Kilkanaście miesięcy później w podobny sposób spalono dwóch wziętych do niewoli żołnierzy tureckich. Jednakże największą zbrodnią ISIS było ludobójstwo dokonane na jazydach, niemuzułmańskiej grupie religijnej żyjącej w północnym Iraku. Rozpoczęło się ono w sierpniu 2014 r., gdy ISIS zaatakowało zamieszkaną przez nich region Sindżar. Łącznie wymordowano ok. 5 tys. osób, a kilkanaście tysięcy kobiet i dziewczyn sprzedawano jako niewolnice seksualne. Małym chłopcom prano natomiast mózgi, narzucając nową, dżihadystyczną tożsamość i szkoląc ich na terrorystów.

Po zdobyciu Mosulu ISIS rozpoczęło błyskawiczną ofensywę na Bagdad,

podchodząc na odległość zaledwie 40 km od irackiej stolicy. Armia rządowa była w rozsypce, a zachodni eksperci wieszczili koniec Iraku. Wtedy jednak duchowy lider irackich szyitów ajatollah Ali Sistani wezwał do dżihadu obronnego przeciwko ISIS i w odpowiedzi na to powstały liczne milicje złożone głównie z szyitów. Sunnici, którzy początkowo przyjmowali terrorystów z otwartymi rękami, szybko tego pożałowali, widząc skalę mordów oraz narzucanie zasad niezgodnych z iracką tradycją islamu. Sunnici nie chcieli bowiem wymordowania szyitów, tylko powrotu porządku panującego w kraju przed obaleniem Saddama Husajna, gdzie to oni rządili, a szyici i Kurdowie mieli ich słuchać. Kurdowie początkowo byli neutralni i świętowali oczekiwany upadek Iraku, licząc na to, że to oznacza dla nich niepodległość. Ale w sierpniu 2014 r. ISIS nagle zaatakowało Kurdów i tylko wsparcie lotnicze ze strony USA uratowało ich przed katastrofą.

Pierwszym krajem, który wysłał Irakowi pomoc przeciwko ISIS, był jednak Iran, który zrobił to jeszcze w czerwcu 2014 r. Zaangażowanie Iranu wynikało po części z tego, że szyickie oddziały walczące z ISIS były mocno powiązane również z szyickim Iranem. Ale chodziło też o wła-



Niespełna dwa miesiące później Irak ogłosił zwycięstwo nad ISIS. Ostatni znaczący bastion „kalifatu” w Syrii, miasto Baghuz, padł jednak dopiero w lutym 2019 r.

„Kalifat” się skończył, ale historia ISIS na tym się jednak nie skończyła. Faktem jest, że utrata terytorium mocno osłabiła zdolności ISIS dokonywania ataków terrorystycznych i ograniczyła jej możliwości werbunkowe. Sam Bagdadi w styczniu 2017 r., za pomocą kilkudziesięciu „żywych torped”, czyli toyot kierowanych przez terrorystów samobójców, przebił się przez okrążenie Mosulu i dotarł do Syrii. W październiku 2019 r. wytropili go tam Kurdowie, a Amerykanie dokonali dzieła. Okrążony „kali” wysadził się w powietrze, zabijając przy okazji dwoje swoich dzieci. Jego kolejni następcy nie odgrywali już większej roli, ale pozostały ideologia, a także zniszczenia, rany psychiczne i wyprane mózgi dzieci.

Obecnie największe zagrożenie stanowi obóz al-Hawl w kontrolowanej przez Kurdów Syrii Północno-Wschodniej. Przebywa tam ok. 50 tys. członków rodzin terrorystów ISIS i jest to jakby odrębna planeta. Kurdyjskie oddziały strzegą go tylko z zewnątrz, by nikt się nie wydostał, i od czasu do czasu przeprowadzają operacje antyterror-

Jeśli rodziny obozu al-Hawl z niego pierzchną, to wiele z nich skieruje się do Europy, udając uchodźców

rystyczne w środku. Wewnątrz obozu mieszkają głównie fanatycznie oddane ideologii ISIS wdowy po terrorystach, które kontynuują dzieło indoktrynacji swoich dzieci, przekonując swych synów, że celem ich życia jest wysadzić się, zabijając „niewiernych”, a córki, że ich rolą jest bycie inkubatorami kolejnego pokolenia dżihadystów. Kurdowie nie mają środków, by poradzić sobie z tą sytuacją, a świat nie jest zainteresowany, by im w tym pomóc. Tymczasem wiele osób w tym obozie przyjechało do Syrii z Europy. O nich nasz kontynent w szczególności pragnie zapomnieć, zostawiając

problem Kurdów. Co jakiś czas, podczas antyterrorystycznych rajdów wewnątrz obozu, odnajdywane są tam wciąż osoby porwane przez ISIS w 2014 r.

O ile sytuacja w Iraku jest obecnie w miarę stabilna i odrodzenie się ISIS tam raczej nie grozi, o tyle w Syrii jest inaczej. Kraj wciąż jest podzielony, a wojna domowa niezakończona. Największe zagrożenie ponownej destabilizacji i w rezultacie odzicia ISIS wynika z działań Turcji, która ustawicznie grozi atakiem na Kurdów. W takiej sytuacji nastąpi utrata kontroli nad obozem w al-Hawl i jego mieszkańcy stamtąd pierzchną. Wiele z nich skieruje się zapewne do Europy, udając uchodźców. Ich intencje będą równie pokojowe jak Marsjan ze słynnego filmu Tima Burtona. W tym wypadku nie będzie to jednak komedia, ale tragedia.

ISIS jest też wciąż aktywne poza swoją kolebką, tj. Syrią i Irakiem. Chodzi przede wszystkim o Afrykę Północną oraz Afganistan. Rozciągający się między Saharą a afrykańskim buszem Sahel od kilku lat jest głównym ośrodkiem islamskiego terrorystów. Tak zwane Islamskie Państwo Wilajetu Sahel stara się konkurować ze znacznie silniejszą na tych terenach Al-Kaidą, a bliskość Europy oraz pojawienie się na tych terenach rosyjskich najemników powodują, że Europa nie może ignorować tego zagrożenia. Natomiast afgańskie „Państwo Islamskie Wilajetu Chorasán” walczy głównie z Talibami, a ostatnio za cel wzięło sobie również Rosję (jako sojuszniczkę talibów), dokonując ataku pod Moskwą.

Pojawienie się „kalifatu” 10 lat temu nie byłoby możliwe, gdyby nie destabilizacja Syrii spowodowana arabską wiosną i konflikt szyicko-sunnicki w Iraku. ISIS jest jak pasożyt żerujący na chaosie i teraz czeka na swoją drugą szansę. Od samego początku funkcjonowało bowiem na trzech płaszczyznach: terytorialnej, terrorystycznej i ideologicznej. Terytorialnie wprawdzie zniknęło, a terrorystycznie znacznie osłabło, ale ideologia pozostała. W kwietniu br. naczelny dowódca sił kurdyjskich w Syrii Mazlum Abdi stwierdził, że groźba odrodzenia ISIS jest ostatnio coraz większa, a jego siły nie dostają dostatecznego wsparcia w zwalczaniu tego zagrożenia.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

sne bezpieczeństwo, bo gdy ISIS doszło do granicy z Iranem, w kraju tym zaczęli się organizować zwolennicy tej organizacji i dokonywać ataków terrorystycznych. Hordy ISIS nie zdołały przekroczyć irańskiej granicy, ale za to „kalifat” zaczął tworzyć swoje „prowincje”, m.in. w Libii, Jemenie i Afganistanie. A jesienią 2015 r. ISIS, korzystając z trwającego w Europie kryzysu migracyjnego, zaczęło wysyłać terrorystów, by organizowali na naszym kontynencie ataki terrorystyczne. Najbardziej krwawe miały miejsce w Paryżu 13 listopada 2015 r. (zginęło 130 osób, a ponad 400 zostało rannych), 22 marca 2016 r. w Brukseli (32 zabitych oraz 340 rannych) i 14 lipca w Nicei (86 zabitych oraz prawie 450 rannych).

IDEOLOGIA POZOSTAŁA

Przełom w wojnie z Państwem Islamskim nastąpił jednak nie w Iraku, ale w Syrii. Pierwszą klęską ISIS była bitwa stoczona z tamtejszymi Kurdami o Kobane. Wsparcie udzielone w listopadzie 2014 r. przez USA (naloty na pozycje ISIS) pozwoliło kurdyjskim oddziałom przejść do kontrofensywy. W październiku 2017 r., po trwającej cztery miesiące bitwie, ISIS utraciło kontrolę nad Rakką, co spowodowało znaczące obniżenie zagrożenia terrorystycznego w Europie.



Parada „dumy” osób LGBT+, Berlin, 22 lipca 2023 r.

FOT. OMER MESSINGER/GETTY IMAGES

Genderrepublik Deutschland



Jan Bogatko z Berlina

1 listopada 2024 r. przestanie istnieć Republika Federalna Niemiec. Oficjalnie wprowadzie nazwa ta pozostanie jeszcze jakiś czas w obiegu, ale sztandar jest już pseudotęczyowy – zrealizowano kolejny etap III marksistowskiej rewolucji bolszewickiej: rewolucji seksualnej, rewolucji płciowej, inaczej gender

Gender, Gender, über alles, über alles in der Welt” – śpiewa niemiecka centrolewica. To hymn na czasie. 12 kwietnia 2024 r. niemiecki Bundestag przyjął w Berlinie większością 374 głosów przeciwko 251 przy 11 wstrzymujących się ustawę o zaskakującej nazwie „Selbstbestimmungsgesetz”, co oznacza „ustawa o samostanowieniu”. O czyje i jakie samo-

stanowienie tutaj chodzi? Rzecz jasna, chodzi o samostanowienie LGBT itd.

Ustawa koalicji kanclerza Olafa Scholza rządzącej w Berlinie, każącą wątpić w zdrowy rozsądek dumnej niemieckiej kasty prawniczej, przyjęta została także głosami legalnie działającej w Niemczech SED (komunistyczna partia NRD) pod nazwą Die Linke (lewica). Głos zabrali też jej przeciwnicy: zlewicowana chadecja, AfD i BSW Sahry Wagenknecht (zagadka, bo to lewaczka w stylu Róży Luksemburg). Niemiecki Bundestag wyniósł tym samym ideologię gender na ołtarz republiki. A przecież jeszcze tak niedawno niemiecka lewica zarzucała konserwatystrą (naprawdę poza AfD w zasadzie takich tutaj nie ma) kłamstwo, kiedy mówili oni o „ideologii gender”.

PRZESUWANIE GRANIC

Marksieści (spinelliści czy jak ich tam zwał), ojcowie „Nowej Europy”, powoli i delikatnie przygotowywali mało inteligentnych Europejczyków do rewolucji. Dał im przykład Stalin, przydzielając zgoła katolickich kapelanów do polskich sowieckich jednostek wojskowych. Metoda jest znana. Trafnie opisał ją kanadyjski psycholog Jordan

Peterson (komunistyczna „Polityka” nie jest w stanie go ścierpieć). Peterson opisuje to zjawisko następująco: „Jeśli chcę deptać ci po piętach, to muszę się uciec do fortelu. Najpierw zbliżę się o dwa milimetry. I tak dalej, aż do tego punktu, kiedy zaczniesz protestować. Wtedy natychmiast zatrzymuję się. I czekam. Kiedy wrzawa ucichła, to znowu stawiam kroczek do przodu”. I tak przesuwa się granice: milimetr za milimetrem.

Tak zwana ustawa o samostanowieniu może okazać się jednak tylko kolejnym etapem w ustawicznym przesuwaniu granic przez rewolucyjną lewicę. Myli się polityk wchodzący w skład koalicji Scholza partii FDP, Marco Buschmann (minister sprawiedliwości w Berlinie), który uważa, że po 1 listopada 2024 r., czyli po wejściu w życie ustawy „o samostanowieniu”, lewicowi partnerzy w rządzie zadowoleni spoczną w forso-waniu rewolucji. Nie! Oni już pracują nad kolejnym odcinkiem antyhumanitarnego serialu. Milimetr za milimetrem.

Kierunek ofensywy przeciwko cywilizacji czerwono-zielonym bolszewikom wskazuje jeden z grupy bez mała 40 „pełnomocników rządu”, mianowicie komisarz do spraw „akceptacji różno-

rodności seksualnej i płciowej”, w skrócie: „queerowy komisarz federalny do spraw osób trans, inter i niebinarnych”. Nazywa się on Sven Lehmann, należy do partii Zielonych, a w prawdziwym życiu jest sekretarzem stanu w Ministerstwie Rodziny. Jako komisarz reprezentuje pół promila niemieckiego społeczeństwa! Do tego Niemcy kochają (i kochali zawsze) długie tytuły, o wadze odwrotnie proporcjonalnej do ich znaczenia. Jak np. *Donaudampfschiffahrtsgesellschaftskapitän* (kapitan towarzystwa żeglugi parowej na Dunaju). Albo nazwy ustaw, jak *Rindfleischetikettierungsüberwachungsaufgabenübertragungsgesetz* – Ustawa o przekazywaniu obowiązków nadzoru znakowania mięsa wołowego.

WYSTARCZY OŚWIADCZENIE

12 kwietnia 2024 r. rządowa rozgłosnia radiowa (oficjalnie nadawca publiczny) Deutschlandfunk, DLF, zakomunikowała Niemcom nowinę: Bundestag wzmocnił prawa „ludzi transpłciowych, międzypłciowych i niebinarnych”. Z chwilą wejścia w życie nowej ustawy poprzez zwykłe oświadczenie mogą oni zmienić w urzędzie stanu cywilnego wpis o płci czy imię, świadectwo lekarskie jest niepotrzebne. Autorzy ustawy, politycy skrajnej lewicy, powołują się na zapis konstytucyjny, który w tej formie nie istnieje. Ustawa Zasadnicza RFN w art. 1 mówi o godności człowieka w związku z ogólnym prawem osobowości zgodnie z art. 2. Nowa ustawa precyzuje tę normę „tak, jak rozumie ją lewica”, wzmacniając prawa osób, które – jak nakazuje ideologia gender – nie odpowiadają binarnemu modelowi kobiety i mężczyzny. Jednak to, kto nie odpowiada jakoby temu modelowi, definiuje nie nauka o człowieku, lecz opisy lewicowych aktywistów. One to stanowią najważniejszy argument czerwono-zielonych rewolucjonistów, których celem jest przekształcenie społeczeństwa w bezwonną, łatwą do zarządzania masę.

W praktyce oznacza to, że kandydat lub kandydatka do zmiany wpisu w rubryce „imię” i „płeć” od dnia Wszystkich Świętych tego roku mogą w USC złożyć oświadczenie woli. Wystarczy zgłosić się do urzędu z trzymiesięcznym wyprzedzeniem. Do oświadczenia woli dołączyć trzeba deklarację, że osoba je składająca

jest przekonana, że nowo wybrana płeć najlepiej odpowiada jego tożsamości, i że zdaje ona sobie sprawę ze skutków jej złożenia. Tymczasem jest to właśnie niemożliwe ze strony osób labilnych, których z uwagi na ideologiczny zakaz nie można poddać leczeniu psychiatrycznemu. Ale i tu czerwono-zielony prawodawca pozostawia zmanipulowanym nieszczęśnikom otwartą furtkę. Po roku można powtórzyć procedurę i z Ivana będzie Ivanka lub na odwrot. Proste jak ślub i rozwód w sowieckim urzędzie za Aleksandry Kołłątaj! Jakieś konsultacje? Niepotrzebna strata czasu.

DZIECI MOGĄ ZMIENIAĆ PŁEĆ

Proces zmiany płci stoi otworem także przed dziećmi. W tym wypadku wymagana jest jeszcze zgoda rodziców lub opiekunów prawnych. W razie sporu rozstrzyga sąd rodzinny. A potem wszystko idzie urzędową drogą. Nowe imię i nową płeć wpisuje się do paszportu; w dowodzie osobistym brak rubryki „płeć”. Nowa kobieta będzie mogła zatem wejść do sauny dla pań, które się zapewne cieszą z jej wizyty. Ustawa o równości praw płci pozwoli też paniom o płaskim biuście osiągać wymarzone medale. Wprawdzie przy ocenie wyników sportowych nie trzeba uwzględniać zmiany płci. Nie trzeba, ale można. Ustawa o „samostanowieniu” zakazuje grzebać w czyjejs przeszłości pod karą do 10 tys. euro. A tak przy okazji: prawa prawami, ale na wypadek wojny mężczyźni pozostaną (mimo wszelkich ustawowych pokus) mężczyznami.

O ile nielubiani i niepopierani przez społeczeństwo kanclerz Niemiec Olaf Scholz, (58 proc. Niemców uważa jego pracę na stanowisku szefa rządu za złą) na platformie X wyraża radość z ustawy niszczącej cywilizację, o tyle opozycja zapowiada na wypadek wygranej w wyborach (w 2025 r.), że odwoła ustawę. Posłanka CSU w Bundestagu, Andrea Lindholz, stwierdziła w telewizji ZDF: „Teraz każdy może raz do roku po prostu zmienić płeć bez informowania urzędów”. Projekt ustawy przewidywał jeszcze informowanie Bundeskriminalamtu, ale w ustawie już tej regulacji brak. Dorothee Bär, wiceprzewodnicząca klubu poselskiego chadecji, mówi: „Koalicja postępuje nieodpowiedzialnie, ustawa wyrządza

więcej szkód niż pożytku... Jeśli pięcioletnie dziecko wyraża zgodę, kiedy jego rodzice występują o zmianę jego płci, to mamy do czynienia z absurdem”.

Dla Susanne Hierl, polityk z tej samej partii, ustawa o „samostanowieniu” to „katastrofa dla ochrony praw dzieci i młodzieży i równouprawnienia kobiet”. Była polityk partii komunistycznej (Die Linke) Sahra Wagenknecht ostro obeszła się z ustawą. Szefowa nowej partii BSW stwierdziła w Bundestagu, że „jeśli mężczyźni przez zwykłe oświadczenie woli mogą stać się kobietami, to prawa ochrony kobiet i bezpieczne przestrzenie dla kobiet należą już do przeszłości”. Wagenknecht wskazała na negatywny przykład z Hiszpanii: tam mężczyźni w oparciu o podobną ustawę uzyskali dostęp do stref chronionych dla kobiet. Wychowawcy młodzieży i psycholodzy biją na alarm. Bernd Ahrbeck z Międzynarodowego Psychoanalitycznego Uniwersytetu w Berlinie, zaproszony jako ekspert w procesie ustawodawczym do Bundestagu, oświadczył, że „dzieci często godzą się znowu z pierwotną płcią”. Proces zatem nadaremny. A trauma pozostaje. Krytycy zachwyty nad ustawą ministra sprawiedliwości Marca Buschmanna (dla niego stanowi ona wyraz realizacji praw człowieka) zwracają uwagę, że – o czym najwidoczniej nie pomyślano, uchwalając ustawę o „samostanowieniu” – płeć jest podstawową kategorią demograficzną. Dla ministra krytyka to „patologiczne fantazje”.

Jak utrzymywał Carl Jung, największym zagrożeniem cywilizacyjnym nie są ani przyroda, ani choroba, lecz ludzka nieumiejętność radzenia sobie z własną mentalnością. To odwieczna prawda potwierdzona zjawiskami w krytycznych okresach, gdy chora mentalność staje się normą opisywaną jako psychoza epidemiczna (obłęd zbiorowy). Ani głód, ani trzęsienie ziemi, mikroby czy nowotwory nie zagrażają człowiekowi w takim stopniu, jak niszcząco potrafi być zębna zbiorowa psychoza, która okazuje się niszczycielska, a przeciwdziałanie jej – niemożliwe. Widać to wyraźnie w systemach totalitarnych.

Należy mieć nadzieję, że i ta rewolucja pożre swoje dzieci. Szybciej niż obie poprzednie. Że końca świata nie będzie.



PAPIEŻ PRZECIW „PEDALSTWU”

Gazety „La Repubblica” i „Corriere della Sera” ujawniły słowa papieża, które Franciszek miał wypowiedzieć w czasie zamkniętego spotkania z biskupami. Według relacji mediów papież stwierdził, że w seminariach jest za dużo „frocaggine”, co po polsku można przetłumaczyć na „pedalstwo”. Anonimowi biskupi komentowali dziennikarzom to zdarzenie, tłumacząc, że Franciszek jest Argentyńczykiem i mógł nie zdawać sobie sprawy, jak w języku włoskim obraźliwe jest tego typu stwierdzenie.

FOT. GREGORZ GAŁAŻKA/MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

BALONOWY ATAK ŚMIECIOWY

Aktywiści z Korei Południowej i uciekinierzy z północnokoreańskiego reżimu od lat wysyłają nad terytorium Korei Północnej balony z ulotkami wymierzonymi w reżim. Teraz Korea Północna odpowiedziała. Nad Koreą Południową wykryto ponad 90 balonów z doczepionymi ładunkami – znaleziono w nich śmieci i odchody. Minister obrony Korei Północnej wydał oficjalne oświadczenie, w którym zapowiedział, że za wysyłanie „brudnych rzeczy” nad jego kraj „stosy makulatury i śmieci” zostaną wysłane na Południe.

NOWA PANDEMIA, NOWE SZCZEPIONKI

Jak informują media, „w obliczu nowej pandemii” Stany Zjednoczone i Europa przygotowują się do produkcji szczepionek przeciw kolejnemu wirusowi. Tym razem chodzi o ptasią grypę. Nową szczepionkę miałby dostawać m.in. pracownicy ferm drobiu, zatrudnieni w przemyśle mleczarskim oraz weterynarze.

UDAWALI ZATRUCIE

Iwan Zajczenko, właściciel sieci sklepów w Rosji, chlapnął coś o milionie rubli odszkodowania dla każdego, kto zatrąby się towarem z jego półek. Mieszkańcy Jekaterynburga próbowali zdobyć te pieniądze. Według Zajczenki część z nich udawała zatrucie salmonellą, a część posuwała się np. do lizania jajek, by mieć szansę naprawdę się zatruć.

ZJADŁ CHIPSA I UMARŁ

Lekarze ze stanu Massachusetts potwierdzili, że ubiegłoroczna śmierć 14-letniego Harrisa Wolblaha związana była z akcją promocyjną producenta chipsów. Zabawa polegała na zjedzeniu przysmaku doprawionego ekstremalnie pikantnymi paprykami carolina reaper oraz naga viper. Nastolatek miał wrodzoną wadę serca, po zjedzeniu przekąski nastąpiło u niego „zatrzymanie krążenia i oddechu po spożyciu substancji o wysokim stężeniu kapsaicyny”. © © **Łukasz Zboralski**



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nikt nie jest bezpieczny?

Prawdopodobnie nikt z nas nie będzie miał pracy – ogłosił pod koniec maja na konferencji iVaTech 2024 w Paryżu 52-letni miliarder Elon Musk, przekonując, że jeśli ktoś będzie chciał wykonywać pracę, która będzie raczej jego hobby, to będzie mógł to robić. W przeciwnym razie – prognozuje Musk – to sztuczna inteligencja i roboty dostarczą dowolne towary i usługi. Najbogatszy człowiek świata przekonywał w Paryżu, że brak obowiązku pracy nie musi być czymś złym.

Skoro jednak nikt nie może mieć gwarancji pracy w przyszłości, to

кто i z czego będzie się utrzymywał? Według miliardera konieczne będzie wprowadzenie powszechnego dochodu podstawowego, czyli regularnych wypłat od rządu niezależnie od tego, czy się pracuje czy też nie. Na automatyzacji krocie zarobią bowiem tylko niektórzy, a tymczasem większość ludzi pozostanie bez środków do życia.

Chociaż już teraz przybywa zawodów, które sztuczna inteligencja z powodzeniem zastępuje za dużo niższe pieniądze, to wielu ekspertów nie zgadza się z kreśloną przez Muska wizją świata wolnego od pracy. Według sondażu prze-

prowadzonego przez The Chartered Institute for IT tylko 14 proc. zgodziło się z prognozą świata bez pracy, a 72 proc. nie spodziewa się ziszczenia tej wizji. Zdaniem wielu Musk celowo używa hiperboli, aby jego słowa trafiły na nagłówki gazet.

Opublikowany w tym roku raport naukowców z MIT Computer Science and Artificial Intelligence Lab wskazał z kolei na ekonomiczne ograniczenia automatyzacji pracy. Jego autorzy zwrócili uwagę, że w wielu wypadkach automatyzacja byłaby po prostu nieopłacalna. Przynajmniej na razie... © ©

Wyjątkowa i stylowa
**CZAPKA
TYPU TRUCKER**
JUŻ W PRZEDSPRZEDAŻY!



Wyraź swoje przekonania
i pokaż na **czym naprawdę**
Ci zależy!

**Zamów
już dziś na:**

 www.sklep.tvrepublika.pl



FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Czerwona „ministra”

Bezsprzecznie najbardziej wyrazistymi postaciami „uśmiechniętej koalicji” – i to niestety nie tylko ze względu na jaskrawe, nawiązujące głównie do czerwieni ubiory – są reprezentantki Lewicy. Wyrazistość ta przejawia się głównie w radykalnym przekazie, który przez wiele lat uchodził na polskiej scenie politycznej za egzotykę.

Wyposzczone od władzy postkomunistyczne środowiska (ostatni raz polityczne mutacje PZPR były u władzy aż 18 lat temu) są tak bardzo spragnione zmian, że dystansują swoich koalicjantów w zapale konstruowania wszystkiego na nowo. Czerwona gwardia radykalnych członkiń Lewicy, na czele z Katarzyną Kotulą, Barbarą Nowacką i Agnieszką



Jakub Wozinski

Minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk żongluje niebezpiecznymi dla naszych portfeli oraz wolności propozycjami

Dziemianowicz-Bąk, odpowiada za jedno z najbardziej szkodliwych projektów nowego rządu, jak choćby proponowane wprowadzenie penalizacji tzw. mowy nienawiści czy też okaleczenie programu nauczania w szkołach. Czerwone ministery niesie wciąż (zła) energia, którą zaprezentowały w czasie czarnych marszów, ale już wkrótce może spotkać

je spory zawód, gdyż nie wszystkim koalicjantom podobają się ich daleko idące propozycje.

SOCJALIZM Z NIEMIECKIM POLOREM

Sprawująca funkcję ministra rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk chciała pierwotnie odpo-

wiać w rządzie za edukację. Kierując resortem odpowiadającym za politykę społeczną, będzie miała jednak sporą przestrzeń do realizacji swoich socjalistycznych idei, którymi fascynowała się jeszcze w okresie kształcenia na Uniwersytecie Wrocławskim. Zamiłowanie do socjaldemokracji ma jednak u Dziemianowicz-Bąk wyraźnie niemiecki poler. Szefowa resortu rodziny, pracy i polityki socjalnej od kilkunastu lat była związana m.in. z Ośrodkiem Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle'a we Wrocławiu. Jak przystało na organizację mającą za patrona niemieckiego socjalistę, ośrodki ów bardzo często organizuje wspólne debaty i imprezy m.in. z finansowaną przez niemiecki rząd Fundacją im. Friedricha Eberta (jako ciekawostkę warto wspomnieć, że jednym z wspólnych dzieł tej niemieckiej fundacji, organizowanym corocznie razem m.in. z Fundacją Aleksandra Kwaśniewskiego „Amicus Europae” czy też Krytyką Polityczną, jest tzw. Akademia Demokracji Socjalnej, w czasie której przeprowadza się m.in. warsztaty pieśni rewolucyjnych).

Udzielająca się na łamach m.in. „Krytyki Politycznej” Dziemianowicz-Bąk, tak jak większość polityków Lewicy młodego pokolenia, jest dużo bardziej radykalnie usposobiona niż stara postpezetpeerowska gwardia. Szefowej resortu rodziny, pracy i polityki społecznej zdarzało się już krytykować w ostrych słowach m.in. Leszka Millera, zarzucając mu, że wcale nie jest lewicowym politykiem. W odróżnieniu od starszych kolegów i koleżanek, którzy robili kariery jeszcze w minionym ustroju, Dziemianowicz-Bąk zalicza się do pokolenia, które wzniosło na ulicach barykady nienawiści, wyzwisk i pogardy w czasie czarnych protestów. Wywodząca się z Dolnego Śląska polityk już w 2016 r. została odnotowana przez magazyn „Foreign Policy” na liście Global Thinkers za organizację czarnych marszy. Strategia mobilizacji ulicznej w imię rzekomej obrony praw kobiet okazała się na tyle skuteczna, że już w 2019 r., mając zaledwie 35 lat, dostała się do Sejmu.

Po zwycięstwie uśmiechniętej koalicji przed „Globalną Myślicielką” z szeregow Lewicy ostrzegał jednak nawet jej własny ojciec. Uwzględniając to, że na ocenę córki z pewnością znaczny wpływ miały wewnętrzne konflikty rodzinne, niezwy-

kle krytyczne słowa Remigiusza Dziemianowicza dają wciąż z pewnością wiele do myślenia (w mediach społecznościowych stwierdził m.in., że „córeczka jest typową nazi-bolszewiczką”).

WIĘCEJ CZASU NA MIŁOŚĆ

I rzeczywiście, sztandarowe projekty Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej mają bardzo rewolucyjny charakter. Dotyczy to przede wszystkim propozycji wprowadzenia czterodniowego tygodnia pracy. Powołując się na chęć zapewnienia Polakom większej ilości czasu na przebywanie z rodziną, a także na „miłość” i „przyjaźń”, minister Dziemianowicz-Bąk zleciła już przeprowadzenie odpowiednich ekspertyz i badań, których wynik można z góry uznać za przesądzony.

Idea skrócenia tygodnia pracy ma na świadcie wielu zwolenników. W zupełnie przypadkowy sposób, którego nie należy wiązać z organizacyjnym zapleczem pani minister, bardzo pochlebnie wypowiada się na jego temat Fundacja im. Friedricha Eberta, według której czwartek mógłby być nowym piątkiem. Pilotażowy program czterodniowego tygodnia pracy już od kilku miesięcy sprawdza u siebie także niemieckie państwo (oraz wiele innych, m.in. Wielka Brytania). Niemieckie analizy idą w kierunku wykazywania, że zbyt długa praca przyczynia się do faktycznego spadku produktywności. Nie bierze się przy tym zupełnie pod uwagę tego, że na produktywność pracy w Europie bardzo negatywnie wpływa choćby obciążenie jej wieloma (głównie zielonymi) regulacjami, które stały się prawdziwą zmurą Unii Europejskiej. Zamiast tego na każdym kroku naszymi mantrą powtarza się formułki wskazujące na to, że zbyt długi czas pracy przekłada się na wzrost śladu węglowego.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że wdrożenie skróconego tygodnia pracy byłoby najbardziej na rękę Niemcom, którzy coraz bardziej odczuwają brak wystarczającej liczby rąk do pracy (już w 2030 r. ma być ich 5 mln mniej niż przed dwoma laty). Choć prawdą jest, że Polacy już od wielu lat zaliczają się do ścisłego grona najdłużej pracujących narodów, to długi czas pracy umożliwia nam stopniowe odrabianie majątkowej straty do zachodniej części kontynentu. Nie jest również dziełem przypadku to, że największymi

zwolennikami odgórnego limitowania dni pracy są państwa zamożne, które przy pomocy agendy zrównoważonego rozwoju lobbują na rzecz spowolnienia tempa doganiania ich przez państwa znajdujące się na dorobku.

I rzecz nie mniej ważna – za chęcią skrócenia czasu pracy kryje się charakterystyczna dla środowisk socjalistycznych całkowicie błędna koncepcja ekonomii i gospodarki. W jej ramach postęp technologiczny prowadzi rzekomo nieuchronnie do tego, że popyt na ludzką pracę spada, a pracownicy stają się zbędni. Katastrofalne wizje zastąpienia ludzi przez maszyny pojawiają się już od wielu dekad, a ostatnio bardzo wzmocniło je upowszechnienie się sztucznej inteligencji. W rzeczywistości prawdziwym problemem dla ludzkości nie będzie nigdy brak pracy, lecz obecność środowisk, które w imię wyimaginowanych zagrożeń, takich jak nadciągająca klimatyczna zagłada, będą chciały wszystkim limitować dostęp do wszystkich zasobów i ograniczać im swobodę działania.

Forsując propozycję skrócenia czasu pracy, rządzący mogą jednak niestety liczyć na dość duże poparcie społeczne. Nawet 43 proc. Polaków uważa, że po skróceniu tygodnia pracy produktywność pracy wzrośnie. „Uśmiechnięta Polska” umiejętnie stosuje swój własny populizm wygodnego życia, którego przykładem jest choćby likwidacja prac domowych, odchudzenie szkolnego programu czy udostępnienie nastolatkom pigułek „dzień po”. Zaspokojone socjalnie przez Zjednoczoną Prawicę społeczeństwo chce teraz bardziej beztrudnego życia, a nowa władza pokazuje, że wie, jak mu w tym obszarze dogodzić.

PEŁNE OSKŁADKOWANIE

Równie niepokojąco brzmią zapowiedzi Agnieszki Dziemianowicz-Bąk związane z pełnym oskładkowaniem umów cywilnoprawnych. Minister od dłuższego czasu odgrażała się, że kierowany przez nią resort proponuje rewolucyjne zmiany, i niestety wiele wskazuje na to, że może w tym obszarze odnieść sukces. Nie jest to zresztą dążenie samej polityk Lewicy, lecz przedsięwzięcie realizowane od dłuższego czasu wspólnie przez lewicową większość w Parlamencie Europejskim i samą Komisję Europejską.

■ Przedmiotem unijnej dyrektywy wprowadzającej domniemanie zatrudnienia na etacie są przede wszystkim pracujący dla platform internetowych w rodzaju Ubera czy Bolta. Pod zarządem Dziemianowicz-Bąk rodzime Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej ma jednak sporą ochotę, aby rozszerzyć mechanizm domniemania także na wiele innych branż. Żadne precyzyjne sformułowania w tym obszarze z ust lewicowej polityk jeszcze nie padły, lecz w grę wchodzi nawet wyposażenie funkcjonariuszy Państwowej Inspekcji Pracy w specjalne uprawnienia umożliwiające im przymusowe przekształcenie danej umowy w umowę o pracę, jeśli tylko uznają to za stosowne.

Zmuszenie wszystkich do związania się najbardziej kosztowną formą zatrudnienia, choć zajmuje wysokie miejsce na liście priorytetów ideologii zrównoważonego rozwoju, może jednak natrafić na niemały opór społeczny. Tego samego dzieła próbowała się podjąć także „dobra zmiana” u schyłku swoich rządów, zasłaniając się koniecznością spełnienia „kamieni milowych” związanych z KPO, lecz ostatecznie dość szybko skapitulowała. Swój zdecydowany sprzeciw wobec pełnego oskładkowania wszystkich umów wyrażają m.in. organizacje pracodawców, a gdyby „uśmiechnięta koalicja” zdecydowała się na tak radykalne posunięcie, mogłaby za to zapłacić takim samym spadkiem poparcia jak PiS po wprowadzeniu Polskiego Ładu.

PŁCIOWA URRAWNIŁOWKA

Rewolucyjny charakter ma także proponowane przez Dziemianowicz-Bąk wprowadzenie parytetów do różnych obszarów życia publicznego oraz prywatnego. Z jej inicjatywy powołana została specjalna Rada ds. Kobiet na Rynku Pracy, w której skład weszły m.in. Magdalena Środa i liczne grono feministek (niestety, pomimo deklarowanego przywiązania do idei równości płci, na 37 członków rady tylko trzech to mężczyźni). Za najważniejsze zadania rady uznano przeciwdziałanie dyskryminacji oraz lukom płacowym i emerytalnym.

Zasadność powołania Rady ds. Kobiet na Rynku Pracy jest co najmniej dyskusyjna, ponieważ według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego z kwietnia 2023 r. luka płacowa w Polsce wynosiła 4,5 proc. i od lat jest jedną z najniższych

Po zaledwie miesiącu urzędowania Dziemianowicz-Bąk zdążyła podpaść nawet samemu Donaldowi Tuskowi

w Europie. Najważniejszą „luką” dotyczącą płci w Polsce jest ta dotycząca średniej oczekiwanej długości życia – mężczyźni żyją w Polsce średnio osiem lat krócej niż kobiety (co ma ogromny wpływ na łączne sumy otrzymywanych przez nich emerytur). Tym aspektem równości rząd się jednak w ogóle nie zajmuje.

Dziemianowicz-Bąk już od dawna zapowiada, że przyświeca jej idea zaprowadzenia parytetów w kolejnych obszarach życia publicznego. Wzorem samej Lewicy, która swoje listy wyborcze ustaliła zgodnie z zasadą naprzemienności przedstawicieli obu płci, docelowo chciałaby także, aby parytety obowiązywały również w instytucjach publicznych i firmach. Marzenia lewicowej minister mają niestety sporą szansę na spełnienie, ponieważ radykalne dyrektywy w zakresie polityki równościowej wprowadza Unia Europejska. Już od lipca 2026 r. – pod groźbą wysokich kar – firmy zatrudniające powyżej 250 osób mają obowiązkowo posiadać na stanowiskach kierowniczych co najmniej 33 proc. kobiet. W kolejnych latach można się spodziewać, że obowiązkowe parytety będą wprowadzane także w mniejszych firmach, co może fatalnie wpłynąć na ich kondycję.

TRYBUNA CZARNYCH PROTESTÓW

Wiele na temat sposobu zarządzania minister Agnieszki Dziemianowicz-Bąk powiedziała niedawna rezygnacja reprezentującego PSL wiceministra Pawła Zgórzyńskiego. Według doniesień medialnych nieoficjalnym powodem odejścia polityka była fatalna atmosfera panująca w resorcie. Wpływ na ciągłe kłótnie między koalicyjnymi partnerami mają oczywiście także czynniki wykraczające poza sam resort pracy, rodziny i polityki socjalnej, lecz z całą pewnością Dziemianowicz-Bąk już wielokrotnie dawała się poznać jako osoba nieunikająca ostrych konfrontacji. Wiadomo przy tym, że jednym z głównych powodów ciągłych sporów między koalicjantami

jest maksymalistyczna postawa przedstawicieli Lewicy, które chcą wymusić na wszystkich koalicjantach realizację swoich najbardziej radykalnych postulatów. Po sromotnej porażce w wyborach samorządowych ich pozycja negocjacyjna wyraźnie jednak osłabła.

Po zaledwie miesiącu urzędowania Dziemianowicz-Bąk zdążyła nawet podpaść samemu Donaldowi Tuskowi. Kierowane przez nią ministerstwo jest odpowiedzialne za wypłaty środków z programu „800+” i gdy okazało się, że są pewne opóźnienia, szef rządu w typowy dla siebie sposób zaatakował podwładną. Minister próbowała się bronić, co pokazuje, że jeśli pragnie zachować stanowisko, to będzie musiała okazać względem nieznośnego sprzeciwu Tuska zdecydowanie więcej pokory.

W ostatnim czasie lider rządzącej koalicji zmuszony był także ugasić niemały pożar medialny, który Dziemianowicz-Bąk wywołała zapowiedzią podniesienia płacy minimalnej do poziomu 60 proc. przeciętnego wynagrodzenia (czyli prawie 4,9 tys. zł brutto). Tusk w protekcyjny sposób sprowadził swoją „ministrę” na ziemię, tłumacząc, że tego rodzaju podwyżka nie wchodzi w rachubę, a złożona przez nią obietnica wynika z tego, że „bardzo chciałaby wszystkim pomagać”.

Jako szefowa resortu Agnieszka Dziemianowicz-Bąk stonowała nieco swój przekaz, stawiając przede wszystkim na fachowe słownictwo i typowe dla obecnej władzy zalewanie widza uśmiechem i pozytywnymi stwierdzeniami. Za tą pozą kryje się jednak osoba, która latami dawała się poznać jako ekstremistyczna trybuna czarnych protestów, która uwiodła swoje środowisko walecznością i ostrymi wypowiedziami. Niezwykle wymowny w tym kontekście był zamieszczony pod koniec ubiegłego roku w serwisie X na oficjalnym profilu Ministerstwa Pracy, Rodziny i Polityki Społecznej wpis komentujący decyzję prezydenta Andrzeja Dudy. Dziemianowicz-Bąk przeprosiła później, wskazując, że autorem wpisu: „Makao i po makale! Andrzej Duda może się nauczyć, że jak się sika przy wietrznej pogodzie, to nie na nawietrzną” był jeden z pracowników ministerstwa, lecz to, że do tego wpisu doszło, pozwala zrozumieć, z jaką atmosferą intelektualną mamy do czynienia w resorcie pracy i rodziny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM**Rządy anty-mieszkaniowe**

Jak się okazuje, prace nad rządowym programem „Kredyt na start (od 0 do 1,5 proc.)” coraz bardziej się ślimaczają i ślimaczają, a może nawet utknęły w martwym punkcie.

Ba, jeśli wsłuchać się w głosy płynące z rządu, to łatwo się zorientować, że nie jest jeszcze w tej sprawie przesądzone, „a nowy minister rozwoju Krzysztof Paszyk z PSL ostateczne rozstrzygnięcie co do losów całego projektu podejmie później”. Z czego niechybnie wynika – jak nietrudno się domyślić nawet domorośłemu tuskologowi – że Donald Tusk także w tej sprawie jeszcze nie podjął decyzji, a więc wcale nie jest pewne, czy „Kredyt na start (w tamtej wersji: 0 proc.)”, który był przedwyborczą, „atomową” odpowiedzią Platformy i Tuska na „Bezpieczny kredyt 2 proc.” ówczesnego rządu PiS i Morawieckiego, kiedykolwiek przybierze kształt czegoś więcej niż przedwyborczej wrzutki, szumnie nazwanej jednym ze „100 konkretów na pierwsze 100 dni rządów”.

Jak wskazują analitycy rynku mieszkaniowego, skutek tej dramatycznej dla wszystkich Polaków, którzy marzą o zakupie swego pierwszego mieszkania, decyzji o ewentualnym zarzuceniu przez rząd Tuska – jako jednego z niezliczonych „100 konkretów” – także „konkretny” o „Kredycie na start”, może być straszliwy

i nie do powetowania. Otóż, jak przewidują owi analitycy, których prognozy zebrała „Rzeczpospolita”, w rezultacie niezrealizowania przez rząd Tuska tej obietnicy przedwyborczej ceny mieszkań mogą jeszcze w tym roku, niestety, spaść aż o 10 proc., i w związku z tym, niestety, będzie na nie stać więcej Polaków – i to, proszę zauważyć, bez jakiegokolwiek udziału polityków!

Strach w związku z tym pomyśleć, o ileż procent – też o 10? – ceny mieszkań mogły spaść w Polsce w 2023 r., gdyby w jego połowie rząd Morawieckiego nie wprowadził swego osławionego, mieszkaniowego „Bezpiecznego kredytu 2 proc.”. A że wprowadził go, to za jego sprawą ceny mieszkań w Polsce w 2023 r. podskoczyły aż o 13 proc. I Polacy znów musieli nabijać kabzy deweloperom i bankom.

Wszelako nie ma się co aż tak niepokoić o to, że ceny mieszkań nie wzrosną za sprawą rządu – teraz już rządu Tuska – także w tym roku. Jeśliby bowiem nawet Polsce 2050 Hołowni i Lewicy, które sprzeciwiają się „Kredytowi na start”, udało się utracić ten projekt, to przecież Lewica z pewnością nie odpuści i zmusi premiera do wprowadzenia jakiegoś innego „programu mieszkaniowego” i w ten sposób nie pozwoli mu nie dopuścić do wzrostu cen mieszkań w Polsce także w 2024 r., i to co najmniej o 10 proc. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA**Rabin i koza, wersja 2.0**

Szmonces o kozie i rabinie znają chyba wszyscy. Wyprowadzenie kozy weszło do potocznego języka. Jednak panowie Szymon Parulski i Wojciech Krok, doradcy podatkowi z kancelarii Parulski & Wspólnicy, wznieśli metodę rabina na nowy poziom perfidii. Swoje rady dotyczące manipulacji podatkiem akcyzowym zawarli w raporcie „Quo vadis akcyzo? Wnioski de lege ferenda”, który ma być zestawem rad i sugestii dla Ministerstwa Finansów.

**Żebyśmy
nie dostrzegli,
jak okrada nas UE,
najpierw
wolniej okradnie
nas państwo**

Panowie doradzają, aby wywindować podatek akcyzowy na benzynę, co pozwoli fiskusowi ogolić Polaków na 15 mld w ciągu trzech lat stopniowego podwyższania tego podatku. Te 15 mld pozwoliłoby zdaniem autorów raportu sfinansować m.in. podwyższenie kwoty wolnej do 60 tys. zł. Czyli zabierzemy w podatkach, żeby potem oddać w podatkach i móc się chwalić, że spełniliśmy obietnicę wyborczą.

Natomiast niepodwyższania akcyzy nikt nie obiecywał.

Nie w tym jednak największa perfidia. Celem stopniowego podwyższania akcyzy ma być bowiem wykreowanie poduszki, która następnie poprzez obniżenie wcześniej podnoszonego podatku pozwoli zamortyzować skutki drastycznej podwyżki cen paliwa, która wyniknie z wejścia w życie systemu ETS2, czyli wprowadzenia uprawnień do emisji CO₂ od transportu.

Jeśli spojrzeć na całość obrazu, to obywatele nic na tym nie zyskują. Zyskuje w jakimś stopniu fiskus kosztem nas wszystkich – bo wyższa akcyza na paliwo to też wyższe wpływy z VAT, i to nie tylko od paliwa. Przecież droższa benzyna to wyższe ceny netto wszelkich towarów i wielu usług, a więc i wyższy VAT od tychże cen netto. Ale tak naprawdę chodzi o to, żeby ochronić wizerunek Unii Europejskiej i złagodzić opór obywateli oraz ich wściekłość na jej politykę klimatyczną. Zamiast jednorazowego, brutalnego szoku cenowego w momencie wejścia w życie ETS2 dostalibyśmy wolniejsze gotowanie żaby poprzez stopniowe podnoszenie akcyzy, żeby potem trochę z niej zejść, kiedy pojawi się podatek od emisji CO₂. Żebyśmy nie dostrzegli, jak okrada nas UE, najpierw wolniej okradnie nas państwo.

Rabin, ten od kozy, mógłby się uczyć. ©©

Świat futbolu dawno już porzucił złudzenia, że nie da się kupić wszystkiego. Da się, jak najbardziej, wszystko zależy od tego, czy kupca stać na zapłacenie ceny. Saudyjczyków stać praktycznie na wszystko i nic dziwnego, że chcą z dolarów zrobić użytek. W ostatnich latach wydali fortunę na to, żeby ściągnąć do swojej ligi gwiazdy.

Najpierw na Półwysp Arabski przeprowadził się Cristiano Ronaldo, a po słynnym Portugalczyku do ligi saudyjskiej trafili m.in. Neymar, Karim Benzema, N'Golo Kante czy Jordan Henderson, żeby wymienić tych największych i najbardziej znanych, a żaden z nich nie był jeszcze piłkarskim emerytem, który chciałby zarobić ostatni milion, zanim kolana odmówią posłuszeństwa. Każdy z nich w Europie był gwiazdą i zarabiał krocie, a mimo to dał się skusić Saudyjczykom.

Razem z nimi z Europy wyjechali znani trenerzy: Steven Gerrard, Slaven Bilić czy Jorge Jesus prowadzą saudyjskie kluby, a Roberto Mancini tamtejszą reprezentację, którą przejął po Francuzie Herve Renardzie. Każdy za opuszczenie Europy dostał solidne wynagrodzenie, a jeszcze mógł liczyć na korzystne warunki podatkowe, podczas gdy w Europie danina od bogaczy sięga ponad 40 proc.

Saudyjczycy mają w tym swój interes. Wielkie gwiazdy mają podnieść poziom futbolu w kraju, zwłaszcza że w 2030 r. kraj będzie gospodarzem piłkarskich mistrzostw świata i byłoby dobrze, gdyby reprezentacja nie odpadła od razu w pierwszej rundzie, jak się to zdarzyło niedawno Katarczykom. Wydaje się, że w tym planie trenerzy są jeszcze ważniejsi niż piłkarskie gwiazdy (ci drudzy mogą przyciągnąć na trybuny kibiców, choć i to idzie opornie). Razem z trenerami przybywają ich asystenci, fizjoterapeuci, statystycy – słowem, cała piłkarska wiedza, gromadzona w Europie i Ameryce Południowej przez lata.

CZAS NA ARBITRÓW

Szejkowie nie chcą się na tym zatrzymywać. Jakiś czas temu uznali, że do rozwoju piłki nożnej niezbędni są też sędziowie ze światowej czołówki. Tutaj też dużo się dzieje, zmienia i profesjonalizuje i trzeba trzymać rękę na pulsie, żeby nadążyć. Z kilku powodów uznali, że miejscowi arbitrzy nie spełniają najwyższych standar-

Szejkowie patrzą na sędziów



Lukasz Majchrzyk

Saudyjczycy zalewają rynek piłkarski milionami dolarów. Po piłkarzach chcą ściągać najlepszych arbitrow, ale na ich projekcie pojawiają się pierwsze rysy

Podobno chcą ściągnąć do siebie najlepszych europejskich sędziów na stałe i kuszą ich wielkimi pieniędzmi. Nieformalne propozycje miał dostać m.in. Szymon Marciniak

FOT. JONATHAN MOSCROP/SPORTIMAGE/CAL SPORT MEDIA/AP/EAST NEWS



dów, więc sięgnęli po pomoc z Europy, a że nie lubią półśrodków, to poszli od razu dwiema drogami: zatrudniają nauczycieli z najwyższej półki i jednocześnie sprowadzają wysokiej klasy najemników.

W 2015 r. sięgnęli po Howarda Webba, czyli jednego z najbardziej znanych na świecie arbitrow (skończył karierę rok wcześniej). Anglik miał edukować Saudyjczyków i podnosić ich poziom, a pierwsze, z czym się zmierzył, to to, że nikt na miejscu nie wierzył w umiejętności rodzimych sędziów. Na najważniejsze mecze Saudyjczycy chętnie ściągali uznanych arbitrow z Europy i Ameryki Południowej, a że płacą dobrze, to chętnych nigdy nie brakowało.

Słoweniec Damir Skomina w 2016 r., 10 dni po tym, jak poprowadził półfinał Ligi Mistrzów na słynnym, wypełnionym po brzegi stadionie Santiago Bernabeu, gwizdał w starciu Najran S.C. – Al Raed. Wynik tego meczu miał zadecydować o tym, kto spadnie z ligi, i wobec takiej stawki spotkania Saudyjczycy zdecydowali się sięgnąć po jednego z najlepszych arbitrow. Webb opisywał, że miejscowi kibice nie dopuszczają myśli o tym, że sędzia może się pomylić, i jeśli do tego dojdzie, to reagują bardzo żywiołowo.

W tamtym czasie Europejczycy co chwila sędziowali mecze w Arabii Saudyjskiej. Z jednej strony arbitrzy byli zadowoleni, bo mogli sobie bardzo dobrze dorobić, bez specjalnej presji, a gospodarze się cieszyli, bo decyzje najlepszych fachowców na świecie były szanowane. Była jednak i druga strona medalu: wyjazdy na saksy komplikowały życie w ligach europejskich, bo skoro sędzia prowadzi w weekend mecz w Azji, to nie ma go na Starym Kontynencie i ktoś musi go zastąpić, a kiedy wraca, to jest zmęczony i może popełniać błędy u siebie. Nic dziwnego, że Webb chciał to ograniczyć i przekonać Saudyjczyków, że sami dadzą radę.

Tylko że nie bardzo mu się chyba ta misja powiodła, skoro po dwóch latach zrezygnował z funkcji, a zastąpił go rodak i inna gwiazda sędziowania – Mark Clattenburg. Jeszcze przez kilka lat trwał „najazd” sędziów zagranicznych na ligę saudyjską. Skomina w sezonie 2018/2019 poprowadził tam 21 meczów. Sporo pracy mieli też arbitrzy z Polski. Sam Szymon Marciniak sędziował 15 meczów, a obok niego pojawiło się kilku innych sędziów,

m.in. Paweł Raczkowski, Paweł Gil czy Bartosz Frankowski.

ROSNAĆE APETYTY

Teraz takich przypadków jest mniej, ale wyjazdy na pewno się nie skończą – za dużo pieniędzy leży na stole, a sędziowie, chociaż opłacani całkiem dobrze, jednak zarabiają bez porównania mniej niż nawet przeciętni piłkarze. Kilka miesięcy temu w Anglii mocno dyskutowano o błędach arbitrow w meczu Liverpoolu z Tottenhamem. Gol Luisa Diaza z Liverpoolu został niesłusznie anulowany i sędziemu głównemu nie pomógł arbiter od powtórek VAR Darren England. Później okazało się, że ten sędzia dwa dni wcześniej pracował w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Mimo to Anglicy latają do Azji w dalszym ciągu.

A Saudyjczycy chcieliby jeszcze więcej. Podobno chcą ściągnąć do siebie najlepszych europejskich sędziów na stałe i kuszą ich wielkimi pieniędzmi. Nieformalne

W 2015 r. sięgnęli po Howarda Webba, czyli jednego z najbardziej znanych na świecie arbitrow

propozycje mieli dostać m.in. Marciniak i Michael Oliver. Polskiego arbitra teoretycznie wielkie pieniądze mogłyby skusić. Sędziował już finał mistrzostw świata i Ligi Mistrzów i następnej okazji mieć nie będzie. Teoretycznie może jeszcze liczyć na finał mistrzostw Europy.

Tylko rodzi się pytanie, czy dla wielkich pieniędzy, które mogą i są gotowi zapłacić Saudyjczycy, warto rezygnować z kariery w Europie. To tutaj do sędziowania są najlepsze mecze i najlepsi piłkarze i tutaj skupia się uwaga kibiców, a także tych, którzy wyznaczają arbitrow na mecze międzynarodowe. Jeśli ktoś zniknie z radarów, to przestanie być brany pod uwagę, bo nie wiadomo, w jakiej jest formie, a do tego odzwyczai się od stresu – jeśli ktoś chce prowadzić mecze mundialu, to musi się sprawdzić pod wielką presją, a mecze w lidze saudyjskiej odpowiedniego poziomu stresu nie zagwarantują.

Nic dziwnego, że Clattenburg ostrzega młodszych kolegów. Anglik liczył, że mimo

przeprowadzki na Półwysep Arabski pojedzie na mistrzostwa świata w Rosji jako jeden z europejskich arbitrow, jednak FIFA i UEFA nalegały, żeby traktować go jako miejscowego sędziego. Clattenburg nie chciał nikomu zabierać miejsca i wielką imprezę obejrzał jako kibic, a podobno miał szansę na to, żeby sędziować nawet finał.

TRUDNA ZMIANA

Jest jeszcze jeden aspekt, o którym warto pamiętać. Arabia Saudyjska się zmienia, otwiera na świat i ściąga do siebie inwestycje, ale to w dalszym ciągu kraj o zupełnie odmiennej kulturze. Przeprowadzka z rodziną nie będzie łatwa, a wyjazd bez żony i dzieci może się okazać jeszcze trudniejszy. Mówił o tym francuski obrońca Aymeric Laporte, który przyznał, że wielu piłkarzy jest rozczarowanych pobylem. Piłkarze są przyzwyczajeni do najwyższych standardów, a Laporte mówi, że Saudyjczycy do wszystkiego podchodzą lekko i nie przejmują się nawet, jeśli ktoś stawia im ultimatum. Oczywiście jedna i druga strona muszą się dotrzeć, a nikt nie powiedział, że wszystko pójdzie gładko, jednak problemy są. Jordan Henderson, który w Arabii Saudyjskiej miał zarobić fortunę, po kilku miesiącach pobytu wyjechał do Ajaksu Amsterdam. Powodów oficjalnie nikt nie podaje. Ale czy na pewno chodziło o miejsce w składzie na Euro 2024, skoro Gareth Southgate cały czas powoływał Hendersona?

Niezadowolony jest też Karim Benzema, który podobno miał ostre spotkanie z władzami klubu Ittihad i trenerem Marcello Gallardo, a przecież Francuz jest muzułmaninem i teoretycznie powinien mu być łatwiej się przystosować do życia na miejscu. Piłkarz też nie gra fair, bo wrócił do klubu po zimowej przerwie spóźniony o 17 dni, a przez długi czas podobno w ogóle nie było z nim kontaktu. Czy to zachowanie miałoby mu ułatwić zerwanie kontraktu? Nawet jeśli tak, to nikt tego głośno nie powie.

W grze są zbyt wielkie pieniądze i nikt nie chce ich stracić, zwłaszcza piłkarzscy milionerzy, którzy do Arabii Saudyjskiej przenieśli się tylko dla wielkich przelewów na konta. Sędziowie też powinni uważać. Pieniądze szczęścia nie dają i niekoniecznie wygra ten, kto zarobi więcej.

SKODA ENYAQ 85X



Więcej wolności. To najważniejsze, co daje najnowsza odmiana popularnego czeskiego „elektryka”. Najnowszy Enyaq 85x ma bowiem nie tylko ładną sylwetkę i niezłe przyspieszenie (dzięki zwiększeniu mocy z 265 do 286 KM od zera do 100 km/h rozpędza się w zaledwie 6,6 s.). Kluczowymi zmianami są jednak lepsza efektywność i odczuwalnie większy zasięg.

Według producenta zasięg w cyklu WLTP w przypadku Enyaqa 85x wynosi 510–524 km. Deklaracje deklaracjami. A ile da się nim przejechać realnie po polskich drogach? Z naszego redakcyjnego testu wynika, że zasięg wynoszący ok. 520 km jest jak najbardziej realny. To bardzo dobry wynik, jeśli weźmie się pod uwagę to, że mówimy o zasięgu pełnoprawnego SUV-a.

Oczywiście nie oznacza to, że można nim przez pół tysiąca kilometrów gnać autostradami 140 km/h. Oznacza jednak, że nowym Enyaqiem można dotrzeć z Warszawy do Władysławowa lub Warszawy do Zakopanego bez konieczności zatrzymywania się w trasie na jakiegokolwiek doładowanie. I to właśnie rozumiem przez słowo „wolność”. Podczas redakcyjnego testu przeprowadzonego częściowo na autostradzie A2, a częściowo na drogach krajowych (90 km/h), a także w miastach i miasteczkach średnie „spalanie” wyniosło 15,1 kWh/100 km, a przy oszczędnej jeździe udało się je obniżyć nawet do 13,8 kWh/100 km. W samym mieście zejście w okolice 12 kWh/100 km nie sprawia problemu. Na drogach krajowych średnia w okolicach

14–14,5 kWh/100 km też jest zupełnie osiągalna. Na ekspresówkach i autostradach z prędkością 120 km/h spalanie wynosi ok. 20,5 kWh/100 km. Jazda z maksymalną dozwoloną prędkością po autostradzie skutkuje zużyciem energii na poziomie 26–27 kWh/100 km, co oznacza, że zasięg spada do ok. 250–290 km.

Co z czasem ładowania? W 10 minut na przeciętnej ładowarce o maksymalnej mocy 60 kW poziom baterii wzrósł z 9 do 22 proc. (czyli w moim przypadku z 54 km do 128 km zasięgu), 20 minut po rozpoczęciu ładowania akumulator był już naładowany w 34 proc. (200 km zasięgu), a pół godziny po podłączeniu samochodu do ładowania bateria była naładowana w 46 proc., co pozwalało na przejechanie 270 km. Na naprawdę mocnej ładowarce czas ładowania od 10 proc. do 80 proc. wynosi mniej niż pół godziny. Po załadowaniu do 99 proc. komputer pokładowy pokazał mi zasięg na poziomie 553 km. Nieźle!

I chociaż w przypadku e-aut zasięg to pierwsza rzecz, o którą ktokolwiek pyta, to Enyaq ma też inne zalety: napęd na wszystkie łapy, reflektory Full LED Matrix, wygodne, wentylowane i podgrzewane fotele, obszerne, jasne wnętrza i duży bagażnik.

Główną wadą jest cena. Za Enyaq 85x trzeba zapłacić co najmniej 292 tys. zł. Testowana wersja 85x L&K z podświetlanym grillem i wyświetlaczem HUD z rozszerzoną rzeczywistością to już wydatek co najmniej 307,3 tys. zł. ©

FOT. PAP

FRITZ!POWERLINE 1240 AX + 1210

Banalnie prosta obsługa, możliwość szybkiej poprawy zasięgu wi-fi bez konieczności kładzenia nowych kabli oraz stosunkowo niewielkie zużycie energii – to największe zalety najnowszej wersji zestawu Powerline niemieckiej marki Fritz!, który pozwala znacząco poprawić wielkość sieci nawet w dużym domu lub mieszkaniu z wykorzystaniem instalacji elektrycznej.

Czasem wystarczy kilka ścian dzielących komputer/smartfon/telewizor od routera, aby przyjemność korzystania z Internetu, a zwłaszcza strumieniowego oglądania filmów czy telewizji, zamieniła się w koszmar. W takiej sytuacji teoretycznie najlepiej jest poprowadzić kabel do jak najdalszych pokoi, ale to nie zawsze jest możliwe ze względów estetycznych czy praktycznych. Nie zawsze poradzi sobie też z takim zadaniem wzmacniacz Internetu (repeater). Efektywnym rozwiązaniem jest w takim przypadku zestaw, w którym jeden adapter podpinasz się do routera i włączasz do gniazdka elektrycznego, a drugi wpinasz do gniazdka elektrycznego tam, gdzie zależy nam na lepszym Internecie. Zastosowana tu technologia wykorzystuje do przesyłania danych wszystkie trzy przewody elektryczne (fazowy, neutralny i ochronny).

Kilka chwil po podłączeniu do prądu obu adapterów sieć domowa jest już rozszerzona, a prędkość w najdalszych

zakątkach domu lub mieszkania może dochodzić według producenta nawet do 1200 Mbit/s (zestaw posiada w sumie cztery porty LAN: dwa wbudowane w adapter FRITZ!Powerline 1210 i dwa zintegrowane z FRITZ!Powerline 1240 AX.) lub do 600 Mbit/s przez Wi-Fi 6 na częstotliwości 2,4 GHz. Dane są bezpieczne, bo urządzenia obsługują najnowszy standard szyfrowania WPA3.

Dzięki zestawowi dwóch adapterów Powerline (pod warunkiem że sieć elektryczna jest w miarę nowa) można już spokojnie pracować w pokoju najdalej położonym od miejsca, w którym jest zainstalowany domowy router. Praca zdalna lub korepetycje na odległość mogą być oczywiście tylko wymówką. Testowany zestaw z powodzeniem pozwolił mi obejrzeć najnowszych seriali lub sesję gier on-line. Plusem testowanego zestawu jest również niskie zużycie energii elektrycznej (pobór mocy w trybie czułego czuwania wynosi tylko 4,5 W).

A minusy? Największą wadą jest to, że wi-fi w przypadku testowanych adapterów działa wyłącznie na przeważnie dość zatłoczonej częstotliwości 2,4 GHz (brakuje obsługi częstotliwości 5 GHz). Poza tym w adapterze przydałoby się też elektryczne gniazdko, aby nie zabierać kontaktu na inne sprzęty.

Cena: 756 zł. ©



PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Gniazdo bohatera „Potopu”



JACEK KOMUDA

Czarnca pod Włoszczową to szlacheckie gniazdo rodu Czarnieckich, z którego pochodził jego najwybitniejszy przedstawiciel: Stefan Czarniecki, zagończyk, regimentarz i hetman. Człowiek, który w czasach potopu szwedzkiego nie stracił głowy, nie złożył broni, walczył do końca z najeźdźcą, wierny królowi Janowi Kazimierzowi. Wieś jest przykładem zagęszczenia potomków rodów szlacheckich na początku XVII w., a także losów i karier synów ubogiej i średniozamożnej szlachty. O Czarnieckim bowiem i jego braciach można by napisać całą sagę rodową.

Wieś już od ok. 1420 r. należała do protoplastów tego rodu, ponieważ właścicielem był Mikołaj z Czarnicy herbu Łódzia, przodek późniejszego hetmana.

Prawdopodobnie w 1599 r. urodził się tutaj Stefan Czarniecki, z rodziców Krzysztofa i Krystyny z domu Rzeszowskiej. Przez lata Czarnieccy rozrodzili się tak bardzo, że w chwili

narodzin przyszłego hetmana wieś przypominała zaścianek – zaledwie 2 łany i młyn należały do ojca Stefana. Pozostałe znajdowały się w rękach dalszych krewnych lub niejakich Kłobukowskich. Dopiero po latach hetman dokupił dodatkowo 3,5 łana ziemi.

Czarnieccy dzielili się włością już w połowie XVI w. – wieś była wówczas podzielona pomiędzy Hieronima i Feliksa. Ten pierwszy miał syna Jana, a ów z kolei Krzysztofa – ojca naszego hetmana. Rodzic Stefana miał jednak inne majątki – czy to w postaci własności części wsi, czy jako dzierżawy – Dąbrowę,



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Małoszyce, Knieje, Lipie i Rogaczów, którymi zarządzał wspólnie z bratem. Sytuowało to rodzinę w kręgu średniozamożnej szlachty. Kłopot jednak w tym, że Krzysztof miał z pierwszą i drugą żoną aż 10 synów i córkę; co oznaczało, że gdyby podzielili się ojcowskim majątkiem, potomkowie spadliby do rzędów szlachty zaściankowej.

Stefan Czarniecki miał zatem dziewięciu braci. Dla takiej liczby szlachciców nie było majątkości, Czarnieccy musieli zatem myśleć o karierze poza rodzinną wioską. Czterech z nich – Paweł, Stanisław, Dobrogost i Marcin – zaciągnęło się do wojska, i to nie było jakiego. Marcin, który brał udział w „wojnach węgierskich”, niemal na pewno służył w oddziałach legendarnych okrutnych jeźdźców – lisowczyków. Być może zaciągał się już w 1619 r.; potem wciągnął braci, gdyż wiemy, że trzech z nich zaczęło służbę w oddziałach wspomnianych elitarów.

Odmienne potoczyły się losy Stanisława, który został dworzaniem na dworze króla Zygmunta III Wazy, u królewicza Aleksandra, a po jego śmierci wstąpił na służbę cesarską w wojnie trzydziestoletniej. Z kolei Dobrogost i Marcin po powrocie do kraju służyli w chorągwi księcia Wiśniowieckiego.

Dwóch kolejnych braci – Franciszek i Tomasz – zostało duchownymi – pierwszy wstąpił do zakonu jezuitów, drugi uzyskał święcenia i był proboszczem w Mikołowie

na Śląsku, później kanonikiem raciborskim, wreszcie opatem czerwiskim. Piotr jako drugi został wysłany na studia zagraniczne, ale nie wiadomo, co się z nim stało po powrocie do kraju. Dwóch ostatnich – Wojciech i Jan – pozostało w domu; zapewne odziedziczyli jakieś włości po ojcu. Z kolei najślawniejszy Stefan kształcił się zapewne w którymś z kolegów jezuickich, potem zaś, wzorem braci, poszedł do wojska. Adam Kersten uważa, że także zaciągnął się do chorągwi okrutnych lisowczyków; zapewne w ich szeregach brał udział w 1621 r. w obronie Chocimia. Później przeszedł do komputu koronnego, służąc w chorągwi brata. Tak zaczęła się jego kariera wojskowa, w czasie której osiągnął kolejno wszystkie godności – od towarzysza do hetmana polnego.

Czarnca, a właściwie jej znaczna część, była w posiadaniu hetmana aż do jego śmierci 16 lutego 1665 r. w Sokołowie pod Lwowem, w trakcie powrotu z Ukrainy na wezwanie króla. Sławny zagończyk i bohater pochowany został w kościele Najświętszej Marii Panny i św. Floriana w Czarnicy, który ufundowany został przez niego po powrocie z wyprawy do Danii w 1659 r. Najprawdopodobniej jednak dopiero wówczas dokończono budowę, która rozpoczęła się jeszcze w 1640 r.

Czarnca po śmierci Stefana przeszła w posiadanie jego córki Konstancji, której mężem był Wacław Leszczyński, wojewoda podlaski, następnie do Działyńskich, Modliszewskich, Gogolewskich, wreszcie Makulskich. Według miejscowych podań istniał tutaj zamek – zapewne ufortyfikowany dwór szlachecki; być może właśnie w nim urodził się hetman Stefan Czarniecki. ©

I RZECZYPOSPOLITA

Czarnca



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Młoda kapusta

Uznana za absolutną królową na Polskim stole kulinarnym kapusta jest obecna przez cały rok. Nie może jej zabraknąć wiosną, kiedy najlepiej smakuje zasmażana z kawałkami boczku czy jako surówka z pomidorami i koperkiem, a zimą w formie tradycyjnego bigosu czy pierogów z kapustą.

Do Polski sprowadziła ją królowa Bona Sforza, wraz z innymi warzywami. Odtąd polska kuchnia nie była już taka sama, zaczęto gotować zdrowiej – więcej lekkich dan z dodatkiem warzyw.

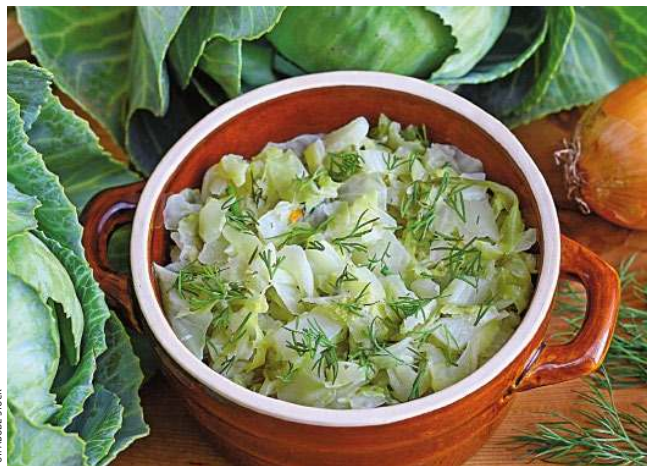
Kapusta ma liczne właściwości odżywcze. Przede wszystkim jest bogata w witaminę C, która jest cennym antyoksydantem i wspiera nasz układ odpornościowy. Zawiera także karoten, biotynę, jod, cynk, potas i magnez. Możemy z niej wycisnąć sok, który jest doskonały na odporność i dobre samopoczucie, usuwa toksyny z organizmu, jest naturalnym prebiotykiem wspierającym nasz układ trawienny. Chroni przed rakiem, wrzodami i obniża ciśnienie krwi.

Kapusta wspiera odchudzanie, bo jest niskokaloryczna – ma ok. 25 kcal na 100 g. Według dr Jadwigi Górnickiej jest zdrowa i powinna być jak najczęściej spożywana. Jedynie osoby, które źle tolerują siarkę, powinny uważać i nie przesadzać z jedzeniem kapusty.

Młoda kapusta ze śmietaną

- 4 łyżki masła klarowanego/ masła
- główka młodej kapusty
- 2 młode cebule
- 1 łyżka octu
- ½ pęczka koperku
- szczypta kminku mielonego
- ½ łyżeczki soli i pieprzu
- ½ kubeczka kwaśnej gęstej śmietany

W garnku rozgrzewamy masło, cebule kroimy w piórka i podsmażamy na maśle przez ok. 5 min. Kapustę szatkujemy, wrzucamy do garnka, podlewamy odrobiną wody i dusimy, dodajemy przyprawy, dusimy ok. 25 min. Na koniec dodajemy ocet i pokrojony koperek oraz śmietanę. Podajemy z młodymi ziemniakami. © ©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Brzydkie suknie biednej Cass

California dreamin’”, wielki przebój zespołu The Mamas & The Papas z połowy lat 60., znają nie tylko 70-latkowie, lecz także dzisiejsi nastolatki.

Piosenka opowiada o tęsknocie ziębniętych mieszkańców Nowego Jorku za słoneczną i ciepłą Kalifornią. W San Francisco w roku 1965 wśród studentów było jeszcze spokojnie, ale kontrkultura stała już ante portas. Wkrótce Kalifornia stała się głównym miejscem wydarzeń, a dla młodych – mitem wolności.

Członkowie grupy The Mamas & The Papas ubrani są „normalnie” – jeszcze nie po hipisowsku; w czwórcę zwraca uwagę dziewczyna w workowatej sukience. Tym fasonem urocza wokalistka Cass Elliot starała się zatuszować sporą nadwagę – ważyła ponad 130 kg.

Całe życie Cass cierpiała z powodu tuszy i zmagala się z typowymi dolegliwościami show-biznesu: depresją, narkotykami, alkoholem, samotnością. Kochała się w szefie grupy, on jej nie chciał. Po koncertach przyjaciele wracali do hotelu parami, ona sama. Żeby zabić dojmującą samotność, „zrobiła” sobie dziecko. Żeby mieć kogoś bliskiego.

Koniec był smutny. W lipcu 1974 r. Cass znalazła martwą w hotelu.



Miała 32 lata. Rozpowszechniono pogłoskę, jakoby zakrztusiła się kanapką z szynką, której resztkę znaleziono na szafce. To nie była prawda. Dziewczyna zmarła na serce z powodu przedawkowania, jednak

w tamtym czasie niechętnie mówiono o narkotykach, chociaż już były potężnym problemem.

Teraz córka Cass Elliot, Owen Elliot-Kugell, w książce „My Mama Cass” opowiada jej historię i próbuje odkłamać narosłe wokół niej plotki, m.in. przy czynę śmierci – nieszczęsną kanapkę. O książce pisze „New York Times”.

Wtedy nie mówiono też o otyłości. Nie była takim problemem jak dziś: w Stanach 70 proc. populacji ma nadwagę. Ale właśnie dziś, kiedy otyłość stała się plagą współczesności, poprawnościowe nakazy każą ją akceptować, nawet lubić. Ludzi z nadwagą nie można zawstydzać i izolować. Oni sami nie wstydzą się nadmiarowych kilogramów. Raperka Lizzo uważa się za piękną i nie ma zamiaru ukrywać ciała.

O, urocza Cass! Szkoda, że nie dożyłaś tych czasów. Dziś występowałabyś w obcisłej złotej sukni jak Lizzo i opowiadałabyś w telewizji, że kochasz swoje kilogramy.

Choć, tak czy owak to nie żałuj. © ©



DEKAMERONKI

Cenzura uczłowieczona

JERZY KARWELIS

Coraz częściej słyszę w social mediach, że ktoś coś koduje szyfrem, mówiąc jednocześnie, że tym samym oszukuje jakiś algorytm. Bo jak algorytm wypatrzy jakąś nieprawomyślną ofiarę, wedle kryteriów nadanych mu przez jak najbardziej niesztuczną inteligencję, to może wiele rzeczy. Może obciąć ci zasięgi, ustawić twój profil w niewidocznym cieniu, wreszcie – zamknąć ci profil tak, że nie założysz nowego, jak to mnie właśnie uczyniono.

Zastanowiło mnie to. Przecież użytkownicy jawnie kodują swój przekaz, mówią o tym, że od teraz COVID to „keczup”, szczepionka to „śmiecionka”, Izrael to „państwo znajdujące się na terenie Palestyny”, a Hamas to „humus”. I w ten sposób starają się oszukać algorytm, który ma zgłupieć, nie wypatrzyć zabronionych treści. Ale cóż to za tarcza z papieru? Przecież wystarczy założyć na kilkanaście takich profili algorytm, który to się nazywa Jasio student. Ten będzie miał w zakresie obowiązku patrolowanie ze dwudziestu takich gagatków i obleci ich na swym kompie. I się nagra, obejrzy i zainterweniuje.

Ja wiem, czytam wiele, jak to sztuczna inteligencja wyposażona w algorytmy mieli codziennie miliardy przekazów i tylko ona może to ogarnąć, bo to terabity informacji w sekundzie i żaden człek nie da rady. Ale bądźmy poważni, bo tam, po stronie cenzor-

skiej, siedzą równie poważni, co niemoralni fachowcy. I na bank mają założony jak najbardziej człowieczy „algorytm” na wybrańców politycznego patostreamingu. A więc te, he, he, he, prześmiewcze deklaracje, że my tu właśnie kogoś oszukujemy, bo gadamy szyfrem, to mi przypominają anegdotkę, kiedy w stanie wojennym w celach konspiracyjnych, by uniknąć telefonicznego podsłuchu, jeden z bojowników Solidarności nadawał przez telefon do Polski tajne informacje... szeptem.

A więc socjalmedialny cenzor wie, kto co nadaje; to nie algorytm włącza i wyłącza nadawców nieprawomyślnych treści. Na wybrańcach to robi człowiek jakiś. Resztą socjalmedialnego płazu może i zajmują się algorytmy. Oni wiedzą, kto co nadaje, i żadne tam „humusy” ich nie zwiodą, przecież można byłoby taki szyfr wpisać do słownika algorytmu i po sprawie. Pozostaje pytanie, dlaczego takich gagatków jednak cenzorzy puszczają, choć od czasu do czasu przycinają. Myślę, że chodzi o jedno – w takim wypadku nadawca sam się będzie pilnował. I już nie tylko przed użyciem konkretnych słów, ale w poruszaniu tematów i głoszeniu poglądów. Przecież sama świadomość, że obserwując ciebie cenzor trzyma klucze do twej medialnej obecności, musi deprymować. Chciałem napisać – deprawować. ©©



#WARTO

Prymas kontra komuniści

JAN POSPIESZAŃSKI

Od trzech lat 28 maja możemy świętować wspomnienie błogosławionego kard. Stefana Wyszyńskiego. „Wspomnienie”, bo właśnie poza perspektywą duchową, którą wyznajemy słowami „(wierzę w) świętych obcowanie”, również chodzi o przywołanie pamięci wskazanej postaci, z jej zasługami i ważnymi wątkami biografii.

Kościół daje nam wzór do naśladowania, wskazując, że świętość jest dostępna dla każdego. Wyniesienie na ołtarze Prymasa Tysiąclecia jawi się jako opatrnościowe. W 2021 r. mało kto mógł przewidzieć, w jakich okolicznościach znajdą się dziś katolicy w Polsce i nasza suwerenność. Nie unieważniając zagrożenia, którym jest rosyjska agresja za wschodnią granicą, najistotniejszym zagrożeniem zewnętrznym jest trwający od listopada 2023 r. proces zmiany traktatów, równoznaczny z odbieraniem Polsce suwerenności. Zważywszy na skalę zmian – od przymusu przyjmowania tysięcy przesiedleńców z Afryki do uwspólnotowienia m.in. polityki obronnej, monetarnej, klimatycznej i przemysłowej – najgroźniejsze w kontekście społecznym są zmiany w edukacji, w zdrowiu i w polityce dotyczącej rodziny.

W przyjętych poprawkach traktatów oddanie UE kompetencji w zakresie ochrony zdrowia oznaczać będzie wprowadzenie w Polsce aborcji, antykoncepcji i możliwości

dokonywania ingerencji hormonalnych i chirurgicznych w ramach tzw. tranzycji płci.

Przeniesienie zaś edukacji do kompetencji dzielonych może skutkować wprowadzeniem Europejskiego Obszaru Edukacyjnego i ograniczeniem odpowiedzialności państw członkowskich w kształtowaniu treści podstaw programowych. W zakresie prawa rodzinnego procedowane poprawki traktatowe nr 103 i 104 będą skutkować narużeniem obowiązku uznawania związków homoseksualnych i zrównaniem ich z małżeństwami, normalizacją surrogacji oraz bezpodstawnym odbieraniem dzieci rodzicom. Nawet jeśli poszczególne regulacje będą dopuszczając możliwość interpretacji na korzyść zachowania odrębności i narodowej tożsamości, to dzisiejsza obsada w ministerstwach: edukacji, zdrowia, sprawiedliwości i kultury, przejętych przez radykalnych neomarksistów, niesie groźbę przyjęcia przez Polskę najbardziej skrajnych rozwiązań. Jeśli dodamy do tego walkę z krzyżem rozpętaną przez prezydenta Trzaskowskiego, to w tych okolicznościach musimy odwołać się do naprawdę potężnego patrona. Stąd przypomnienie nauczania prymasa zawartego w Jasno-górskich Ślubach Narodu, jako zobowiązania do wierności Bogu i krzyżowi, ochrony życia, małżeństwa, rodziny i wychowania dzieci zgodnie z obyczajem narodowym, jest dziś naprawdę konieczne. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Zaczęli od stomatologii

Kamil Dziubka z Onetu ustalił, że szpital, w którym operowany był Jarosław Kaczyński, dostał z Funduszu Sprawiedliwości 18,5 mln zł. Stop. Mniejsza z tym, jakie asocjacje zaszły w redaktorskiej głowie, chodzi o coś zupełnie innego. Stop. Zbigniew Ziobro ustalił, że Onet dostał z Funduszu Sprawiedliwości prawie 2 mln zł. Stop. Jest strach, że mogą złapać Dziubkę i operować...

Po czasach kołtuństwa i wsteczności w TVP nadeszła jutrzeńska wstrząsu. Stop. Otóż TVP Poznań udostępnił czas antenowy Grupie Stonewall, która postuluje równość małżeńską dla wszystkich płci, adopcję dzieci przez takie pary (być może będzie to coś więcej niż pary) oraz zmianę płci, która teraz nazywa się uzgodnieniem. Stop. Pokazano pierwszego gościa, to drag queen „Twoja Stara”. Stop. Z wyglądu jest miks trującego grzybka z budzącą trwogę modliszką. Stop. Wygląd „Twojej Starej” jest tak porażający, iż zostanie zapewne wykorzystany do dyscyplinowania dzieci. Stop.

Wnowej TVP w „Pytaniu na śniadanie” prawdopodobnie rozpoczęto nową akcję profilaktyczną, prozdrowotną. Stop. Otóż reporterka Katarzyna Burzyńska w wejściu na żywo w rozmowie z pewnym seniorem normalnie straciła

zęby. Stop. Ale nie, że porywczym senior się zbiesił, tylko normalnie w czasie mówienia wyleciały jej dwie górne jedynki i dwójki oraz gdzieś się zapodziały na szczelinowej podłodze. Stop. Sprawę naszym zdaniem należy łączyć z nowym budżetem na TVP wynoszącym 3,5 mld zł. Stop. Kiedy rządzący byli opozycją, postulowali, żeby 2 mld zł z telewizji przeznaczyć na onkologię. Stop. Widać po dojściu do władzy zdecydowali, że zaczną jednak od stomatologii. Stop.

Organizacja pozarządowa Akcja Demokracja ma swoje profile w mediach społecznościowych, w tym na platformie X. Stop. Tam właśnie w imię demokracji zaapelowała na poważnie: „Skończmy z promowaniem Konfederacji w mediach”. Stop. Chyba trzeba ich cenić za szczerość, że demokracja owszem, ale pod warunkiem, iż słuchać i wybierać macie naszych. Stop.

Na zakończenie trochę prywaty. Stop. Otóż byłem w placówce Poczty Polskiej niedaleko miejsca zamieszkania i mogłem tam kupić książki różne, portfele, latarki, zeszyty, wisiorki, torebki, zabawki dla dzieci, baterie, wiele innych rzeczy, wiele. Stop. Po przyjeździe do domu przeczytałem, że Poczta Polska zamierza zwolnić 10 tys. pracowników. 10 tys.! Stop. I jak to właściwie jest, że jedno supermarkety sobie radzą, a inne nie? ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Haga i blaga

Ciekawym i różnorodnym echem odbiła się na świecie decyzja prokuratora Międzynarodowego Trybunału Karnego o wystąpieniu z wnioskiem aresztowania premiera Izraela, Beniamina Netanjahu, i ministra obrony Jo'awa Galanta. Wniosek dotyczy także trzech przywódców Hamasu. Międzynarodowe elity polityczne i opinia publiczna Zachodu już dziś mają w tej sprawie „twardy orzech do zgryzienia”. Będzie on jeszcze twardszy, jeśli w następstwie wniosku wydany zostanie nakaz aresztowania polityków. Autorytet Międzynarodowego Trybunału Karnego był przez ostatnie lata intensywnie „pompowany” przez światowe media. Trybunał ten przedstawiano jako pierwszą i jedyną zarazem międzynarodową instytucję sądową, funkcjonującą stale i przeznaczoną do ścigania zbrodni wojennych, zbrodni przeciw ludzkości i ludobójstw, popełnianych przez konkretne osoby fizyczne. Od kiedy w marcu 2023 r. trybunał nakazał aresztowanie prezydenta Rosji, Władimira Putina, europejscy politycy i dziennikarze zadurzyli się w jego postanowieniach niczym gimnazjalista obdarowany pocałunkiem przez ukochaną.

Nic dziwnego, że reakcje na wniosek z Hagi okazały się burzliwe. Rząd niemiecki, wyraźnie skonfundowany, nabrał wody w usta, a prasa ogłosiła, że premier Olaf Scholz znajduje się „pod

presją”. Rzecznik rządu, Steffen Hebestreit, pytany o ewentualne aresztowanie Netanjahu, stwierdził krótko: „Oczywiście będziemy przestrzegać prawa”. Podobnie wypowiedział się francuski minister spraw zagranicznych, Stéphane Séjourné. Joe Biden, dla odmiany, nazwał wniosek trybunału „oburzającym”.

Zaskakująco niewiele kłopotów sprawiła decyzja haskiego prokuratora polskim komentatorom i politykom. Dziennikarze powstrzymywali się od ocen lub nazwali postanowienie „wątpliwym”. Czyżby normalne było dziennikarskie orzekanie, które decyzje uznanego przez Polskę sądu nadawać się będą do respektowania, a które nie? Portal polsatnews.pl podkreślił, że ewentualny areszt Netanjahu byłby „bez precedensu”, ponieważ Izrael jest sojusznikiem USA. Ocenianie decyzji sądowych zgodnie z regułą, że respektuje się jedynie takie, które kalkulują się politycznie, stało się w naszym kraju powszechne i oczywiste. Lata politycznej żonglerki sądami i uznawania ich kompetencji przez arbitralne widzimisię utrwały wśród społeczeństwa bezrefleksyjną akceptację bezprawia. Instynktowna konkluzja mediów, że debatawać nie ma o czym, a nasi politycy i tak zareagują, „jak trzeba”, nie jest dla wspólnej przyszłości szczególnie korzystną wróżbą. ©©

WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nie oddawajmy decyzji za granicę

Nadchodzące wybory do Parlamentu Europejskiego, a zwłaszcza sytuacja, w której znalazła się Unia Europejska, nasuwają dość zasadnicze wątpliwości co do przyszłości europejskiego projektu. Jego entuzjaści wydają się zupełnie zaślepieni, gdy wątpliwości te kładą na karb antyeuropejskich obsesji putinowskiej Rosji. Jest wręcz odwrotnie – zaślepienie to jest oznaką nieświadomego być może sprzyjania rosyjskiej polityce osłabiania Unii i siania zamętu w szeregach Zachodu. Jakie są bowiem realne problemy, które zagrażają rozpadem europejskiego projektu?

Pierwszą cechą Unii Europejskiej, która nasuwa się komuś, kto przyjrzy się z bliska działaniom tej organizacji, jest biurokratyzacja. To nie tylko obraz rozrastania się europejskich gmachów, które pożerają stare domy w brukselskiej dzielnicy króla Leopolda. To przede wszystkim wszechobecna mentalność urzędnicza – na wszystko musi się znaleźć biurokratyczna podkładka, a „unijny dorobek” (acquis communautaire) to świętość unijnych urzędników, którzy czują się w mętnych płynach przepisów jak ryby w wodzie. Efektem biurokratyzacji jest nadmierna skłonność do regulacji życia w państwach unijnych. Preregulowanie unijnych gospodarek jest główną przyczyną ich stagnacji i utraty konkurencyjności w świecie. Ciekawe, że tego w ogóle nie zauważają tzw. liberałowie, którzy zaciekle bronią unijnego status quo, a nawet Unię pchają coraz dalej w tym samym kierunku.

Inną chorobą, która toczy Unię Europejską, jest ideologizacja. O ile u zarania unijnych instytucji często używano takich określeń jak solidarność czy pomocniczość, wywodzących z chrześcijańskiej myśli społecznej, o tyle obecnie zostały one zastąpione ideologią ekologizmu i genderyzmu, a także jawnymi interesami Niemiec i Francji. Unijni przywódcy są przy tym dumni z kroczenia w awangardzie ochrony klimatu, choć udział państw Unii w zanieczyszczaniu Ziemi sięga 7 proc., a więc drastyczne regulacje unijne nie mają znaczenia globalnego, a jedynie obniżają konkurencyjność Unii. Propaganda „praw reprodukcyjnych”, czyli w praktyce aborcji na życzenie, prowadzi do depopulacji rdzennych mieszkańców Europy.

Szałeńcze decyzje przywódców unijnych wynikają z przesłanek ideologicznych, których symbolem było hasło kanclerz Angeli Merkel „Willkommen”, a także z korupcji europejskich elit. Skala tych migracji i problemy, które one wywołują w państwach przesyconych już nielegalnymi migrantami, nasuwają wniosek zgodny z zasadą „jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze”. Wydaje się bowiem, że nieumiejętność, a raczej niechęć rozwiązania problemu migracji jest zjawiskiem systemowym. Istnieje bowiem organ unijny o nazwie Frontex powołany do ochrony granic zewnętrznych Unii, ale wydaje się on zupełnie zbędny. Jednocześnie bowiem tysiące nielegalnych migrantów nadal napływają na południe Europy, gdyż stoi za tym

gigantyczny biznes przemysłowy, opłacający się urzędnikom różnych szczebli, chronionych z kolei przez gremia kierownicze państw unijnych, jak można sądzić – niebezinteresownie. Notabene część migrantów jest rzeczywiście uchodźcami w państwach afrykańskich destabilizowanych przez Rosję.

Najważniejszym bodaj problemem Unii Europejskiej jest brak racjonalnej reakcji na narastające problemy. Zamiast podjąć się zasadniczych reform, kręgi przywódcze głównych państw unijnych ślepo kontynuują błędne polityki, a na domiar złego jako lekarstwo na unijne problemy proponują centralizację w postaci quasi-państwa unijnego. Projekt zmiany traktatów w tym kierunku ma dodatkowo wzmocnić pozycję Niemiec, ograniczyć suwerenność państw członkowskich, w tym Polski, a także ugruntować dotychczasowe praktyki.

Jeśli w nadchodzących wyborach do Parlamentu Europejskiego nie zwyciężą siły zdroworozsądkowe, to świetny w założeniach projekt europejski będzie się dalej pograżać, być może także w wyniku coraz ostrzejszych reakcji tych, którzy na obranej drodze będą najwięcej tracić. Dlatego tak ważne jest, by nie dać się zwieść „uśmiechniętej” propagandzie lansowanej na wiecach rządzących i wybrać ludzi, którzy patrzą na sprawy europejskie z perspektywy interesu Polski, a także prostego, zdrowego rozsądku. Te dwa kryteria nawzajem się wspierają. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Nie chcę należeć do żadnej partii, bo przynależność zawsze musi oznaczać podporządkowanie się jakiejś grupie lub doktrynie. Ja chcę NIE należeć. Nie mam chęci należeć. Nie mam zamiaru należeć. Należenie mnie odstrasza i złości. Gardzę partyjniactwem. A poza tym nie ma na świecie żadnej partii, której chciałbym płacić składki. Wolę być soliterem niż członkiem.

W każdym systemie politycznym, jaki znam, najlepiej wyraża mnie słowo BEZPARTYJNY. I to absolutnie nie jest słowo oznaczające zaniechanie. To słowo jest aktywne, a czasami agresywne, jest mocno nacechowane treścią i emocjami. BEZPARTYJNY nie oznacza, że się nie ma poglądów. Przeciwnie – to słowo oznacza, że ma się bardzo mocne poglądy we wszystkich sprawach, o których gadają różne partie. W pewnym sensie (choć nie dosłownie) BEZPARTYJNY znaczy tyle co WSZYSCY WON.

Bezpartyjny nie potrzebuje żadnej partii do reprezentowania jego interesów. Bezpartyjny ma interesy własne i sam ich sobie broni. Bezpartyjny jest niepodległy wobec doktryn i programów. Bezpartyjny nie musi swoich poglądów dopasowywać do nikogo, aby się zmieścić w jakiejś grupie. Bezpartyjny może mieć zbiór poglądów, które nie pasują do nikogo innego poza nim samym. Bezpartyjny jest niepodległy intelektualnie.

Za komuny mogli cię spałować lub nawet zatrzymać na 48 godzin za nieodpowiedni znaczek w klapie. Koszułek



FOTO: W. CEJROWSKI / UTUJANDAS.WY.SONSKI

z napisami się wtedy prawie nie nosiło – były zbyt wyzywające dla władzy. W stanie wojennym najbardziej władzę złościł symbol „Solidarność”, dlatego powstawały coraz mniejsze wersje znaczków i przypinek. Robiliśmy je nielegalnie w kiblu, na domowym sprzęcie fotograficznym. Pomniejszaliśmy zdjęcie tak długo, aż napis „Solidarność” miał szerokość 5 mm, a wysokość 2. Potem się to mocowało do szpilki za pomocą kropelki kleju i w tej formie wpinało w klapę. W autobusie miejskim oraz na Mszach patriotycznych był tłok, więc kto miał zobaczyć ten znaczek, ten widział, a na ulicy milicja nie miała szans i człowiek czuł się od razu lepiej, że jakoś jednak ogrął system.

Stosowaliśmy też coś w rodzaju dzisiejszych ikonki. Kupowałeś w sklepie wędkarskim dwa haczyki na ryby, a potem w ruch szła lutownica i powstawał znak Polski Walczącej, który w razie czego mogłeś próbować obronić, machając milicjantowi przed nosem legitymacją Związku Wędkarskiego. Awangardowym znakiem sprzeciwu były też oporniki wymontowane ze starego radia. Na samym początku, czyli zanim ubecja zrobiła funkcjonariuszom stosowne szkolenia na temat „O co chodzi z opornikiem”, niektórzy przypinali sobie do ubrania, plecaka lub tornistra wersje duże. Potem coraz mniejsze, a w końcu tak małe jak te znaczki na szpilkach. Niektóre oporniki były dodatkowo malowane na biało-czerwono lub miały napisy.

Jeden z moich kumpli chodził w mundurze harcerskim i wpiął sobie w klapę całą serię oporników, które wyglądały jak baretki wskazujące na jakieś przyznane mu ordery i odznaczenia. Byliśmy z niego dumni, że taki odważny i że stawiał opór systemowi. Potem byliśmy z niego dumni, gdy go w końcu spałowali na przystanku tramwajowym, a on wrzeszczał, że też jest na służbie i przecieć ma mundur. Tłum go wybronił, tłumacząc milicjantom, że pałują swojego.

W tym miejscu konieczne jest wyjaśnienie dla tych, którzy nie przeżyli żadnej okupacji: opór, nawet całkiem symboliczny, ma znaczenie KOŁOSALNE. Praktycznego może nie mieć w ogóle – to nieistotne. Liczy się psychika gnębionych przez system. Zakazane piosenki śpiewane w tramwajach nie zabijały Niemców, ale... budowały ducha Polaków. „Nie mogę im nic zrobić, a oni mogą mi zrobić wszystko, a mimo to robię coś, co ich strasznie wnerwi, pomimo że to, co robię, to jedno wielkie nic: głupawa piosenka, znaczek na szpilce lub czerwone komunistyczne flagi ponacinane nożyczkami, aby potem na wietrze wyglądały, jakby się system pruł.

Władza zużywała masę energii na tępienie takich rzeczy.

Moim ulubionym był mały mosiężny znaczek, który dostałem pod koniec stanu wojennego, i wtedy wszystkie

pozostałe poszły do szuflady. Na tym znaczku nie było żadnych symboli, a jedynie prosty napis: BEZ-PARTYJNY. Wtedy całe społeczeństwo dzieliło się na dwie grupy i każdy z nas należał albo do jednej, albo do drugiej – nie było obojętnego środka. Albo należałeś do partii i byłeś uprzywilejowanym członkiem zbrodniczego systemu, albo byłeś bezpartyjny, czyli z punktu widzenia władzy podejrzany, a z punktu widzenia społeczeństwa porządnym.

Gdy zobaczyłem tamten znaczek, zorientowałem się, że to kwintesencja moich życiowych wyborów i upodobań: byłem i jestem BEZPARTYJNY.

Kto jeszcze nie rozumie, na czym polega bycie bezpartyjnym, niech posłucha mojej rozmowy z facetem, który kandyduje do Parlamentu Europejskiego:

– Czy byłby Pan skłonny wesprzeć mnie w nadchodzących wyborach do europarlamentu?

– Jestem od urodzenia BEZPARTYJNY.

– Szanuję to, więc może inaczej: Czy jest szansa na wywiad u Pana?

– Wywiad? Kilka razy zaprosiłem na rozmowę osoby, które chciałem sprawdzić jako wyborca. Bosak kandydował na prezydenta – sprawdziłem w rozmowie, że się nie nadaje. Bosak stanowił realne zagrożenie. Na razie nie mam żadnego powodu, by zapraszać Pana.

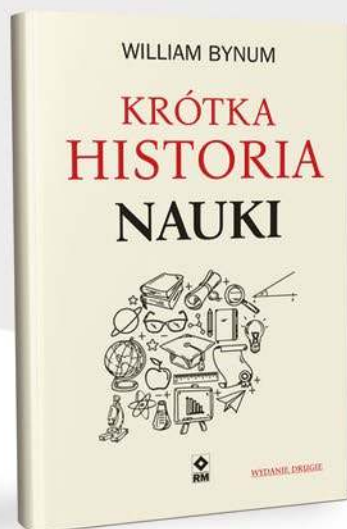
– Jakie są kryteria, które trzeba spełnić, by był sens do Pana się zwracać?

– Kieruję się wyczuciem własnym. Z kolei od polityka oczekuję, aby kierował się tym, co dobre dla Polski, a nie starał spełniać kryteriów koniecznych do załapania się na wywiad. Czyli właśnie mnie Pan zniechęcił całkowicie. © ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~854~~ ZŁ

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

WILLIAM BYNUM:
„KRÓTKA HISTORIA NAUKI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

403,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 451 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 75a7dfe41f

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



ZATRUTE OWOCE '68

Szał na ulicach Paryża – Zrewoltowani studenci domagali się odrzucenia „starego świata” i wszelkich autorytetów. Ich postulaty w ogromnej mierze trafiły po latach do mainstreamu

Czerwone pacyfki – W czasie zimnej wojny „obrońcy pokoju” na Zachodzie dużo chętniej krytykowali militarystykę amerykańską niż sowiecką

Rewolwer zamiast megafonu – Fala czerwonej przemocy załamała Niemcy i Włochy. Lewacy terroryści wzięli tam na celownik wielki biznes i instytucje państwowe

Holenderski oprawca Rzeczypospolitej – Ogromny wpływ na gospodarczy, a w konsekwencji również polityczny upadek państwa Polaków i Litwinów miały Niemcy

Niewolnicy Waszyngtona – Pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych był plantatorem i właścicielem kilkuset Murzynów. Czy zostanie strącony z cokołów?

Zatruty puchar królowej – Bona zgromadziła w czasie pobytu w Polsce wielki majątek. Bogactwo sprowadziło na nią ostatecznie nieszczęście

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**